

## Wstęp

Kornwalia, koniec września 1811 roku

Apatyczne wrześniowe słońce schodziło za linię horyzontu, a odświeżony ulewnym deszczem wiatr owiewał jasne włosy i opaloną twarz młodego mężczyzny. Cudowne kornwalijskie lato miało się ku końcowi. Jego magiczny urok ustępował teraz przed zbliżającymi się nieuchronnie dumnymi krokami jesieni.

Blaine St. Gwyre, drugi syn hrabiego Langley, popędził wierzchowca; zwierzę przeszło w pełny galop. Zazwyczaj jeździł ostrożnie, dziś jednak niemal frunął nad trawiastą doliną, a serce mu biło w rytm grzmiących uderzeń kopyt. Każda sekunda przybliżała go do ukochanej.

Ukochana ... Jego przepełnione miłością serce dawno już dotarło do miejsca, które przez całe leniwe i ciepłe lato służyło im za sekretny punkt spotkań. Tym razem spóźni się na randkę ponad godzinę. Będzie wściekła. Ujrzał ją oczami duszy: jej niesforne granatowoczarne włosy okalające prześliczną twarzyczkę i niezwykle, jaskrawo niebieskie oczy w kształcie migdałów.

Ta wizja wzburzyła w nim krew. Ukochana nigdy nie wydawała mu się piękniejsza niż wówczas, kiedy dawała upust ognistemu temperamentowi.

Nie przeprosi jej. Zbyt często sama kazała mu czekać.

Po prostu zsiądzie z konia, weźmie ją w ramiona i mocno pocałuje. Ona zaprotestuje i zbeszta go tak, jak to tylko ona potrafi. Ale wystarczy jeden całus - no może dwa - i ponownie przemieni się w słodką, roześmianą dziewczynę.

Trudno wprost uwierzyć, że po raz pierwszy zobaczył ją pewnego wiosennego poranka zaledwie przed sześcioma miesiącami. Jechała konno przez klify wznoszące się wysoko nad kornwalijskim wybrzeżem. Zaiste był to widok zapierający dech w piersiach. Od tamtej pory tęsknota za nią stała się nierozzerwalną częścią jego jestestwa. Odnosił wrażenie, że pragnął tej dziewczyny od zawsze.

Nawet początek nowego sezonu w Londynie nie oderwał myśli Blaine'a od ukochanej.

Nieustannie prześladowało go wspomnienie jej niezwyklej urody. W porównaniu z nią te blade, pustogłowe panny i chętne do flirtu kurtyzany, które tak fascynowały jego brata Devona, okazały się potwornie nudne. Jeszcze przed końcem sezonu Blaine wrócił do Kornwalii z zamiarem poślubienia wybranki. Wprawdzie ojciec zagroził, że go wydziedziczy, a matka próbowała przekonać syna, że to nie jest odpowiednia dla niego partnerka, nic jednak nie było w stanie odwieść Blaine'a od postanowienia.

Jego wytrwałość została nagrodzona. Pomimo łzawych protestów matki, zwrócił się do sądu o zezwolenie na ślub i wymógł na ojcu zgodę na samodzielne utrzymywanie przyszłej żony. W tym celu miał objąć zarząd nad eksperymentalną farmą, która znajdowała się w jednym z wielu rodzinnych majątków w środkowej Anglii.

Devon, przyszły spadkobierca, niedługo miał wyruszyć na Półwysep Iberyjski w poszukiwaniu chwały i przygody pod sztandarami Wellingtona. Blaine nie miał takich pragnień. Westchnął z zadowoleniem na myśl o nadciągającej zimie, którą spędzi u boku ukochanej. Potem przyjdzie wiosna, a wówczas dziecko powinno już rosnać pod jej sercem. W wieku dwudziestu jeden lat był całkowicie gotów, aby przejąć obowiązki statecznego męża i zamieszkać na wsi.

Deszcz przybrał na sile. Z oddali dochodził odgłos grzmotu. Popędził konia w kierunku rosochatych nadbrzeżnych drzew. Ogier parsknął i nadstawił uszu w oczekiwaniu na rzenie klaczy.

- Ty też jesteś zakochany, prawda staruszku? - zapytał wesoło Blaine i pochyliwszy się do przodu, pogłaskał jedwabistą szyję deresza.

Ogier aroganckim ruchem odrzucił łeb, niecierpliwie przebierając nogami w miejscu, ale klacz nie odpowiadała. Zdziwiony Blaine zeskoczył na ziemię i przez gęste krzewy przedarł się do kryjówki utworzonej z drzew pośrodku zagajnika. Była pusta, tylko na kamieniu, na którym zaledwie dwa dni wcześniej siedział z ukochaną, leżała złożona

kartka.

Znajomy dźwięk fal rozbijających się o skaliste klify i ochryple krzyki mew przyprawiły go o dziwny dreszcz. Ukochana nie raczyła zaczekać. Mimo to na widok jego imienia nabazgranego na sztywnym białym papierze na ustach Blaine'a pojawił się mimowolny uśmiech. Jakże niepodobne było to bezpretensjonalne pismo jego wybranki do wyrafinowanego stylu tych wszystkich wytwornych dam.

Otworzył list i przeczytał:

*Wybacz mi moje tchórzostwo. Nie zniosłabym jednak twego widoku, wiedząc, że to nasze ostatnie spotkanie. Mówiłeś o wspólnej przyszłości, lecz zawsze wiedziałam, że to opowieść bardziej nie rzeczywista niż cokolwiek, co mogliby wymyślić bracia Grimm. Twoi rodzice nigdy mnie nie zaakceptują z powodu mego ojca, a jeszcze bardziej by protestowali, gdyby poznali prawdę o matce.*

*Tak się jednak szczęśliwie złożyło, że księżę Sheffield poprosił mnie o rękę. Przyjęłam te oświadczenia. Jego majątek i pozycja dadzą mi ochronę, której bardzo potrzebuję. Wybacz drogi, przyjacielu, tak jak ja wybaczam tobie.*

*Jeśli jednak wspomnisz kiedyś te dni, które spędziliśmy razem, nie myśl zbyt źle o kimś, kogo niegdyś nazywałeś swą miłością.*

Z pełnym udręki krzykiem Blaine ukrył twarz w dłoniach.

Rozpacz tak nim owładnęła, że nie dostrzegł dziewczyny, która podglądała go z kryjówki obok groty. Nie usłyszał też odgłosu jej kroków zagłuszanych przez wzmagający się wiatr. Pobiegnęła wśród drzew w kierunku eleganckiej karety z herbem księcia Sheffield, która miała ją zawieźć do Londynu.

## Rozdział pierwszy

Londyn, luty 1815 roku

- Co?! Zostałem mianowany opiekunem młodego księcia Sheffield?! Jak taka decyzja mogła zapaść bez mojej zgody? Czemu wcześniej nic o tym nie wiedziałem? - Devon St. Gwyre, hrabia Langley, obrzucił groźnym spojrzeniem pulchnego, białowłosego mężczyznę, siedzącego po drugiej stronie biurka. Znajdowali się w bibliotece londyńskiego domu hrabiego. Odkąd Devon St. Gwyre uzyskał tytuł, mężczyzna był jego prawnikiem, wcześniej zaś, przez dwadzieścia lat - adwokatem ojca obecnego hrabiego Langley. Różnica zdań wystąpiła między nimi po raz pierwszy.

- Milordzie, odziedziczył pan to zobowiązanie wraz z tytułem i majątkiem. Jednak nie widziałem potrzeby, aby poruszać tę sprawę przed śmiercią księcia, do której doszło zaledwie sześć tygodni temu. - Starszy mężczyzna wytarł pot z czoła lnianą chusteczką. - Obowiązek ten pański ojciec przyjął na 'siebie w dniu narodzin chłopca. Najwidoczniej już wówczas księżę zdawał sobie sprawę z pogarszającego się stanu swojego' zdrowia, a skoro matka dziecka umarła w połogu, logicznym rozwiązaniem było ustanowienie opiekunem prawnym godnego zaufania sąsiada.

Dzień narodzin chłopca ... Z powodu wydarzeń, które zaszły później, ojciec Devona chyba zapomniał o złożonej obietnicy.

- Okoliczności są teraz inne - stwierdził Devon. - Nie mogę dotrzymać danego przez ojca słowa. Jak przypuszczam, on sam, gdyby żył, też by tego nie zrobił.

Przez twarz prawnika przebiegł grymas dezaprobaty.

- Długie lata służyłem pańskiemu ojcu i zawsze widziałem w nim człowieka wielkiego honoru. Nie jestem w stanie uwierzyć, aby nie wypełnił przyjętego na siebie zobowiązania. Ponadto, moim zdaniem, nie zaaprobowałby faktu, że jego syn i następca nie chce

dotrzymać przyrzeczenia, jakie złożył hrabia Langley. - Mars na czole prawnika pogłębił się.. - Młody książę ma zaledwie siedem lat. Czymże zatem zdołał już wzbudzić pańską niechęć?

- Przeciw chłopcu nic nie mam, lecz ten dokument - Devon wskazał palcem stos papierów leżących na biurku - wyraźnie stwierdza, że opiekun musi brać pod uwagę życzenia macochy małego księcia we wszystkich sprawach dotyczących jego edukacji i wychowania. Nie będę, nie mogę, w tak bliski sposób współpracować z obecną księżną Sheffield.

Oczy prawnika rozszerzyły się ze zdziwienia. Podobnie zareagował najlepszy przyjaciel Devona, Peter Forsythe, markiz St Camden, który obserwował całą scenę, usadowiony na miękkiej sofie o zakrzywionych nogach.

- Rzeczywiście, doszły mnie słuchy o ekstrawagancjach księżnej - zauważył prawnik - ale czego można się spodziewać, kiedy młoda i piękna kobieta wychodzi za mąż za bardzo bogatego mężczyznę, i to trzykrotnie od niej starszego?

Devon zacisnął zęby.

- Nie zamierzam dyskutować na ten temat. Moja decyzja jest ostateczna.

- Doskonale, milordzie, jak pan sobie życzy. - Prawnik wstał i zebrał papiery, którymi Devon w niego cisnął. - Przekażę tę wiadomość koledze, który prowadzi sprawy majątku księcia. Jednak muszę wyrazić ...

- Nie! - Devon uniósł dłoń, przerywając prawnikowi.

- Do tej pory nasza współpraca układała się bez zarzutu. Chciałbym, aby tak pozostało. - W stał z krzesła, kulejąc podszedł do najbliżej taśmy i zadzwonił na lokaja, aby odprowadził gościa do wyjścia.

- Powiesz mi, o co w tym wszystkim chodzi, czy też pozwolisz, aby rozsadziła mnie ciekawość? - zapytał markiz, kiedy zamknęły się drzwi za oburzonym prawnikiem.

Devon na moment przystanął przed kominicem, dorzucił drewna do ognia, a potem powoli wrócił za biurko. W Londynie luty zawsze jest nieprzyjemny. Tego roku powietrze było wyjątkowo chłodne i wilgotne. Prawa noga hrabiego, poważnie zraniona w bitwie pod Talaverą, reagowała na podobną aurę bolesnym rwaniem.

- Księżna to chciwa dziwka. Opętała mego naiwnego brata, a potem puściła go kantem, aby poślubić starca, ale za to niezwykle bogatego i o wysokiej pozycji społecznej. Wysłała Blaine'a na Półwysep, na śmierć - wyjaśnił, zaciskając dłoń z taką siłą, że poprzez jego ogorzałą skórę zaczęły prześwitywać białe knykcie.

Markiz z niedowierzaniem uniósł brwi.

- Może masz rację. Z moich doświadczeń wynika, że w istocie taka jest większość kobiet. Wątpię jednak, że to ona była odpowiedzialna za decyzję twojego brata o zaciągnięciu się do armii. Nie naładowała też muszkietu tego Francuza, który zakończył życie Blaine'a.

- Niech diabli wezmą twój przebiegły cynizm! - zawołał Devon. - Blaine był niewinnym, wrażliwym chłopcem i ostatnią na świecie osobą, która powinna uczestniczyć w rzezi na kontynencie.

- Ja sam przez cztery lata brałem udział w tej masakrze - zauważył sucho St Camden. - I nie przypominam sobie, abym spotkał tam kogoś, komu sprawiałoby to przyjemność.

- Ale Blaine nigdy by się nie zaciągnął, gdyby ta piękna czarownica nie złamała mu serca.

- Devon nieświadomie masował bolącą nogę. - To ja byłem w tej rodzinie poszukiwaczem przygód. Blaine natomiast miał zamiar osiąść na wsi, bardzo kochał ziemię i pragnął spokojnego życia. A jednak zaledwie miesiąc po przyjeździe do Hiszpanii zgłosił się na ochotnika do oddziału podejmującego samobójcze zadania. Jestem pewny, że szukał śmierci. Nie chciał żyć bez ukochanej kobiety.

Na twarzy St Camdena pojawił się smutny uśmiech wykrzywiony brzydką blizną, która przecinała lewy policzek.

- Więc chłopak był głupcem. Żadna kobieta nie jest warta takiego poświęcenia, a samobójstwo nie stanowi

jeszcze dowodu miłości.

Devon skinął głową.

- Wiem. Jednak nie osądzaj go zbyt ostro, dopóki na własne oczy nie zobaczysz księżnej. To niezwykła kobieta. Jest tak zmysłowa, że niemal trudno to sobie wyobrazić. Jej niepospolita, egzotyczna uroda oszałamiała mężczyzn znacznie bardziej doświadczonych i wybrednych niż Blaine.

- Takich jak ty - powiedział Stammen, kładąc prawą rękę na rzeźbionej drewnianej poręczy otaczającej oparcie sofy. Teraz widać było wyraźnie, że jeden rękaw jego koszuli jest pusty. Stammen stracił lewą rękę na wojnie.

Devon skulił się w sobie; Peter był zbyt domyślny.

- Mówiłem o księciu Sheffield - powiedział oschle. - Ja sam spotkałem ją tylko raz i to w okolicznościach wyjątkowo niesprzyjających, aby bliżej się poznać. Blaine zamierzał poślubić tę kobietę, choć bez wątplenia popełniłby wówczas największą pomyłkę. Prócz tej, że w ogóle zadał się z tą kobietą. Za to, że zostawi go w spokoju, zaoferowałem jej znaczną sumę pieniędzy, ale ona tylko roześmiała mi się w twarz.

Wyraźnie zawstydzony na samo wspomnienie, w jaki sposób ją ukarał za jej szyderczy śmiech, zamknął oczy. On, który uchodził za człowieka nadzwyczaj opanowanego, tego dnia stracił kontrolę. Bez chwili namysłu gwałtownym ruchem przyciągnął jej szczupłe, giętkie ciało i wymusił brutalny, pełen złości pocałunek.

Kiedy potem rozmawiał z Blaine'em, był tak przepelniony poczuciem winy, iż nie dostrzegł potwornego bólu w oczach chłopca i nie udzielił mu braterskiej rady, jakiej ten potrzebował. Zanim odzyskał zdrowy rozsądek, było już za późno. Blaine uciekł z domu i dołączył do Pierwszego Regimentu Gwardii, stacjonującego w samym centrum działań na Półwyspie Iberyjskim.

- Już nigdy nie chcę spojrzeć jej w twarz - oznajmił ponuro. - W urodzie tej kobiety jest coś złego, co przywodzi mężczyzn do ostateczności.

- A imię tego zła brzmi Moira - powiedział kpiąco Stammen.

Devon wbił w przyjaciela zdziwione spojrzenie.

- Skąd wiesz, u diabła?

- Zapomniałeś, że w tym cholernym namiocie szpitalnym na Półwyspie leżałeś na sąsiednim łóżku? W nocy nie mogłem przez ciebie zasnąć. Majaczyłeś w gorączce, powtarzając ciągle to imię - „Moira”.

- To nic nie znaczy - oświadczył Devon, ale nawet sam wyczuł fałsz własnych słów. - O śmierci Blaine'a dowiedziałem się zaledwie na dzień przed tym, jak zostałem ranny. Nic więc dziwnego, że w gorączce dręczyły mnie koszmary. W tamtej piekielnej dziurze niejednego mężczyznę odchodził od zmysłów.

- Jestem tego pewny. - Markiz bezmyślnie przebierał palcami. Robił to zawsze, jak zauważył Devon, kiedy usiłował znaleźć wyjście z trudnej sytuacji. - Jednak wczoraj poinformowałeś mnie, że postanowiłeś spędzić jakiś czas w Londynie, aby się rozejrzeć za przyszłą hrabiną. W świetle tego czuję się w obowiązku dać ci pewną radę. Zanim udasz się w przyszłość, zamknij drzwi od przeszłości. Mężczyzna, który żeni się z jedną kobietą, podczas gdy ma fioła na punkcie innej, pakuje się w tarapaty.

- Nie mam fioła na punkcie żadnej kobiety - stwierdził Devon. Nawet najbliższemu przyjacielowi nie chciał się przyznać, jak często prześliczna twarz Moiry Reardon pojawia się w jego marzeniach.

- A koty nie mają wąsów. Zupełnie jednak nie mogę pojąć, jak ktoś taki jak ty, kto zaglądał pod tyle spódniczek, mógł zapamiętać kobietę, którą spotkał tylko raz? - W chłodnych szarych oczach Stammena nagle pojawiło się zrozumienie. - Chyba że szpitalny epizod potwierdza moje domysły, że w twoim przeskakiwaniu z łóżka do łóżka jest więcej desperacji niż radości.

Devon zacisnął zęby. Peter był stanowczo za bliski prawdy, a to niezbyt miłe uczucie.

Nagle ogarnęła go ochota, aby wepchnąć markizowi jego słowa z powrotem do gardła.

- Stąpasz po niebezpiecznym gruncie, przyjacielu - ostrzegł.  
- Wiem - odparł miękko St Camden. - Jednak zaryzykuję, bo mam nadzieję, że jeśli odpowiednio cię rozzłoszczę, wyjawisz wreszcie to, co cię dręczy. Cokolwiek to jest. Tylko grzyby, zbyt długo pozostawione w ciemnościach, mogą spowodować zgubne skutki, jeśli ktoś zrobi z nich użytek.  
- A któż lepiej od ciebie mógłby o tym zaświadczyć? - rzucił bez namysłu Devon i ledwie skończył, już pożałował swoich słów.  
- Jeden zero dla ciebie - zgodził się markiz. Gorzka nuta w głosie przypomniła Devonowi o męce i upokorzeniu, jakich jego przyjaciel doznał po powrocie z Hiszpanii. Żaręczonej z Peterem dziewczynę przeraziły okaleczenia narzeczonego, uciekła więc od niego w popłochu.  
Zaraz potem Peter wycofał się z towarzystwa. Od tej pory widywał tylko Devona i dwóch innych przyjaciół z dawnego regimentu, a kobiety stały się zakazanym owocem dla zawadiackiego niegdyś markiza. Czasami, kiedy musiał zaspokoić swoje żądze, odwiedzał jeden z domów publicznych londyńskiego półświatka. Tamtejsze prostytutki widziały tak wiele koszarów, że na ogół nie reagowały na deformacje Petera.  
- Proszę, wybac mi, przyjacielu - odezwał się ze skrucą Devon. - Historia z księżną musiała zamącić mi w głowie. Ale - dodał szybko - tylko dlatego, że jest tak nieprzyjemna, a nie, jak sugerujesz, z powodu mej obsesji na punkcie tej dumnej intrygantki.  
Po raz pierwszy w życiu okłamał przyjaciela. Czuł jednak, że dalsza dyskusja na temat zdradzieckiej kobiety będzie dla niego niemal równie wstrętne, jak możliwość ponownego z nią spotkania. Już dawno doszedł do wniosku, że szaleństwo, które go ogarnęło tego dnia przed czterema laty, powinien na zawsze zakopać w najgłębszych pokładach swego umysłu.

Niech go szlag! - Moira Reardon Handley, księżna-wdowa Sheffield, uniosła wzrok znad listu i spojrzała przez okno na krajobraz Kornwalii, rozciągający się wokół posiadłości Białe Dęby, którą dzieliła z pasierbem, młodym księciem Sheffield. - Tego się obawiałam. Mój prawnik zawiadamia, że hrabia Langley nie chce przejąć opieki nad Charlesem.

- Ale dlaczego? Księżę to taki grzeczny chłopczyk.

Jakie obiekcje może mieć hrabia? - zapytała towarzysząca Moiry, Elizabeth Kincaid.

Haftowała właśnie obrus kościelny, teraz odłożyła robótkę i obrzuciła Moirę zdziwionym spojrzeniem. - To musi być jakieś nieporozumienie. Znam St. Gwyre'ów od dawna. Byli parafianami mego ojca, a Devon, podobnie jak jego ojciec, to jeden z najbardziej honorowych mężczyzn. Nie zamierza chyba wymigać się od obowiązku i pozwolić, aby opiekę nad bezradnym dzieckiem objął ten nicpoń i libertyn, wicehrabia Quentin? To nie w stylu Langleyów.

Moira podniosła się z krzesła i powoli podeszła do kominka. Jej białe nogi stąpały cicho po grubym dywanie zaścielającym przytulny salonik. Ze złością cisnęła list do ognia.

- Decyzja Devona nie ma nic wspólnego z Charlesem. On nie chce mieć nic wspólnego ze mną. Jeśli mam być szczerą, nienawidzi mnie. Jednak nie daje mu to prawa, aby mścić się na niewinnej istocie. - Zaciśnęła pięści. Do diabła z takim głupim, zdominowanym przez mężczyzn społeczeństwem i jego idiotycznymi regułami, które nie pozwalają przyznać kobiecie prawa do opieki nad dzieckiem.

Jasnobrązowe oczy Elizabeth rozszerzyły się ze zdziwienia.

- Na pewno mylisz się, pani, co do uczuć, jakie hrabia żywi wobec ciebie, wasza wysokość. Owszem, krążyły złośliwe plotki, lecz tak inteligentny mężczyzna musiał się zorientować, że wyływały one wyłącznie z zazdrości, ponieważ jesteś pani równie piękna, jak dobra.

Moirze zrzędała mina.

- Dobry Boże, Elizabeth, prawdziwa z ciebie córka pastora. Twoja szlachetność nie pozwala ci uwierzyć, że inni

ludzie idą do przodu po trupach. Devon St. Gwyre wini mnie za śmierć swojego brata. Do pewnego stopnia ma jednak rację. Bóg mi świadkiem, że sama częstokroć się o to oskarżałam.

- Jak to możliwe? Przecież Blaine zginął na Półwyspie. Moira oparła głowę o rzeźbione dębowe obramowanie kominka i wbiła wzrok w płomienie.

- Trafił tam z powodu chciwej, nieczulej dziewczki, która zawładnąwszy sercem chłopca wkrótce potem je złamała. - Porzuciła go dla bogatego i potężnego księcia Sheffield. A przynajmniej w taką wersję wydarzeń wierzy brat Blaine' a.

- Więc musisz, wasza wysokość, wyznać hrabiemu prawdę i powtórzyć słowa, które książę wypowiedział do mnie na łożu śmierci, błagając" jednocześnie, abym na zawsze pozostała twoją przyjaciółką, pani.

Moira zeszywniała.

- A jak, według księcia, wyglądała prawda?

- Skłonił cię do małżeństwa, ponieważ wiedział, że jego dni są policzone, a ty, pani, byłaś jedyną kobietą, na tyle silną, aby ochronić syna księcia przed nikczemnym bratankiem.

Gwałtowne bicie serca Moiry ustało, wrócił jego normalny rytm. Wypuściła z płuc powietrze - nie zdawała sobie sprawy, że wstrzymywała oddech. Powinna była się domyślić, iż książę nigdy nie zdradzi jej sekretów ani też nie wyjawi żądań, jakie mu postawiła podczas tego dziwnego targu.

- Elizabeth, pomyśl proszę - powiedziała łagodnie. - Nie mogę przecież powiedzieć hrabiemu czegoś takiego. Nawet dla ratowania własnej reputacji nie dopuszczę, aby książę zdany był na czyjąś litość. Zbyt wiele mu zawdzięczam. Poza tym nie przypuszczam, żeby cokolwiek zdołało zatrzeć fatalne wspomnienie hrabiego.

Elizabeth zadrżała.

- Zatem spotkałaś go, pani? Nie wiedziałam.

- Tylko raz. Zaoferował mi wielką sumę pieniędzy, abym, jak to ujął, "trzymała chciwe łapska z dala od jego niewinnego braciszka". Strasznie się zezłościłam i po-stąpiłam w sposób, który, jak miemnam, tylko potwierdził opinię hrabiego na mój temat.

- Jednak z pewnością nie zasugerowałaś mu, że ... z takim przyzwoitym chłopcem, jakim był Blaine ... ? - Elizabeth oblała się pąsem.

- Nie powiedziałam mu wprost, że spałam z jego bratem, jeśli o to ci chodzi, ponieważ do tego nie doszło. Ale niczemu nie zaprzeczyłam, bo dręczyły mnie wyrzuty sumienia. Wiele razy pozwalałam się całować Blaine'owi.

- Pozwoliłaś, aby całował cię mężczyzna, z którym nie byłaś zaręczona? - Nawet gdyby Moira oświadczyła, że jest notoryczną morderczynią, Elizabeth nie byłaby chyba bardziej zaszokowana.

- Byłam bardzo młoda i głupia, a poza tym imponował mi fakt, iż syn hrabiego tak się mną interesuje - wyjaśniła Moira. Jednak nie przypuszczała, aby przeciętna młoda kobieta, wychowana w licznej, kochającej się rodzinie, potrafiła zrozumieć postępowanie pięknej osiemnastolatki, której rodzice wywoływali ciągle skandale, co uniemożliwiło jej poślubienie uczciwego człowieka.

Nagły poryw wiatru w kominie napełnił pokój dymem spalonego drewna, wznecając wspomnienia leniwych letnich wieczorów, które Moira spędzała wraz z Blaine'm na plaży przy ognisku.

- Postanowiłam zerwać z Blaine'em jeszcze zanim książę poprosił mnie o rękę. Nie było więc nic niewłaściwego w tym, że przyjął jego oświadczenia. Wprawdzie ten głupi chłopak wyznał mi miłość, ale ja nie wierzyłam, że dwoje ludzi o tak różnym pochodzeniu może myśleć o wspólnej przyszłości. Nie sądziłam też, że moje małżeństwo tak fatalnie na niego wpłynie i doprowadzi go do śmierci.

- Ależ to oczywiste, że miał wobec ciebie poważne zamiary, pani - stwierdziła stanowczo Elizabeth. - Inaczej nigdy by się nie ośmielił cię pocałować.

Moira wybuchnęła ponurym śmiechem.

- Biorąc pod uwagę twój sędziwy wiek dwudziestu pięciu lat, Elizabeth, jesteś wyjątkową ignorantką w sprawach męsko-damskich. - Niecierpliwym ruchem starta łzę toczącą się po policzku. - Dość już tego grzebania w przeszłości. Co mam zrobić z przyszłością? Kocham Charlesa jak własnego syna. Obiecałam też księciu, że będę chronić chłopca przed niegodziwymi zakusami wicehrabiego.

- Musisz więc, pani, porozmawiać z hrabią - stwierdziła Elizabeth. - A to oznacza wyjazd do Londynu. Hrabia pojechał tam przyjrzeć się młodym kobietom, które w tym sezonie wejdą do towarzystwa. Zamierza wybrać spośród nich żonę, ponieważ już dawno temu powinien był zapewnić sobie dziedzica do tytułu. Tak mówił tata. - Zmarszczyła czoło. - Wierzę, iż pomimo waszych dawnych nieporozumień, zacznie postępować rozsądnie, kiedy tylko wyjaśnisz mu, pani, niebezpieczeństwo grożące młodemu księciu, w przypadku gdyby hrabia nie został jego opiekunem. Przecież nie zażadasz od niego, aby zajął się wychowaniem chłopca.

- Na Boga, nie! To ja jestem odpowiedzialna za Charlesa i z radością wypełnię ten obowiązek. Nigdy nie powierzyłabym takiego zadania człowiekowi pokroju hrabiego. Jednak masz rację. Może kiedy stanę z nim twarzą w twarz i powiem, iż w rzeczywistości oczekuję od niego, aby został tylko formalnym opiekunem, to zdołam uzyskać jego zgodę.

- Z pewnością, wasza wysokość. - Elizabeth uśmiechnęła się. - Sugerowałabym jednak, abyś włożyła pantofle na spotkanie z hrabią. Jego matka jest wprawdzie niewiarygodnie głupią i próżną kobietą, ale, jak mówią, zwraca ogromną uwagę na przejawy dobrego wychowania.

Moira nieśmiało spojrzała na palce wystające spod sukni.

Po raz pierwszy w życiu włożyła buty, kiedy miała dwanaście lat, i tak naprawdę nigdy się do nich nie przyzwyczaiła.

- Masz rację - przyznała z westchnieniem. - Ale jak ja nie cierpię, kiedy te okropieństwa uciskają mi nogi.

Bezwiednie bawiła się kosmykiem granatowoczarnych włosów, który wydostał się spod związanej na karku wstążki.

- Spróbuję przedstawić hrabiemu rozsądne argumenty - rozmyślała na głos. - W końcu nie mam nic do stracenia.

Zgodnie z tym, co mówił prawnik, wicehrabia złożył już podanie o przyznanie mu opieki, w przypadku gdyby Langley odmówił.

Zatopiona w myślach, chodziła po pokoju. Kiedy przed czterema laty spotkała Devona St. Gwyre i wymieniła z nim ten wstrząsający pocałunek, przysięgała sobie, że przez resztę życia będzie unikać tego przystojnego złoto-włosego hulaka, którego zimne zielone oczy omiotły ją pogardliwym spojrzeniem. Teraz jednak nie miała innego wyjścia. Dla dobra Charlesa gotowa była błagać o litość nawet samego Belzebuba, gdyby zaszła taka potrzeba.

- Doskonale, spotkam się z nim - oznajmiła w końcu. - Choć na samą myśl o powrocie do Londynu, zwłaszcza teraz, kiedy już osiadłam w cichej Kornwalii, robi mi się niedobrze. Będę jednak musiała zabrać ze sobą Charlesa i ciebie. Nie odważę się zostawić go tutaj tylko pod ochroną służby. Jeśli cokolwiek stanie się księciu, wówczas wicehrabia odziedziczy tytuł, a ten chciwy diabeł nie cofnąłby się nawet przed zamachem na życie chłopca, aby tylko osiągnąć cel.

Hrabia Langley był w złym humorze. Początkowo zakładał, że jeśli odmówi przejęcia opieki nad młodemu księciem, to cała sprawa zakończy się raz na zawsze. Jednak nie miał racji. Świadczył o tym list, który właśnie trzymał w kieszeni kamizelki.

Księżna przyjechała do Londynu, aby dalej drażnić ten niemiły temat. Miała nawet czelność zażądać, żeby stawiał się w jej domu o dziewiątej rano. Żądanie zostało sformułowane tak sprytnie, że - jako dżentelmenowi - nie pozostawało mu nic innego, jak tylko się podporządkować.

Wyłącznie z tego powodu znalazł się na dworze o nieprzyzwoicie wczesnej porze, kiedy ulice są pełne przekupniów i mieszkańców prowadzących interesy w ruchliwej metropolii. Ziewnął. Poprzedniego wieczoru zasiedział się w salonie gry Whitesa, a następnie spędził noc w ramionach swojej ostatniej zdobyczy.

- Jestem wdzięczny, że zgodziłeś się wspierać mnie podczas tej nieprzyjemnej sesji z księżną - mruknął do markiza Stamdena, który siedział obok w kariolce. - Gdybym został z nią sam na sam, mógłbym nie oprzeć się pokusie i skrócić jej kark. - Mocniej zacisnął ręce na wodzach i popędził oba siwki przez skrzyżowanie, zaledwie o włos unikając zderzenia z karetką więzienną i kebem.

Markiz gwałtownie chwycił się siedzenia.

- Diabli nadali! Czy nie wystarczy, że dla ciebie ograniczyłem już moje życie towarzyskie? Czy muszę ponieść jeszcze większe ofiary? Wyładuj swoją złość na księżnej, jeśli łaska, a nie na swoim wiernym towarzyszu.

- Przepraszam - mruknął Devon, zwalnając krok siwek do bezpiecznego kłusa. -

Miałem okropny tydzień, a ta nieprzyjemna sprawa przepelnia czarę goryczy.

Uniesione brwi Stamdena wyrażały ogromną ciekawość. - Ta nowa tancerka z opery nie spełniła twoich nadziei.

Mam rację?

Devon wykrzywił twarz w ponurym uśmiechu.

- Okazała się nieco bardziej wymagająca, niż przypuszczałem. Dobrze, że jej swawole już się mają ku końcowi. - Zamierzasz ją odprawić?

Devon skinął głową.

- Zaczyna mi działać na nerwy. Ledwo kończymy ... eee ... tego ... nasze sprawy, a natychmiast wstaje z łóżka i częstuje mnie solówką, którą ćwiczy do następnej opery.

- W czym więc problem? - W jasnym oczach Stamdena zabłyśły ogniki rozbawienia. -

Musisz być wielkim miłośnikiem muzyki, skoro niezmiennie wybierasz kochanki spośród artystek operowych.

\_ Tylko dlatego, że są tak ładnie wyeksponowane i łatwo dostępne. Dzięki temu nie muszę tracić czasu ani wysiłku na poszukiwania - ponuro stwierdził Devon. - W tym konkretnym przypadku właśnie miłość do muzyki jest przyczyną kłopotów. Choć ma twarz anioła, a ciało Afrodyty, to głosu użyczyła jej chyba wrona. Przepowiadam panie Philomenie Browne krótką i niesławną karierę.

\_ Prawdopodobnie potrwa to zaledwie tyle czasu, ile dyrektor opery będzie potrzebował na sprawdzenie jej niekwestionowanych talentów.

Devon spochmurniał jeszcze bardziej.

- Przez ostatnie dwa tygodnie kobiety znużyły mnie śmiertelnie. Niewiele brakuje, abym dołączył do tych, co wyznają celibat.

Zastoniwszy oczy ręką, Stamden spojrzał w niebo. - A ja wypatruję świń, które zaraz zaczną latać.

Devon zachichotał. Wrócił mu dobry nastrój. Nikt lepiej niż jego cyniczny przyjaciel nie potrafił nadać rzeczom właściwego znaczenia.

Zgrabnym trzaśnięciem z bata zmusił konie, aby skróciły za róg, a następnie zatrzymał je przed londyńską rezydencją

Sheffieldów. Ostrożnie, aby nie urazić bolącej nogi, wysiadł z kariolki i podał wodze parobkowi, który cały czas podążał za swoim panem.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział do markiza. - Obiecuję, że uporam się z księżną tak szybko, jak to tylko możliwe. Po południu mam jeszcze kilka ważnych spraw do załatwienia.

Stamden również wysiadł z kariolki i razem weszli do domu po niskich kamiennych schodach. Po chwili wiekowy, ponury lokaj wprowadził ich do przestronnego salonu na parterze.

Devon z prawdziwym zainteresowaniem rozejrzał się po uroczym pokoju. Ściany



pokrywała tapeta w delikatny chiński wzór kwiatowy, w kolorze złota, w której odbijały się poranne promienie słońca wpadające przez okna. Na podłodze leżał perski dywan mieniący się zgaszonymi odcieniami trzech kolorów: zielonego, niebieskiego i złote-go. Ustawione z rozwagą krzesła i sofy były w dwóch stylach: Hepplewhite i Sheraton. Ogólnie rzecz biorąc, w pokoju było znacznie więcej przestrzeni niż w większości ówczesnych modnych salonów, nie wyłączając bawialni matki Devona. Mimo to, a może dzięki temu, dobrze się poczuł w tej atmosferze ciszy i porządku.

- Bardzo miły pokój - mruknął Stamdén. Najwidoczniej odniósł to samo wrażenie. Devon nieoczekiwanie zaczął się zastanawiać, czy ten wdzięczny salon odzwierciedla gust obecnej księżnej. Taka możliwość wprawiła go w zakłopotanie. Zapamiętał ją przecież jako dziewczynę pozbawioną dobrego smaku.

W pewnym momencie poczuł delikatny aromat egzotycznych perfum, a po chwili usłyszał szelest spódnic zapowiadający przybycie gospodyni. Jedno spojrzenie wystarczyło, aby rozwiła się wszelka nadzieja na to, że minione lata przyćmiły jej urodę. Wręcz przeciwnie, była jeszcze piękniejsza niż w jego wspomnieniach. Nawet wdowia czern, w której większość kobiet wygląda nie-zdrowo i nieatrakcyjnie, w przypadku Moiry jeszcze bardziej podkreślała jej kremową karnację i błyszczące czarne włosy.

- Dzień dobry, milordzie. Dziękuję, że pan przyszedł  
- powiedziała tym samym ciepłym, lekko matowym głosem, który prześladował go w marzeniach przez ostatnie cztery lata. Oszacowała go przeciągłym, zimnym spojrzeniem.

Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jak musi wy-głądać w jej oczach - mężczyzna zniszczony wojaczką, dojrzały, niż wskazuje na to metryka, i ciężko opierający się na lasce, aby ulżyć chromej nodze.

- Wasza wysokość. - Obliznął wyschnięte i nie wiedzieć czemu, napięte wargi. - Pozwolę sobie przedstawić mego przyjaciela, Petera Forsythe'a, markiza Stamdén.

- Milordzie. - Księżna zaszczyciła Stamdén zapierającym dech w piersiach uśmiechem, a markiz, zazwyczaj zachowujący stoicki spokój, zamrugał, jakby ujrzał coś tak cudownego, czego ludzki umysł nie jest w stanie ogarnąć.

- A więc, lordzie S1. Gwyre - zaczęła Moira, zwracając się do Devona. W jej wyrazistych, migdałowych oczach zamigotał przelotny błysk rozbawienia - widzę, że potrzebował pan wsparcia, aby spotkać się ze mną. Zapewniam pana, że dla mężczyzny, który tak bohatercko radził sobie z doborowymi oddziałami Bonapartego, taka kobieta jak ja nie stanowi żadnego zagrożenia.

Devon zdziwił się, skąd Moira znała jego przeszłość wojenną? Jednak niemal natychmiast to uczucie zdumienia ustąpiło niechęci, jaką wzbudził w nim złośliwy język gospodyni. Spędził w jej obecności zaledwie pięć minut, a już zaczynał tracić kontrolę nad sobą. Roześmiała się miękko, a Devona przeszył dreszcz.

- Jak pan widzi, ja zastosowałam te same środki ostrożności - powiedziała, wypychając do przodu bladą kobietę o kasztanowych włosach, która stała pół kroku za nią. - Z tego, co wiem, zna pan moją towarzyszkę i przyjaciółkę, pannę Elizabeth Kincaid.

- Ależ oczywiście, znamy się z Elizabeth od dzieciństwa!

- wykrzyknął Devon, zaszokowany widokiem naj starszej córki wiejskiego pastora w domu cieszącej się fatalną sławą księżnej. Czyżby sytuacja tej rodziny była aż tak zła, że musieli zatytykować reputację Elizabeth, aby zapewnić jej pracę? Postanowił więc zaraz po powrocie do Kornwalii odwiedzić pastora i zażądać wyjaśnień.

Uścisnął małą dłoń Elizabeth.

- Mnóstwo czasu w dzieciństwie i młodości spędzałem na ciągnięciu tej damy za warkoczyki - powiedział łagodnie.

- Twoje żarty, milordzie, były jeszcze gorsze. - Twarz Elizabeth pokrył uroczy rumieniec, wysunęła rękę z dłoni Devona i podała ją markizowi. Trzeba przyznać, że podobnie jak

księżna, nawet nie mrugnęła na widok Stamdena. Przez jego zniekształconą twarz przeleciało coś na kształt uśmiechu.

- Nie zatrzymam pana długo - oświadczyła księżna, przechodząc od razu do rzeczy. Wszyscy usiedli. - Za-prosiłam pana, pragnąc nakłonić go, aby zmienił zdanie i przejął opiekę nad moim pasierbem. - Upokorzyła się przed nim. Kiedy tylko Devon ujrzał Moirę, już wiedział, ile to spotkanie musiało ją kosztować. Zatem skąd ta poza bezradnej wdowy? Nawet jej strój pasował do roli, jaką odgrywała. Ani jedna sztuka biżuterii nie przyozdabiała zaskakująco niemodnej sukni, a włosy miała upięte w najskromniejszy z koków. Zdaniem Devona, nieco przesadziła. Dziwne, że nie przyszło jej do głowy, aby włożyć włosiennicę i posypać głowę popiołem.

Porzuciwszy rozważania nad przyczynami jej zachowania, Devon dostrzegł, że Moira obserwuje go bardzo uważnie, jakby chciała odczytać jego naj skrytsze myśli.

\_ Obiecuję, że Charles nie sprawi ci najmniejszego kłopotu, milordzie. Nie potrzebuję pomocy przy wychowy-waniu chłopca - powiedziała ze wzruszającą szczerością, a Devon omal uwierzył w uczciwość jej zamiarów.

\_ Moja decyzja jest ostateczna - oświadczył zimno.

Na moment coś w rodzaju przerażenia pojawiło się w oczach księżnej.

\_ Lecz jeśli nie zgodzi się zostać pan jego opiekunem, urząd ten zostanie przyznany kuzynowi księcia, wice-hrabiemu Quentinowi. Obawiam się, że stworzy to za-grozenie dla życia Charlesa - wyjaśniła zdławionym głosem.

Słyszac dramatyczną wypowiedź księżnej, Devon sceptycznie uniośł brwi.

\_ To szlachcic i najbliższy krewny chłopca. Jego kandydatura powinna być oczywista. Szczerze mówiac, nie rozumiem, czemu stary książę nie powierzył mu w testamencie funkcji opiekuna.

\_ Mój mąż miał po temu powody - powiedziała Moira bezbarwnym głosem. - Czy zna pan wicehrabiego?

- Nie.

- Ale ja tak - włączył się do rozmowy Stammen.

Zaskoczony poważnym wyrazem twarzy przyjaciela, Devon czekał teraz na rozwój sytuacji.

Stammen wzruszył ramionami.

\_ Jak powszechnie wiadomo, Quentin jest bywalcem najgorszych jaskiń hazardu w Londynie. Krążą plotki, że ostatnio splukał się do cna i tylko marzy, aby położyć ręce na grubszej forsie. Już to wystarczyłoby do odrzucenia jego kandydatury na opiekuna chłopca, który ma odziedziczyć nieprzeciętną fortunę. Ale nasze sądy są takie, jakie są, i nie zawsze można liczyć na sprawiedliwość.

Stammen przekazał Devonowi milczące ostrzeżenie.

Wykształcili w sobie tę sztukę przez lata wspólnej walki na Półwyspie. Na widok wyrazu oczu markiza w Devonie naprężył się każdy nerw. Choć nie wiedział, co przyjaciel ma na myśli, doświadczenie kazało mu przyjąć jego przesłanie bez namysłu. Niejednokrotnie takie ostrzeżenia bez słów w chwilach wielkiego niebezpieczeństwa ocaliły im życie.

Kącikiem oka dostrzegł pytanie malujące się na twarzy księżnej. Ona też bacznie obserwowała Stamdena. Ta kobieta była zbyt szybka i bystra, jak na gust Devona.

- Co sugerujesz, Peterze? - zapytał ostrożnie. Miał głębokie przeświadczenie, że odpowiedź nie przypadnie mu do gustu. Zbyt często jednak powierzał swe życie w ręce przyjacielowi, aby teraz zlekceważyć jego osąd.

## Rozdział drugi

Daleki jestem od wtrącania się w twoje sprawy - powiedział Stammen przymilnie. Devon od razu zrozumiał, iż to, co przyjaciel próbuje mu przekazać, albo przed nim ukryć, jest niezmiernie ważne. - Ale moim zdaniem, zanim ostatecznie odrzucisz propozycję przejęcia opieki nad chłopcem, chyba najpierw powinieneś się z nim spotkać.

Księżna bez zwłoki podchwyciła myśl Stamdena.

- To nader rozważna sugestia - stwierdziła, obdarzając markiza wdzięcznym spojrzeniem.

- Tak, muszę przyznać, że jest w tym pewna logika - niechętnie przyznał Devon, zastanawiając się jednocześnie, do czego Peter zmierza i jaki ma w tym cel.

- Oczywiście. - Księżna z niepokojem w oczach obserwowała twarz Devona. - Prosiłabym jednak, milordzie, o wyrozumiałość. Charles to wyjątkowo nieśmiałe dziecko. Wiedząc, że jest obserwowany, nie pokaże się z najlepszej strony. Czy moglibyśmy tak zaaranżować spotkanie, aby nie zauważył, że ktoś na niego patrzy?

- Po drodze, niedaleko wejścia do Green Parku, wystawiają "Punch i Judy" - powiedział Stammen. - Chłopcu przedstawienie zapewne przypadnie do gustu, a jeśli hrabia wmisza się w tłum widzów, księżę nie spostrzeże, że jest pod obserwacją.

Devon czuł się jak piłka odbijana od księżnej do Stamdena i z powrotem. Najwyraźniej tych dwoje doszło do cichego porozumienia, jemu zaś nie pozostaje nic innego, jak tylko przystać na ich plan. Widząc rozbawienia na twarzy Elizabeth Kincaid uświadomiła sobie, że nawet ta najniewinniejsza z dam zdaje sobie sprawę z owych tajemniczych prądów przepływających teraz przez salon.

- Jaki szczęśliwy zbieg okoliczności! Księżę uwielbia przedstawienia. - Powiedziawszy to, księżna wstała i zaczęła niespokojnie przemierzać pokój.

Devon skrzywił się.

- Miałem dziwne przeczucie, że tak będzie.

Moira spłonęła rumieńcem. Unikając wzroku Devona, spojrzała na Stamdena, jakby szukała w nim podpory.

- Czy druga po południu odpowiada panom?

- Doskonale. Nie może być lepiej. Devonie, wspominałeś wcześniej, że nie masz żadnych planów na dzisiaj, prawda?

Devon obrzucił przyjaciela groźnym spojrzeniem. Czyżby zazwyczaj wyjątkowo zrównoważony markiz stał się najnowszą ofiarą czaru przepięknej księżnej?

- Do diabła, w co ty grasz? - mruknął, kiedy kilka minut później rozstali się z kobietami.

- Cierpliwości - odpowiedział lakonicznie Peter. Devon wdrapał się do kariolki na miejsce woźnicy.

Począł, aż przyjaciel usiadł obok niego, po czym ujął lejce.

- Co do jednego miałeś rację - zauważył Stammen.

- Księżna to chyba najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widziałem. I najbardziej ekscentryczna. Ciekawe, co powiedzieliby zwolennicy ścisłego przestrzegania etykiety, gdyby zobaczyli ją w stroju odpowiednim raczej dla wdowy po kowalu niż po jednym z najbogatszych ludzi w Anglii.

„Że jest łobuzicą, która stanie na głowie, aby tylko postępować po swojemu. I mieliby rację - stwierdził gorzko Devon. - Ale nie w tym rzecz. Z tego interesującego dramatu, jaki właśnie odegrałeś wraz z księżną, wnioskuję, że wicehrabia Quentin ma na sumieniu coś znacznie gorszego niż długi.

Stammen kiwnął głową. Fioletowa nierówna blizna przecinająca lewy policzek markiza uwydatniała ponury wyraz jego twarzy.

- Na East Endzie wicehrabia odwiedza nie tylko jaskinie hazardu. Gości często w burdelach specjalizujących się w zaspokajaniu perwersyjnych i zboczonych potrzeb klientów. Szczerze mówiąc, wszystkie opactwa, z wyjątkiem tych cieszących się najgorszą sławą, zamknęły przed nim swe podwoje. Już na samą myśl, że takie zdeprawowane indywiduum mogłoby przejąć kontrolę finansową nad chłopcem i jego przepiękną macochą, ścina mi się krew w żyłach.

Palce Devona nieświadomie zacisnęły się mocniej na wodzach. Stammen przekazał mu dziwaczne, ale prawdopodobne informacje. Wicehrabia nie byłby pierwszym członkiem śmietanki towarzyskiej, prowadzącym tak zwane podwójne życie. Devon zaklął przez zaciśnięte wargi.

- Jeśli to prawda, zaczynam rozumieć, czemu, mimo naszej wzajemnej animozji, księżna tak desperacko pragnie, abym przejął obowiązki opiekuna.

- Właśnie. - Rzeczowy ton Stamdena przeczył nienawistnemu wyrazowi jego oczu. - Złożę się, że księżna na własnej skórze doświadczyła, z jakim monstrem będzie miała do czynienia, jeśli ty odmówisz. Stary mąż o słabym zdrowiu daje młodej żonie niewielką ochronę.

Obserwował Devona z natężeniem, które każdego wprawiłoby w zakłopotanie.

- Powiedz mi, przyjacielu, ale szczerze, czy rzeczywiście aż tak bardzo nienawidzisz tej kobiety, że chcesz oddać ją wraz z tym niewinnym dzieckiem w ręce takiego człowieka?

Tuż po drugiej Devon zatrzymał kariołkę przed wejściem do parku Green, podając wodze parobkowi.

- Do miejsca spotkania z księżną będziemy niestety musieli dotrzeć na piechotę - powiedział. - W parku jest zbyt tłoczno, abym zdołał przejechać powozem.

Faktycznie. Mimo że letowe powietrze nadal było chłodne, pierwszy prawdziwie słoneczny dzień tego roku wyciągnął z domów zmęczonych zimą londyńczyków. Ulice były zatłoczone, a długa kolejka powozów czekała na wjazd do Hyde Parku. Kiedy dotarli do Green Parku, zobaczyli tłum widzów zgromadzonych wokół pospiesznie wzniesionej sceny.

Kilka minut później, po znacznie dłuższym spacerze, niż tego oczekiwał, Devon zatrzymał się obok prowizorycznego podium, na którym wystawiono przedstawienie. Choć od jego powrotu z Hiszpanii minęły już dwa lata, to nadal, zwłaszcza po dłuższej przechadzce, bolała go noga. Teraz rwała. Niczym zepsuty ząb i Devon z niechęcią myślał o przepychaniu się przez hałaśliwy, gwiżdżący tłum, zachwycony tym, jak brudny Punch okłada swoją Judy pałką i wyrzuca ją przez okno papierowego domku.

- Mam już dość tej cholernej nogi - jęknął, opierając się ciężko na lasce. Chciał zdjąć ciężar ciała z umęczonej kończyny. Po chwili, przeklinając samego siebie za niewrażliwość i grubiaństwo, przypomniał sobie kalectwo Petera. Na szczęście przyjaciel był zbyt zajęty szukaniem księżnej, aby zwrócić uwagę na niezręczną wypowiedź Devona.

- Tam są. - Pokazał palcem na środek tłumy.

Między księżną i Elizabeth stał mały chłopiec. Spojrzawszy we wskazane miejsce, Devon napotkał wzrok Moiry. Na widok wyrazu przerażenia malującego się na jej twarzy, serce zabiło mu mocniej.

- Coś poszło nie tak - stwierdził, widząc, jak obie kobiety i chłopiec pospiesznie się ku nim przepychają.

Pierwsza dotarła Elizabeth.

- Dzięki Bogu, że przyszliście - powiedziała z przejęciem. - Kiedy was nie było o umówionej porze, zaczęłyśmy się obawiać ... ale teraz, skoro przyjechaliście, wszystko już będzie w porządku.

- Przecież obiecaliśmy. - Stammen spojrzał na poruszoną kobietę. - Proszę nam powiedzieć, co panią tak zdenerwowało.

- Jej wysokość jest ogromnie zaniepokojona. Uważa, że od wyjścia z domu ktoś nas śledzi.

Devon natychmiast się ożywił.

- Niech to diabli! Czy zauważyła, kto to?

- Nie. - Za plecami Elizabeth pojawiła się księżna.

Niezwykle blada, popatrzyła na Devona oczyma, które wyrażały zatroskanie. Nawet ich kolor wyraźnie się teraz zmienił.

- Więc skąd pani wie, że was śledzono?

- Zbyt silnie wyczuwałam ich złowieszczą obecność, abym mogła się mylić.

- Ich obecność? - powtórzył sceptycznie Devon. - Nikogo pani nie widziała, a jednak jest

pewna, że śledziło ją kilku ludzi.

Niedowierzenie hrabiego było oczywiste, a prawie nie skrywany wyraz pogardy na jego twarzy pozwolił księżnej odgadnąć, co myśli. Zdaniem Devona, jest tylko kłopotliwą histeryczką, albo jeszcze gorzej - kobietą zdolną wymyślić nierealne niebezpieczeństwo tylko po to, aby go zmusić do zaoferowania księciu opieki.

Zaczerwieniła się z zakłopotania.

- Jestem pewna, milordzie. Proszę nie pytać, skąd wiem. Nie mogę tego wyjaśnić, ale nie mam wątpliwości. - Wzięła głęboki, uspokajający wdech. - Proszę mi wierzyć, muszę natychmiast zaprowadzić Charlesa w bezpieczne miejsce. Spróbowałabym dotrzeć do powozu wcześniej, ale stwierdziłam, że lepiej będzie w tłumie poczekać na panów przybycie.

- Mądra decyzja, wasza wysokość - zgodził się uprzejmie markiz, ale spojrzenie, jakie posłał hrabiemu, mówiło bez ogródek: "Nie sprzeciwiaj się idiotce".

W rzeczywistości bowiem nie mogła winić ani markiza, ani hrabiego za brak wiary w jej słowa. Bez trudu też zdołałaby sobie wyobrazić ich reakcję, gdyby oświadczyła, że po matce - Cygance - odziedziczyła tajemniczą zdolność wyczuwania niebezpieczeństwa grożącego bliskim jej osobom. Ten dar przechodził z pokolenia na pokolenie na wszystkie kobiety w rodzinie Moiry.

Nie, tego sekretu nie wyjawiała żadnemu gaujo. Nawet jej przyjaciel i opiekun, stary książę, nie wiedział o związkach Moiry z Romami. Jeszcze w dzieciństwie przekonała się, i to w bolesny sposób, że ludzie nie ufają i nie darzą sympatią tych, w których żyłach płynie cygańska krew, nawet gdyby to była krew dumnych hiszpańskich gitanos.

\_ Markiz i ja odprowadzimy panią do powozu, jeśli takie jest pani życzenie, wasza wysokość - powiedział hrabia chłodnym tonem, który, jak zauważyła, zarezerwował wyłącznie dla niej. - Możemy też uznać nasze sprawy za zakończone, przynajmniej na razie.

\_ Zakończone! - Moira wbiła w niego gniewny wzrok, a przerażenie ścisnęło ją za gardło. - Jak to, nie chce pan nawet poznać chłopca?

\_ Muszę przełożyć tę przyjemność na inny termin \_ oświadczył zimno. - Jeszcze dzisiaj zamierzam się spotkać z prawnikiem i prosić, aby rozpoczął działania związane z powierzeniem mi opieki. W świetle tego, co usłyszałem od Stamdena na temat wicehrabiego Quentina, uważam, że nie należy zwlekać z przekazaniem księcia pod moją ochronę.

Moira odczuła tak wielką ulgę, że do jej oczu napłynęły łzy wdzięczności.

\_ Dziękuję ci, milordzie, dziękuję z całego serca - powiedziała i bezwiednie położyła mu dłoń na ramieniu. Ale natychmiast ją cofnęła, poczuła bowiem, jak hrabia sztywnieje. Najwidoczniej nadal żywił do niej nienawiść za to, że przyczyniła się do śmierci brata, i tylko wielkie poczucie honoru zmuszało go do przedłożenia dobra niewinnego dziecka nad własne uczucia.

Kiedy zastanowiła się nad rozmiarami nienawiści hrabiego, przeszył ją dziwny ból. Gdyby wiedział, co naprawdę zrobiła biednemu Blaine'owi. Natomiast jednak zganiła się w myślach. Opinia Devona St. Gwyre na temat jej osoby nie mało żadnego znaczenia. Należało tylko pamiętać, że książę Sheffield, wybierając go na protektora swego syna, postąpił słusznie.

Teraz, kiedy hrabia powziął już postanowienie, jeszcze silniej zapragnęła, aby wiedział coś więcej o chłopcu. Patrząc na uniesioną twarzyczkę dziecka, pełnym miłości gestem przesunęła dłońią po jego ciemnych lokach.

- Ten miły pan to hrabia Langley, kochanie. Uchodzi za jednego z najlepszych jeźdźców w całej Anglii i z pewnością chętnie posłucha o twoim kucyku. Ponieważ brak czasu nie pozwala mu złożyć nam wizyty, może więc pójdziecie teraz razem do powozu. Ja z Elizabeth i markizem podążymy za waffil.

Devon tępym wzrokiem patrzył na księżną i małego chłopca, którego tak czule głaskała.

Niech to diabli! Co ta głupia kobieta knuje tym razem? Zgodził się przejąć opiekę nad księciem i zamierza dopilnować, aby jego rozliczne majątki i posiadłości były mądrze zarządzane, dopóki chłopak nie osiągnie pełnoletności. Ale to jeszcze nie oznacza, że potrafi rozmawiać z siedmiolatkiem. Nigdy nie umiał postępować z dziećmi. Ich mali siostrzeńcy i siostrzenice zawsze garnęli się do Blaine'a, nie do niego.

Po raz ostatni rzuciwszy wymowne spojrzenie na tę irytującą kobietę, która zdołała go zmusić, aby postąpił po jej myśli, ruszył w kierunku postojów powozów. Chłopiec natychmiast znalazł się u jego boku.

Ścieżka wiała się wśród wiekowych dębów, które wiosną miały utworzyć zielony baldachim, hen gdzieś nad głowami zwykłych śmiertelników. Teraz, na tle słonecznego i bezchmurnego nieba sztywne brązowe gałęzie sprawiały wrażenie dziwnie nagich i jakby nie na swoim miejscu.

Kącikiem oka Devon obserwował swego milczącego towarzysza. Przyszło mu na myśl, że książę jest wyjątkowo ładnym chłopcem - o jasnej cerze, ciemnych włosach i jeszcze ciemniejszych oczach otoczonych długimi czarnymi rzęsami. Jednak, jak na gust Devona, był zbyt delikatny. Zapewne za dużo przebywał w otoczeniu rozpieszczających go kobiet.

Bezwiednie odchrząknawszy, rozpoczął odpowiednią, jego zdaniem, rozmowę.

- Wiem, że masz na imię Charles.

- Tak milordzie. Charles Richard Algernon Handley.

Devon uśmiechnął się pod nosem. Taki mały chłopiec, a tak poważnie się nazywa.

- I masz kucyka?

- Tak milordzie. Pochodzi z Galloway, ze Szkocji. Ma na imię Gwiazdny Ogień. - Z trudem przełknął ślinę.

- Tatuś dał mi go na urodziny.

- Jeśli o to chodzi, to mój tata też mi podarował kucyka na siódme urodziny. Nazwałem go Czarodziej - odparł z uśmiechem Devon.

Chłopiec obdarzył go poważnym spojrzeniem ciemnych oczu.

- Mój tatuś umarł i poszedł do nieba.

Serce Devona boleśnie zadrżało. Siedmiolatek nie powinien tracić ojca.

- Mój ojciec umarł zaledwie dwa lata temu - rzekł, bo nic innego nie przyszło mu do głowy.

- Wielu ludzi umiera.

- Tak. - Devon widział, że chłopiec jest głęboko poruszony utratą ojca i tak jak każde dziecko zakłopotany kwestią nieuchronności śmierci. Nagle zapragnął powiedzieć coś pocieszającego, ale nie znalazł odpowiednich słów.

- Mama mówi, że wielu dobrych Anglików zginęło w wojnie przeciw potworowi z Korsyki.

- To prawda.

Wyraziste brwi młodego księcia uniosły się, nadając jego twarzy wyraz niedowierzania.

- Ale jak człowiek może tak po prostu umrzeć ... i już nigdy więcej z nikim nie rozmawiać, ani nie trzymać niczyjej ręki?

Devon sam sobie zadawał to pytanie. Wielokrotnie, w ferworze walki, widział, jak jego towarzysz, który jeszcze przed chwilą stał obok niego cały i żywy, nagle pada na ziemię martwy na tym przesiąkniętym krwią polu walki, którego nazwy żaden szanujący się Anglik nie potrafi nawet poprawnie wymówić.

- Nie wiem - odpowiedział szczerze - poza tym, że śmierć jest takim samym faktem w życiu, jak narodziny.

Dziwne, ale chłopiec wydawał się usatysfakcjonowany tym mętłym wyjaśnieniem. Przez dłuższą chwilę szli, pogrążeni w milczeniu. Z każdym jednak krokiem narastał ból w nodze, a Devon coraz silniej opierał się na lasce.

- Czy używa pan laski, milordzie, z powodu rany odniesionej na wojnie? - zapytał młody książę z wyrazem twarzy zbyt poważnym jak na siedmiolatka.

- Tak - odparł Devon, z pewnością zdając sobie sprawę że utyka. - Mój przyjaciel, markiz, też został ranny podczas wojny - dodał, nie chcąc, aby ciekawski chłopiec zapytał Petera, skąd się wzięły blizny na jego twarzy.

- Wiem. Mama mi powiedziała. Ale nie wolno go o to pytać, bo mógłby się zasmucić. - Nagle drgnął. - Czy źle zrobiłem, że zapytałem o pana nogę?

- Wcale nie - odpowiedział z wahaniem Devon. Zastanawiał się nad tym, o ilu jeszcze rzeczach powinien chłopcu opowiedzieć. I nagle, widząc oszołomienie, w ciemnych oczach Charlesa, właściwe słowa. - Zawsze możesz mnie pytać o wszystko, ponieważ twój tatuś wybrał mnie na twego opiekuna. - Uśmiechnął się. - Wiesz, co to oznacza?

- Nie, milordzie.

- To znaczy, że chciał, abym został twoim bliskim przyjacielem i pomógł twojej mamie wychować cię na mężczyznę.

- To dobrze - powiedział chłopczyk. - Nigdy nie miałem takiego przyjaciela. - Obrzucił hrabiego poważnym spojrzeniem. - Ale ty nie umrzesz, prawda?

Serce Devona ponownie ścisnął bolesny skurcz.

- Nie, Charlesie, nie umrę ... a przynajmniej przez bardzo, bardzo długi czas - obiecał uroczyście.

U sta chłopca zadrżały, ale zaraz uniósł brodę i obdarzył Devona dzielnym uśmiechem - dumny, młody arystokrata w każdym calu.

- Tatuś bardzo mnie kochał - powiedział, po czym, na znak ich przyszłej przyjaźni, wsunął małą rączkę w dużą dłoń Devona.

Nagłe uczucie przerażenia ogarnęło hrabiego. Dotyk ufnych paluszków poruszył czułe miejsce, głęboko skrywane od dnia śmierci Blaine'a. Nie był pewny, czy zdoła poradzić sobie z targającymi nim emocjami.

Jedno tylko wiedział. W jakiś sposób ta krucha istota wzbudziła w nim potrzebę zapewnienia chłopcu bezpieczeństwa. Było to uczucie, które bez wątpienia dzielił teraz z księżną. Nieważne jak bardzo gruboskórna i chciwa mogła być Moira w stosunku do całej reszty ludzkiej rasy, skoro jej troska o pasierba wydawała się szczerą. Devon westchnął z rezygnacją. Może ta łącząca ich cienka nić uczyni znośnymi wspólne interesy dotyczące księcia.

Devon i jego podopieczny szli dalej po krętej ścieżce.

Trzymali się za ręce, a każdy z nich pogrążony był we własnych myślach. Tylko żwir chrzęszczący pod nogami zakłócał tę ciszę. Reszta towarzystwa znajdowała się tak daleko w tyle. W tej odosobnionej części parku spotykali coraz mniej ludzi i w pewnym momencie zostali zupełnie sami.

Nagle krzepki mężczyzna, ubrany w zniszczony marynarski strój, z opaską na lewym oku, wyskoczył na ścieżkę, zagradzając im drogę.

- Tera ja bierę szczeniaka, panie, szybko i zgrabnie, zanim twój jednoręki przyjaciel tu dotrze. Lepiej mi nie przeszkadzaj. Nie chce krzywdzić faceta, który, jak widzę, bił żabojadów. Sam przetrzepałbym im skórę. Ale zrobię, co muszę, i kropka. Nie bende strzępić języka, bo znam kogoś, kto da mi niezłą forszę za bachora.

W pierwszej chwili ten atak zdumiał Devona. Ponury wielkolud okazał się urzeczywistnieniem tajemniczych obaw księżnej. W następnym momencie hrabiego ogarnęła prawdziwa wściekłość. Wiedział, że bez cienia wyrzutów sumienia gotów jest dopisać zakończenie w księdze żywota bandziora.

- Odsuń się, ty ludzki śmieciu - warknął, biorąc szeroki zamach laską, niczym kijem do krykieta. - Dotknij chłopca choć palcem, a roztrzaskam ci tę obrzydliwą czaszkę jak skorupkę jajka.

- Słyszałeś, Rigger? Arystokracik rzuca groźby. Pewnie się już cały trzęsiesz ze strachu, co? - owiedział ktoś szyderczo tuż za uchem Devona.

Hrabia poczuł odór nie mytego ciała i oddech zięjący gorzkim zapachem piwa, a w chwilę później - jakiś ucisk pod żebrami. To musiała być lufa pistoletu.

Szeroki uśmiech, ukazujący bezzębne szczęki, pojawił się na twarzy typa zwanego Riggerem.

- Sam widzisz, panie, że Weasel nie ma tak miękkiego serca jak ja. Zanim mrugniesz okiem, przedziurawi cię na wylot.

Devon drgnął. Doskonale wiedział, że jeśli spróbuje sięgnąć po broń wciśniętą za pasek spodni, natychmiast padnie trupem. Wyczuwał drżenie stojącego obok księcia, ale z zaciśniętych ust Charlesa wydarł się tylko ledwie słyszalny jęk. Devona ogarnęła fala prawdziwej dumy i gorącego uczucia do tego dzielnego chłopczyka.

Kiedy szukał w myślach najlepszego sposobu na uratowanie życia podopiecznego, opanował się natychmiast. Taki sam spokój ogarniał go zawsze, kiedy wyruszał za Wellingtonem w bój. Tym razem musi stawić czoło tylko dwóm przeciwnikom, a nie całym hordom generałów Soult'a i Ney'a. Lecz, jak na ironię losu, jego szanse na przeżycie były teraz znacznie mniejsze niż podczas wielkich bitew na Półwyspie. Nie miał żadnych wątpliwości co do tego, że Weasel nie strzępił na próżno języka, a Rigger - pomimo szlachetnych deklaracji - miał tak zimne spojrzenie, jak londyński kat.

Chłopiec drżał coraz silniej, a Devon odczuwał potrzebę, aby go chronić. Nawet gdyby miało się okazać, że nie będzie długo opiekunem księcia, to na wszystkie świętości, do ostatniego tchu zamierzał bronić podopiecznego.

Wysunął rękę z dłoni Charlesa, położył ją na plecach dziecka i mocno go pchnął.

- Uciekaj! - zawołał. - Uciekaj i nie oglądaj się za siebie. - W tej samej chwili rzucił się do przodu z uniesioną laską i z całych sił uderzył Riggera w golenie, aby połamać nogi napastnika.

Zwalisty mężczyzna padł na ziemię, jęcząc z bólu.

Devon, niepewnie balansując na zdrowej nodze, obrócił się w kierunku Weasela. Zobaczył pistolet wymierzony prosto

w swoje serce. Przez moment wpatrywał się bezmyślnie w to śmiercionośne narzędzie, niemal fizycznie czując potoki czerwonej krwi krążącej w żyłach, która za chwilę może zostać przelana.

Nigdy przedtem nie czuł się ani bardziej podniecony, ani mniej gotowy na spotkanie z ponurym zniwiarzem. Dziwna rzecz, żałował tylko, że nie zdoła dotrzymać słowa danego małemu księciu, że będzie długo żył... i tego, że nigdy już nie zobaczy pięknej Moiry.

Poczucie czającego się niebezpieczeństwa, które nie opuszczało Moiry od momentu wyjścia z domu, ustało, kiedy dołączył do nich hrabia z markizem, a potem decyzja hrabiego uspiła jej czujność.

Teraz już wiedziała, że popełniła wielki błąd pozwalając Charlesowi oddalić się z nowym opiekunem, podczas gdy reszta towarzystwa pozostawała w tyle. Kiedy wraz z Elizabeth i Stammenem dotarła do zakrętu, za którym nieco wcześniej zniknęli Charles z hrabią, ośladną ją przemożny strach.

- Coś złego się stało. - Powiedziawszy te słowa, zaczęła biec.

Markiz dogonił ją szybko.

- Niech to diabli. Co się stało?

- Są w niebezpieczeństwie. Czuję to - wysapała i minawszy zakręt, ujrzała scenę, która potwierdzała jej obawy. Bez chwili wahania zatrzymała się, uniosła spódnicę i z pochwy przywiązanej do łydki wyciągnęła nóż. Zręcznym ruchem wycelowała go wprost w rękę, która trzymała pistolet wymierzony w hrabiego Langley. Moira ćwiczyła ten manewr przez długie lata, odkąd jej dziadek uznał, że jest wystarczająco duża, aby nauczyć się władać śmiertelną bronią.

Siła uderzenia sprawiła, że bandyta przekoziółkował i z bolesnym krzykiem padł na ziemię, rozbijając głowę o kamienie. Pistolet wypalił, ale kula, nikomu nie robiąc krzywdy, trafiła w pień drzewa. Tylko przestraszone wystrzałem szpaki z wrzaskiem odleciały z gniazd.

- Święta Matko Boska! - Stammen podbiegł do przyjaciela i wycelował pistolet w drugiego



ze zbirów, który wił się na ziemi niczym wyrzucony na brzeg wieloryb. Kilka metrów dalej, twarzą do ziemi, leżał trafiony przez Moirę łotr, a w jego kościstym ramieniu tkwił nóż. Młody książę, blady jak pergamin, rzucił się prosto w ramiona macochy. Elizabeth, oparta o to samo drzewo, w które trafiła kula, ukryła twarz w dłoniach i cicho łkała. - Do diabła! Kazałem ci uciekać - warknął hrabia, ale pełne dumy spojrzenie, jakim obdarzył chłopca, złagodziło ostre słowa.

'- Nie mogłem, milordzie. Moje nogi nie chciały iść. - Pojedyncza łza stoczyła się po policzku Charlesa na jedwabną suknię Moiry. - Ja ... ja się bałem.

Hrabia roześmiał się miękko.

- Ja też chłopcze, ja też. Lecz gdyby nie markiz i jego mistrzowski rzut nożem, nie mógłbym już tego przyznać.

Odwróciwszy się do Stamdena, wyciągnął rękę.

- I znów uratowałeś mi życie, przyjacielu. - Ale kiedy i gdzie nauczyłeś się tak wspaniale władać nożem? Nigdy przedtem nie widziałem, żebyś używał tej broni.

Stamden nonszalancko wzruszył ramionami.

- Nic dziwnego. Z pistoletem albo szablą w dłoni gotów jestem stawić czoło każdemu, lecz sztuka rzucania nożem jest mi całkowicie obca.

Postąpił do przodu, przycisnął obcasem szyję leżącego bandziora i wyciągnął nóż. Dwoma zamaszystymi ruchami wytarł ostrze do czysta, używając koszuli bandyty, ujął je między kciuk a palec wskazujący i podał Moirze, odwracając rękojeść ku przodowi.

- To chyba należy do ciebie, wasza wysokość - powiedział z diabelskim uśmiechem.

### Rozdział trzeci

Moira była pewna, że do końca życia nie zapomni wyrazu oburzenia i niedowierzania na twarzy Devona St. Gwyre, kiedy markiz Stamden oddał jej nóż. Devon podziękował za uratowanie życia uprzejmie, lecz takim tonem, jakby dziękował za herbatniki podane w czasie podwieczorku. Obdarzył ją przy tym spojrzeniem, które mogłoby zamrozić całą Tamizę. Gdyby nie fakt, że prędzej czy później zostanie zmuszona do wyjaśnienia przyczyn, dla których z takim mistrzostwem włada nożem, obecna sytuacja byłaby nawet zabawna.

W tym momencie od złożenia wyjaśnień wybawiło Moirę zamieszanie związane z przybyciem stróżów prawa. Policjanci podnieśli z ziemi niedoszłych porywaczy i zabierali ich do więzienia.

Zl;Inim wszystko się uspokoiło, hrabiego tak bardzo rozboleła noga, iż nie był w stanie zadawać jakichkolwiek pytań. W milczeniu, z pobladałą twarzą, odprowadził Moirę, Elizabeth i Charlesa do książęcego powozu, a następnie, mocno kulejąc i opierając się na lasce, dotarł do swojej kariolki. Niestety, nie był w stanie wsiąść o własnych siłach, musiał się więc uciec do pomocy markiza i parobka.

- Jego lordowska mość był zażenowany faktem, że widzieliśmy go w takim stanie - powiedziała Elizabeth. - Choć przecież stara rana odezwała się z powodu jego dzielnej postawy wobec napastników. Mężczyźni to śmiesznie dumne istoty. W ich mniemaniu najmniej sza oznaka słabości kładzie cień na ich męskości. - Zmarszczyła czoło. - Miejmy jednak nadzieję, że okaże się rozsądny i pośle po doktora.

Moira nie odezwała się, choć podzielała zdanie Elizabeth.

Nie chciała jeszcze bardziej niepokoić towarzyszek mówiąc jej o tym, co widziała. Kiedy wiatr rozwiął połę płaszcza hrabiego, dostrzegła świeżą krew na prawej nogawce. Miała nadzieję, iż markiz dopilnuje, aby lekarz obejrzał nogę Devona.

Szczerze mówiąc, nadal była w szoku. Nie mogła jasno myśleć. Wiedziała tylko, że Charles musi jak najszybciej znaleźć się w domu. Tam będzie bezpieczny. Wprawdzie od dawna domyślała się, że wicehrabia Quentin desperacko pragnie przejąć kontrolę nad majątkiem chłopca, to jednak dopiero teraz przekonała się, jak bardzo mu na tym zależy. Musi podjąć wszelkie środki ostrożności i zapewnić pasierbowi odpowiednią ochronę.

Potwornie zmęczona, oparła głowę o atlasowe poduszki powozu i zamknęła oczy; choć poczucie bezpośredniego zagrożenia minęło, nie odzyskała jeszcze spokoju. Myśli kłębiły się niczym wir rzeczny, gnały jak oszalałe. aż w końcu jedna z nich wynurzyła się na powierzchnię.

Moira przypomniła sobie okoliczności, w jakich objawił się jej "dar". Instynkt ostrzegał o niebezpieczeństwie grożącym bliskiej jej sercu osobie. W zamęcie nie zwróciła uwagi na fakt, iż oczyma duszy ujrzała wówczas twarz Devcina St. Gwyre.

Jak to możliwe? To przecucie dotyczyło zawsze, tak w jej, jak i w przypadku matki oraz babki, wyłącznie osób im bliskich. A przecież to, co czuła do hrabiego Langley, z miłością nie miało nic wspólnego. Choć była mu głęboko wdzięczna za bohaterską obronę Charlesa, to jednak do tego butnego diabła, który nazwał ją niegdyś dziewczką swojego brata, czuła tylko niechęć.

Tym razem Wielki Duch Wszelkiej Natury, który obdarzał niektóre Cyganki "darem", pomylił się, odczytując emocje Moiry.

Kochać tego aroganckiego gaujo? Nigdy! Można jej przypisać rozliczne wady, ale na pewno nie głupotę.

Przez cały tydzień utrzymywała się słoneczna pogoda.

Serce pękało Moirze z bólu za każdym razem, kiedy widziała, jak Charles z nosem przylepionym do szyby obserwuje dzieci z sąsiedztwa bawiące się na ulicy albo idące do parku pod opieką niań. Jednak po ostatnich wydarzeniach nie miała odwagi wypuścić chłopca na dwór, zwłaszcza że zarówno John Footman, jak i jedna z pokojówek zauważyli podejrzanego osobnika za słupem latarni po drugiej stronie placu.

Logika podpowiadała, że powinni niezwłocznie wracać do Kornwalii. Tylko tam zdoła zapewnić Charlesowi bezpieczeństwo. Aby jednak wywieźć chłopca z Londynu, Moira potrzebowała zgody hrabiego Langley. Tymczasem, oprócz tego, że przysłał kopie dokumentów dotyczących opieki, i to już w godzinę po fatalnych wydarzeniach w parku, więcej się do nich nie odezwał.

Od pięciu dni czekała na odpowiedź - posłała bowiem do niego pisemną prośbę. Była w coraz gorszym nastroju i coraz bardziej zdenerwowana. Z jednej strony miała wrażenie, że cały świat zamarł w oczekiwaniu na decyzję aroganckiego hrabiego, z drugiej zaś myśl o ponownym spotkaniu z Devonem i konieczności odpowiedzi na nieuniknione pytania, wywoływała w niej panikę.

Jeśli wymknie się jej choć jedno słowo na temat rodziców, hrabia bez wątplenia na zawsze rozdzieli ją z Charlesem. Czy członek londyńskiej socjety uznałby córkę hiszpańskiej Cyganki i irlandzkiego przemytnika za odpowiednią opiekunkę dla przyszłego para królestwa? Nawet jeśli Devon był, jak głosi plotka, największym w Londynie rozpustnikiem ze szczególnymi skłonnościami do operowych arystek, które wiodą niemoralne życie. Elizabeth próbowała dociec powodów milczenia hrabiego.

- Powiedziałaś mu, pani, że chcesz tylko, aby złożył swój podpis na dokumentach dotyczących przejęcia opieki. Co więcej, bardzo dobitnie wyraziłaś swoją wolę, aby wychować Charlesa bez jego pomocy.

Choć Moira nie mogła zaprzeczyć, odczuwała głęboki, ale nieuzasadniony gniew na hrabiego za to, że tak dosłownie przyjął jej słowa. Przekonywała samą siebie, iż niechęć do niego wynika wyłącznie z jej troski o Charlesa .. Niemal zdołała to sobie wmówić. Widziała przecież, co się stało. W ciągu zaledwie kilku minut, jakie Devon spędził z chłopcem, hrabia stał się dla młodego księcia prawdzwym, godnym uwielbienia bohaterem. Ten nieczuły gbur mógł przynajmniej zdobyć się na półgodzinną wizytę u podopiecznego i wyrazić zgodę na umieszczenie go w bezpiecznym miejscu.

- Być może hrabia nie jest w stanie do nas przyjść

- powiedziała Elizabeth, kiedy Moira dała upust swojej frustracji. - Jego noga może być przecież w znacznie gorszym stanie, niż to nam się wydawało.



- O co chodzi, wasza wysokość? Coś się stało? - Chawleigh dyszał tak ciężko, jakby przebiegł długą drogę. Kiedy spojrzał Moirze przez ramię, wyraz zdziwienia zmienił rysunek wyjątkowej kolekcji zmarszczek pokrywających jego wiekowe oblicze. - Och! Co pani tu ma?

- To dziecko - odpowiedziała Moira. - Jedna z tych nieszczęsnych istot, które kominiarze spuszczają do kominów. - Spojrzawszy w górę, dostrzegła surową panią Chawleigh stojącą obok męża, a za nią lokaja i dwie pokojówki. Po chwili do pokoju wbiegła Elizabeth, ciągnąc za sobą Charlesa. - Lina się zerwała i ten dzieciak wpadł do kominka - wyjaśniła Moira, delikatnie dotykając guza rosnącego na czole chłopca. - Przynieś zimną wodę i miękkie szmatki - poleciła jednej z pokojówek.

Elizabeth opadła na kolana obok Moiry.

- Na Boga, on nie ma więcej jak osiem czy dziewięć lat i jest taki chudziutki. Sama skóra i kości.

- Mama mówi, że kominiarze głodzą ich strasznie, aby zmieścili się w kominie - odezwała się druga pokojówka, śliczna, siedemnastoletnia dziewczyna o kasztanowych włosach.

- To potworne! - zawołała Elizabeth. - A w ogóle, jak to dziecko mogło trafić w ręce takich kanalii?

- Ulice pełne są sierot pozbawionych opieki. - Pokojówka nieznacznie wzruszyła ramionami. - Albo, na przykład, bieda tak przycisnęła jego rodzinę, że sprzedali chłopca. Kominiarze ciągle szukają nowych pomocników, bo biedactwa szybko się wykurszają. Wdychają przecież tyle sadzy. Nie dalej jak miesiąc temu jeden z tych nicponi chciał kupić mojego małego braciszka, ale mama pogoniła go miotłą.

Moira patrzyła na nieszczęsną istotkę leżącą u jej stóp i wspominała własne szczęśliwe dzieciństwo w cygańskim obozie dziadka. Cyganie rezygnują ze wszelkich dóbr materialnych, których nie da się pomieścić na wozach, a dzieci uważają za swój największy skarb.

Jeśli brakuje jedzenia, a to częsty przypadek, dzieci karmione są w pierwszej kolejności. Moira pamiętała uczucie zimna, brudu i wyczerpania po długich podróżach z obozu do obozu, ale dopóki żyła z matką, nigdy nie zaznała głodu ani też nie brakowało jej miłości. W drzwiach pojawił się drugi lokaj z wiadomością, że po chłopca przyszedł kominiarz. Moira rozgorzała gniewem.

- Nie dostanie go. Kucharz potrzebuje kogoś do rozpalania co rano ognia. Zamierzam zatrzymać tego malca.

Chawleigh uniósł brwi z dezaprobatą.

- Kominiarz zechce pieniędzy, wasza wysokość. Nowy chłopak będzie go kosztował ze dwa szylingi.

- A więc zapłać mu z pieniędzy na domowe wydatki - rozkazała Moira.

W tym momencie chłopiec otworzył oczy i spojrzał na nią oszołomionym wzrokiem, niczym pisklę, które wypadło z gniazda.

- Spadłeś - powiedziała czule, mocząc szmatkę w misce z zimną wodą, którą przyniosła pokojówka. Następnie położyła kompres na czole dziecka. - Ale nie będziesz już musiał opuszczać się do kominów. Mamy dla ciebie pracę w kuchni.

Chłopiec nic nie powiedział, zamrugał tylko i przetarł oczy brudną ręką.

- Kucharz już ma pomocnika, wasza wysokość. - Pani Chawleigh z wyraźną niechęcią obserwowała pokrytego sadzami malca. - To jego osierocony bratanek, więc nie zechce go odprawić.

- W takim razie malec pójdzie do podczaszego - wysunęła kolejną propozycję Moira.

Pani Chawleigh skrzywiła się, jakby właśnie zjadła cytrynę.

- Podczaszemu pomaga naj młodszy syn mojej siostry - oświadczyła tonem kończącym dyskusję.

- Jeśli nikt nie chce kominiarczyka, daj go mnie, mamó. - Charles podszedł do Moiry i położył rękę na jej ramieniu.

- Może zostać moim towa ... towa ... - Spojrzał najpierw na Elizabeth, a potem na Moirę, szukając u nich pomocy.

- Towarzystwem - odpowiedziała Moira. - To chyba nie jest najlepszy pomysł, kochanie. - Obrzuciła pełnym powątpiewania spojrzeniem obdartusa wysmarowanego sadzą; spod której wyzierały wielkie oczy. Podczas gdy dorośli rozważali los chłopca, malec usiadł.

- Ale ja go chcę - powtórzył z rzadkim uporem Charles.

- Ty masz pannę Elizabeth, a ja nie mam nikogo. Hrabia obiecał, że zostanie moim bliskim przyjacielem, ale chyba zapomniał o swoim przyrzeczeniu.

Moira, słysząc nutę smutku i samotności w głosie księcia, ponownie przeklęła nieczułego opiekuna. Od śmierci ojca Charles był bardzo cichy i zamknięty w sobie, a postępek hrabiego jeszcze pogorszył sprawę. Niejednokrotnie w ciągu ostatniego tygodnia rozważała konieczność znalezienia mu towarzysza zabaw. Ale ten cuchnący bezpieczni dzieciak z londyńskich slumsów? Co wspólnego może mieć młody książę Sheffield z taką istotą?

- On brzydko pachnie tylko dlatego, że jest brudny - oświadczył Charles, jakby czytając w jej myślach. - John Footman przyniesie balię z gorącą wodą do mojego pokoju i wykapiemy go jak tamtego szczeniaczka w Kornwalii. Potem już będzie ładnie pachniał. Na twarzy kominiarczyka odmalowało się przerażenie.

- Nie wleżę do żadnej balii z gorącą wodą. Portki mi się skurczą do kolan, a to jedyne, jakie mam.

- Głupek z ciebie. - Szeroki uśmiech rozjaśnił buzię Charlesa. - Przed kąpielą zdejmiesz przecież ubranie. Inaczej John Footman nie zeskrobie z ciebie całego brudu? - Nie, wsadzić Alfiego Duggana do żadnej wody. Tyle wam powiem. To nie jest dobre, no i zanim kogut ponownie zapieje, złapię gorączkę płucną. .

- O rany. Tyle razy się kąpałem i nigdy nie dostałem gorączki płucnej. Zanim się rozbiorę, John Footman zawsze porządnie rozpala w kominku - powiedział Charles z pobłażaniem. Oczy kominiarczyka zaśniły niczym dwa niebieskie szkieleta na tle pokrytej sadzami buzi.

\_ Słyszałem, że w eleganckim świecie ludzie dziwnie postępują, ale niech skonam, jeśli od tego wszystkiego kotu nie skręcą się wąsy.

Charles wybuchnął śmiechem i śmiał się tak długo, aż łzy popłynęły mu po policzkach.

- Och, Alfie Dugganie, jesteś chyba najzabawniejszym chłopcem w całej Anglii.

Po raz pierwszy od śmierci starego księcia Moira usłyszała prawdziwy śmiech Charlesa. Na ten dźwięk jej serce zaśpiewało radośnie i uznała, że Alfie Duggan zdoła przemienić pasierba w szczęśliwe dziecko. To dar niebios \_ właśnie tym był mały brudas, a kimże ona jest, aby patrzeć krzywo na takie zrządzenie losu?

Uśmiechnęła się do Charlesa.

\_ Doskonale. Alfie zostanie twoim towarzyszem, pod warunkiem, oczywiście, że sam się na to zgodzi i pozwoli, aby John Footman go wykapał. Nie zamierzam wydawać pieniędzy na nowe ubranie i buty, dopóki nie będzie tak czyściutki jak w dniu urodzin.

\_ Nowe ubranie i nowe buty? - Alfie patrzył w twarz Moiry uważnie, jakby sprawdzał, czy mówi szczerze. Z trudem przełknął ślinę - A więc skoro dzieciaczkowi nie stała się krzywda, może i ja wleżę do wody.

Oczy zwięziły mu się w podejrzliwe szparki.

- Ale zanim zmienię pracę i zostanę jego towarzyszem, chcę wiedzieć, za co będę dostawał pieniądze. Są rzeczy, które zrobię, i takie, których nigdy nie zrobię, jeśli wiecie, co mam na myśli.

\_ Oczekuję, że będziesz towarzyszył młodemu księciu i pomożesz nam nie dopuścić, aby stała mu się jakaś krzywda - wyjaśniła Moira. Z każdą minutą coraz bardziej aprobowała Alfiego. Pod wieloma względami przypominał ją samą, kiedy była w jego wieku. To prawda, że był biednym dzieckiem, ale miał własny kodeks wartości, na który nie wpłyną nawet najbardziej dramatyczne okoliczności.

- A niech to! Czy ja źle słyszę, czy też naprawdę powiedziała pani, że ten dzieciaczek to jakiś ksiączę?

Moira z trudem zachowała powagę.

- Książę Sheffield - oznajmiła uroczyście.

- A to dobre. Na Boga, chciałbym, żeby mama mogła mnie teraz zobaczyć. Zawsze powtarzała, że z moją gębą, na widok której ścina się mleko, nigdy niczego nie osiągnę. - Jeśli dobrze rozumiem, przyjmujesz pracę? - upewniła się Moira. - Doskonale. Dostaniesz dwa szylingi tygodniowo plus jedzenie!. ubranie.

- Umowa stoi - odparł Alfie, wyciągając brudną łapkę. - Obiecuję pani jedno. Nigdy nie będziesz tego żałować.

Pod opieką Alfiego Duggana ten dzieciaczek będzie tak bezpieczny, jak regent w swoim pałacu.

-i

Devonłtie spał, w przeciwnym bowiem razie musiałby śnić jakiś wyjątkowy koszmar, w którym cierpiałby nieziemskie katusze. Był bliski płaczu, zupełnie jak bezradne dziecko. Z wielkim trudem powstrzymał łzy. Usłyszał •• czyjś jęk. Miał nieprzyjemne wrażenie, iż ten żaloszny dźwięk wydarł się z jego własnych ust.

Drgnął niespokojnie i natychmiast oblał się zimnym potem - ból wzrósł dziesięciokrotnie. 'ednak ta nieszczęsna próba coś mu wyjaśniła. Leżał w łóżku. Pod sobą wyczuwał miękką materac i okrywała go ciepła puchowa kołdra. Nie miał tylko siły, aby otworzyć oczy i zobaczyć, gdzie się znajduje i czyje głosy właśnie słyszał.

Mętnie przypomniał sobie poprzednie wydarzenia. Leżał na leżance twardej niczym skała, w jakiejś pomalowanej na biało izbie, a Stammen powiedział, że są w szpitalu Świętego Bartłomieja. Ale oni nigdy nie mieli takich luksusowych łóżek. Na dodatek rozpoznawał tam coś znajomego. Zmusił swój mózg do wysiłku. Zapach. Tak, to było to. Ten sam ostry zapach mydła, który wcześniej, w izbie, drażnił mu nozdrza.

Wspomnienia powracały. Devon przypomniał sobie jakiegoś przekłętą sadystę mówiącego ze szkockim akcentem, tak twardym jak ściany zamku w szkockich górach. Grzebał 'ł' otwartej ranie na biednej nodze Devona. Jeśli pamięć go nie myli, Devon zagroził, iż wstanie z łóżka i skręci mu kark. Potem musiał stracić przytomność, ponieważ nic więcej nie pamiętał.

- Chyba przyszedł do siebie. - Rozpoznał głos Stammena.

- Niech Bogu będą dzięki! - Devon domyślił się, kto to powiedział, to był jego wierny kornwalijski lokaj i ordynans w jednej osobie, Ned Bridges.

Skoncentrowawszy całą energię na powiekach, zdołał je odrobinę uchylić. Wbił zamroczony wzrok w przysadzistego, czarnowłosego mężczyznę stojącego koło łóżka.

- Do diabła, Ned, czy to ty?

- A kto inny mógłby się panem opiekować, kapitanie ... to znaczy chciałem powiedzieć, wasza lordowska mość.

- Wystarczy "kapitanie", Ned. - Devon zmarszczył brwi. -- Ale gdzie ja jestem i jak się tu znalazłem?

- Jesteś w moim domu - powiedział Stammen. - A dlaczego? No coż, to był pomysł doktora Hamisha MacDonalda.

- MacDonalda? A co z Grishamem? Do niego zawsze się zwracałem o pomoc.

- Wyjechał do Wiednia, gdzie studiuje jakieś nowe metody chirurgiczne, Ten wariat z Glasgow - tak koledzy nazywali MacDonalda - niedawno przyjechał do Londynu, ale z tego, co wiem, zdążył już wywołać awanturę w Świętym Bartłomieju, twierdząc, że brak czystości zabija więcej pacjentów niż same choroby.

Na twarz Stammena wypłynął uśmiech.

- Może to i dziwne, lecz facet jest całkiem przekonany o swoich racjach. Skoficzywszy operację, wziął mnie na bok i powiedział, że takiemu szpitalowi, gdzie nikt nie myje rąk przed zmianą opatrunku następnemu pacjentowi, nie powierzyłby nawet psa. Wiesz, jego

zdaniem, infekcje w jakiś sposób związane są z brudem. Wszystko to brzmi dziwacznie, ale obaj z Nędem nie mieliśmy odwagi polemizować z nim. Po prostu wsadziliśmy cię do powozu i przywieźliśmy tutaj.

- Dziwne, to nie jest odpowiednie słowo, także w stosunku do samego Harnisha MacDonalda - włączył się do wyjaśnień Ned, potrząsając kudłatą głową. - Ten facet to autentyczny szaleniec, takie jest moje zdanie. Tyle razy myłem ręce ługowym mydłem, że niedługo odpadną mi paznokcie, a on nadal jest niezadowolony. Co więcej, kto słyszał o pakowaniu w otwartą ranę cWebba tak zielonego od pleśni, że pogardziłaby nim każda szanująca się mewa? Wraca pan do zdrowia, ale gdyby nie to, nie wpuściłbym tego wariata przez próg.

Devon poruszył się ostrożnie, ale natychmiast przenikliwy, gorący ból przeszył jego prawe udo.

- Ładnie! - zawołał, odzyskawszy oddech. - Jeśli to ma być powrót do zdrowia, to niechaj niebiosa mają mnie w swej opiece, kiedy sprawy przybiorą gorszy obrót.

Potań policzek i ze zdziwieniem wyczuł kilkudniowy zarost.

- Dobry Boże, długo tu jestem?

- Szósty dzień, kapitanie - odparł Ned Bridges. - Podawaliśmy panu mnóstwo laudanum i przespał pan większość czasu. I dobrze, bo Szkot nieźle się napocił, zanim wyciągnął to żelastwo, które nosił pan w sobie przez ostatnie dwa lata.

- Ned ma rację - poparł ordynansa Stamden. ~ Najwyraźniej chirurg operujący cię w Hiszpanii przeoczył kilka odłamków. Wbiły się głęboko w mięśnie, a walka z tymi dwoma podrzynaczami gardeł musiała je obluźnić. Straciłeś przytomność wkrótce po podpisaniu dokumentów dotyczących przejęcia opieki. Kiedy się zorientowaliśmy z Nędem, że krwawisz jak proszę, natychmiast zawieźliśmy cię do Świętego Bartłomieja. Na szczęście doktor MacDonald był na miejscu. Pomimo swej manii, po mistrzowsku włada nożem. - Ned zaśmiał się. - Co czyni z niego już drugiego eksperta w tej dziedzinie, który uratował ci życie tego samego dnia.

- Księżna! - Devon przycisnął palce do bolących skroni, próbując rozjaśnić zmętniały umysł. - Dobry Boże! Widziałeś ją? Czy ona ... czy z moim podopiecznym wszystko w porządku? Nie wierzę, aby jedna nieudana próba zniechęciła Quentina do zagarnięcia pieniędzy chłopca.

Stamden pokiwał głową.

- Całkowicie podzielam twoje zdanie. Dlatego też kazałem chłopakom z Bow Street nie spuszczać oka z jej domu.

Zmarszczył czoło.

- Jednak nie widziałem się z nią. Obaj z Nędem byliśmy zbyt zajęci ratowaniem twojej cennej skóry. Dopiero dziś rano wpadłem na pomysł, aby sprawdzić, czy przyszły jakieś wiadomości. Posłałem do twego domu parobka, a on przyniósł to. - Z kieszeni kamizelki wyciągnął złożoną kartkę.

Devon od razu się domyślił, że list pochodzi od księżnej.

Egzotyczny aromat, który kojarzył z jej osobą, uniósł się znad eleganckiego papieru. Drżącymi palcami otworzył przesyłkę, ale wciąż zamglony wzrok uniemożliwił mu odczytanie zamasztyłego pisma.

- Przeczytaj mi - poprosił, podając Stamdenowi list, ten zaś pospiesznie obrzucił go wzrokiem.

- To nic pilnego - powiedział. - Prosi o zgodę na wywiezienie młodego księcia z powrotem do Kornwalii.

Devon odetchnął z ulgą.

- Dobrze. Odpisz jej, proszę. Ale nie wspominaj o operacji. Napisz tylko, że rozważę prośbę i w ciągu kilku dni dam odpowiedź. Moim zdaniem, zabranie chłopaka z Londynu to doskonały pomysł, ale trzeba z tym poczekać, aż sam będę w stanie wyjechać. W tym czasie niech księżna poćwiczy cnotę cierpliwości. Mając na karku czarny charakter w

postaci Quentina, samotne kobiety z małym chłopcem nie powinny podróżować bez odpowiedniej eskorty.

## Rozdział czwarty

Alfie Duggan przytulił się do ciepłej kołdry. Leżał na łóżku, które John Footman umieścił w alkowie przylegającej do sypialni młodego księcia, i z upodobaniem spoglądał na lutowy księżyc świecący za oknem. Już od pięciu dni mieszkał w tym pięknym domu i nikt, dosłownie nikt, nie tarł go, nie kopał ani nawet nie wyzywał. Czegóż więcej można oczekiwać od życia?

Jednak z trudem przyzwyczajał się do arystokracji i ich wymysłów.

Weźmy na przykład sprawę kąpieli. Jeszcze niedawno gotów byłby przysiąc, że są na wpół rybami. Ledwie zdążył rano postawić nogi na podłodze, a już słyszał "Umyj twarz i ręce, Alfie", jakby spędził noc w rynsztoku, a nie między prześcieradłami pachnącymi słodko niczym kwiaty na rynku.

A potem nadeszła sobota i pojawił się John Footman z białą pełną gorącej wody. "WskakuJ, Alfie", usłyszał chłopiec, po czym ponownie próbowano zderzyć z niego skórę. Nawet z tymi pięknymi nowymi strojami związane były pewne niedogodności. Przed włożeniem portek musiał pamiętać o kalesonkach. To bezsensowna rzecz i strata pieniędzy, powiedziałby, gdyby ktoś go zapytał o zdanie, przecież nikt ich nie widzi. Jednak kiedy któregoś dnia zapomniał je włożyć i pokojówka znalazła nieszczęsną część odzienia wetkniętą pod poduszkę, panna Elizabeth tak się ciskała, jakby chodziło co najmniej o przeklęte srebro.

W końcu, ledwie przebrnął przez wszystkie problemy dnia, ponownie nadchodził czas spoczynku i musiał wkładać coś, co dzieciaczek nazywał nocną koszulą a na dodatek jeszcze czepek, jakby w domu księżnej marzły mu uszy.

Dobrze, że żaden z kumpli z East Endu nie mógł go zobaczyć w tym głupim stroju.

Jednak mimo wszystko dobre strony nowej pracy przeważały nad złymi. Czyż w ciągu tych pięciu dni nie dane mu było najeść się do syta baraniny, o czym przedtem mógł sobie tylko pomarzyć? Czy nie dostał łóżka wyłącznie dla siebie? Czuł się niemal jak w niebie.

Przedtem mieszkał na poddaszu i dzielił siennik z czterema innymi chłopcami.

Alfie wyprostował nogi i zaczął przebierać palcami, dotykając czystych, miękkich prześcieradeł - nigdy wcześniej nie miał okazji doświadczyć takiego luksusu. Bo też nigdy wcześniej nie odważył się zdjąć butów, chyba że musiał włożyć do środka gazety, aby zasłonić dziury na podszewkach. Gdyby bowiem zdjął buty, to następnego ranka znalazłby je na nogach innego kominiarczyka.

Przeciągnął się. Tak, sprawy Alfiego Duggana mają się teraz znacznie lepiej. A najlepsza ze wszystkiego jest nauka. Już pierwszego dnia księżna oświadczyła swym niskim, gardłowym głosem, który przywodził na myśl gruchanie gołębi:

- Alfie będzie brał lekcje razem z księciem.

Zupełnie jakby urodził się na Grosvenor Square, a nie w ciemnym pokoiku nędznego domu przy Bleeker Street.

Rzucił się więc na naukę jak kot na śmietankę. Zawsze był chłonny niczym gąbka, gotów przyswajać nowe wiadomości. Zapamiętał alfabet, zanim panna Elizabeth, która uczyła chłopców, zdążyła mrugnąć okiem. Szybko też wykrył, do jakiego dźwięku arystokraci mają szczególną słabość. Chodziło zaś o "ch" i "h", nic bowiem bardziej nie wyprowadzało panny Elizabeth z równowagi niż to, kiedy Alfie mówił 'erbata, 'cę, albo 'łopak. Teraz już zawsze to będzie herbata, chcę i chłopak, nawet gdyby musiał zawiązać sobie język na supełek.

Nie trzeba przecież wielkiego rozumu, aby pojąć, że jeśli człowiek pragnie osiągnąć coś na tym świecie, nie może mówić jak ulicznik. Musi wysławiać się jak szlachcic. Stary Chawleigh może sobie bełkotać, twierdząc, że i bez tego on i jego żona mają cudowne życie. Alfie wie swoje.



Alfie Duggan, gdy już raz na coś się zdecyduje, zawsze osiąga cel. Czyi nie stwierdził, że czytanie i pisanie nie jest wcale takie trudne? Wystarczy tylko zacząć się uczyć. Być może któregoś dnia wybierze się na East End.

A kiedy przeczyta Timesa albo opowie o domu, w którym teraz mieszka, jego dawni kumple niczym ropuchy zzielenieją z zazdrości. Żaden z nich nie umie przecież przeczytać jednego słowa, no może z wyjątkiem starego Niedźwiedzia, lichwiarza, który czasami płacił Alfemu szylinga albo dwa za załatwienie jakiejś sprawy. Nawet stary Finster nigdy nie spał w takim miejscu, jak to, do którego nie dociera bicie dzwonów Bow Bells. Ze wszystkiego, czego do tej pory się nauczył, jednej rzeczy na pewno nigdy nie zapomni. Za żadne skarby nie wolno zmuszać księżnej do tego, aby musiała na kogoś czekać. Aby się o tym przekonać, wystarczyło tylko zobaczyć, jak jej piękne, lekko skośne oczy ciskają niebieskie błyskawice, a policzki czerwienieją, kiedy przeczytała list od jakiegoś gościa, którego zwała "hrabią". Ta kobieta nie znosi czekać.

- Za kogo on się uważa? - zapytała pannę Elizabeth z takim wyrazem twarzy, jakby właśnie skosztowała zepsutej ryby. - Najpierw każe mi czekać sześć dni na odpowiedź, a następnie jeszcze dłużej, aż on raczy coś postanowić. Arogant.

Alfie uśmiechnął się pod nosem. Nie zazdrościł temu "hrabiemu" spotkania z księżną. Z pewnością zostanie nieźle obsztorcowany.

Na szczęście z Alfem nie ma to nic wspólnego.

Księżna, niech Bóg błogosławi, jest dla niego bardzo miła. Zgodnie z obietnicą, w kieszeni Alfiego brzęczą już dwa szylingi, a tydzień jeszcze się nie skończył. Ostatnie dwa wieczory, kiedy przychodziła otulić swojego dzieciaczka do snu, podeszła też do jego łóżka i szepnęła "Dobranoc, Alfie".

A tego wieczoru - cóż, o czymś takim nigdy nawet nie marzył. Nie tylko życzyła mu dobrej nocy, ale pochylała się i pocałowała go w sam środek czoła. Nadal pamięta miły zapach jej perfum i miękki dotyk ust. Łzy zamgliły mu wzrok, bo nikt, nawet mama, nigdy przedtem nie całował go na dobranoc. Niech to wszyscy diabli, nie pocałowała też Alfiego na pożegnanie, kiedy sprzedała go kominiarzo-wi, a sama uciekła z tym rzeźnikiem z Yorkshire.

Oczy Alfiego wciąż lśniły od łez. Wystarczyło tylko, aby przypomniawszy sobie pocałunek na dobranoc i zachowanie dzieciaczka, który objął go i powiedział: "Jak to dobrze, że spadłeś do kominka".

Podciągnął kołdrę pod brodę i zamknął oczy. Nie o takich rzeczach powinien człowiek rozmyślać. To do niczego nie prowadzi.

Zaczynał już przysypiać, kiedy usłyszał jakiś hałas. Od razu wiedział, co to oznacza - ktoś cichutko otworzył drzwi, a potem na palcach wszedł do pokoju.

Ostrożnie wyjrzał spod kołdry. Spędziwszy tyle lat albo w kominie, albo na poddaszu, widział w ciemnościach jak kot. Przybysz miał na sobie zielonożółtą liberię Johna Footmana, ale w niczym go nie przypominał. John Footman to wysoki, chudy mężczyzna ze strzechą marchewkowych włosów. Ten, intruz był niemal tak szeroki, jak wysoki i prawie zupełnie łysy. Miał ze sobą worek, a w nim - sądząc po zapachu, od którego Alfie zmarszczył nos - trzymano kiedyś odchody końskie. Po co ktoś miałby to przynosić do sypialni księcia?

Alfie obserwował intruza. Ten zaś ruszył prosto do łóżka księcia, oglądając się przy tym za siebie - jakby nie chciał zostać przyłapany. Alfie natychmiast odgadł, co ten brudas zamierza. Dobry Boże, on chce porwać dzieciaczka!

Nie zastanawiając się dłużej, Alfie cichutko wyszedł z łóżka, z kominka wziął pogrzebacz i z kocią zwinnością, bezszelestnie podkradł się do swej ofiary. Na poddaszu często obserwował kota, gdy ten skradał się do nic nie podejrzewającego szczura.

Znajdował się zaledwie na wyciągnięcie ręki od nieproszonego gościa, kiedy ten wyjął z kieszeni szmatę i obwiązał nią usta księcia. Biedaczek natychmiast się obudził, wymachując rękami i nogami niczym przewrócony na grzbiet żuk.

- . Przestań, ty cholerny smarkaczu, głupi bachor - warknął nikczemnik i klnąc ohydnie uderzył chłopca w głowę.

Mały książę opadł z powrotem na poduszki i leżał jak nieżywy. Alfie zobaczył krew! Obiecał księżnej zaopiekować się dzieciaczką, a ten wstrętny zbir chce mu to uniemożliwić. Cóż, tym razem intruz otworzył niewłaściwe drzwi, Alfie bowiem nie zmarnował czasu spędzonego na ulicy. Tam nauczył się, jak powalić trzy razy większego od siebie bandziora.

Ujawszy oburącz trzonek pogrzebacza, z całej siły uderzył nim draba po kolanach.

- Auu! - Zbój upuścił worek i upadł na podłogę.

Alfie, nie zwlekając, poczęstował go dobrze wymierzonym kopniakiem w pachwinę.

- Aaa! - Drab zgiał się wpół. Z trudem łapał oddech i kurczowo trzymał się za intymne części ciała.

- A masz, ty oślizgła glizdo! - krzyknął Alfie i ze zgrzytem przejechał pogrzebaczem przez gołą czaszkę bandziora. - A masz! A masz! A masz!

Nie wydając żadnego dźwięku, mężczyzna upadł twarzą do podłogi i leżał jak długi przy łóżku księcia.

Kiedy księżna, panna Elizabeth i stary Chawleigh wpadli do pokoju, napastnik leżał z nosem głęboko wciśniętym w worek po nawozie.

Devon tak szybko odzyskiwał zdrowie, że nawet sceptycy pokroju markiza Stamdena i Neda Bridgesa zaczęli śpiewać pochwalne pieśni na cześć niezwykłych metod doktora MacDonalda. A kiedy Wellington odwiedził dawnego towarzysza broni, Devon wspierany przez Stamdena, przekonał Żelaznego Księcia, aby "wariata z Glasgow" uczynić odpowiedzialnym zarówno za oddział chirurgiczny w Wojskowym Szpitalu Księcia Yorku, jak i Królewskim Szpitalu w Chelsea dla ubogich weteranów w OJny.

Ledwo minęły dwa tygodnie, od kiedy Stammen przewiózł go do siebie, a już Devon zaczął chodzić o kulach. Nie było też znaku śmiertelnie niebezpiecznej infekcji, z powodu której wielu żołnierzy - nie wyłączając markiza - straciło kończyny.

- Czas wracać do domu - oświadczył Devon podczas solidnego śniadania, jakie spożywał wraz z Peterem w załanym słońcem pokoju. - Czas też odwiedzić mego wychowanka i jego macochę oraz ustalić termin powrotu do Kornwalii.

Poprosił lokaja o drugą filiżankę herbaty.

- Księżna nie robi wrażenia kobiety cierplivej. Wyobrażam sobie, jakie miota na mnie przekleństwa za tak długą zwłokę.

Na twarz Stamdena wypełził uśmiech, jeszcze bardziej diabelski niż zwykle.

- Tak. Zwłaszcza że nie pozwoliłeś, abym w liście, który wysłałem w twoim imieniu, napomknął o operacji. Biorąc pod uwagę daleką od serdeczności postawę, jaką przyjąłeś wobec niej podczas ostatniego spotkania, prawdopodobnie uważa, iż wsadziłeś ją na rozżarzone węgle niepewności tylko po to, aby jej dokuczyć. - Uniósł wyraziste brwi. - Przyjacielu, czy utrzymywanie księżnej w nieświadomości co do twojego stanu zdrowia było rozsądnym posunięciem? Mogła już dłużej nie czekać.

- Nie odważyłaby się - stwierdził szyderczo Devon.

- Zna warunki umowy. Nie wolno jej zrobić żadnego ruchu bez mojej zgody. - Uśmiechnął się do siebie. Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu myśl o wpływie, jaki zyskał nad nieposkromioną księżną, sprawiała mu perwersyjną przyjemność. Nadal był pod wrażeniem faktu, że musiała ratować mu skórę; w dodatku zrobiła to w tak niezwykły sposób, i to akurat w chwili, kiedy, przynajmniej teoretycznie, wraz z księciem znajdowała się pod jego ochroną. Uniósł filiżankę parującej herbaty i bezmyślnie pociągnął spory łyk. - Cholera! - Plunął, odstawiając delikatne naczynie z sewskiej porcelany tak gwałtownie, że Stammen zadrżał.

Devon dotknął koniuszkiem palca oparzonego języka i wykrzywił twarz.

- Chyba nie sugerujesz, że bez mojej wiedzy postanowiła wrócić do Kornwalii? - zapytał,

odczuwając gniew już na samą myśl o takiej możliwości.

Stamden wzruszył ramionami.

- Moim zdaniem, spośród wszystkich kobiet, jakie kiedykolwiek znałem, księżna najbardziej zdolna jest do podejmowania samodzielnych decyzji, nie licząc się z nikim. Jest w niej coś trudnego do zdefiniowania, niemal magicznego, co nie pozwala nam, zwykłym śmiertelnikom, spróbować zmusić jej, aby uległa jakimkolwiek regułom.

- Jeśli chcesz powiedzieć, że mam do czynienia z kobietą, do której nie pasuje określenie "cywilizowana", to jestem tego świadom - powiedział Devon, pamiętając o zadziwiającej waleczności księżnej i jej mistrzowskim władaniu śmiercionośnym sztyletem.

- Nie bardzo wiem, o co ci chodzi. Czy tajemnicza zdolność przewidywania przyszłości oraz umiejętność rzucania nożem, godna hiszpańskiej markietanki, czyni księżnę bardziej lub mniej cywilizowaną od reszty ludzi? Na to pytanie nie można chyba odpowiedzieć, nie znając jej pochodzenia. Śmiem podejrzewać, że twój brat, skoro postanowił ją poślubić, został dopuszczony do tego sekretu. Żaden rozsądny mężczyzna nie zdecyduje się na taki krok bez uzyskania dostatecznych informacji na temat swojej wybranki, zwłaszcza jeśli chodzi o kobietę mającą tak niezwykle talenty jak księżna.

- Nie zapominaj, że kobiety potrafią przemieniać mężczyzn w bezmózgich idiotów - stwierdził sucho Devon. - Szczerze mówiąc, nie mam zielonego pojęcia, co Blaine wiedział o jej pochodzeniu, jeżeli w ogóle coś wiedział. Zatopiony w nieprzyjemnych myślach, z roztargnieniem bębnił palcami po stole. - Moja matka nienawidzi Moiry. Nazwała ją nawet czarownicą. Ojciec jednak zabronił, aby w ten sposób mówiła o niej przy ludziach.

Mieszkańcy Kornwalii są bardzo przesadni. Niebezpiecznie byłoby zasiać w nich podobną myśl, nawet w odniesieniu do pozbawionej serca wampirzycy. Polowania na czarownice są okropne. - Devon sięgnął po kulę i wstał. - Co jednakże nie uniemożliwia mi spojrzeć w przeszłość, skoro będę miał z nią do czynienia w przyszłości. - Uśmiechem wyraził zadowolenie z doboru słów. - A teraz jest najlepszy czas, aby wszcząć dochodzenie.

Wyruszyli do domu hrabiego, po drodze zaś planowali złożyć wizytę Moirze. W niecałą godzinę później woźnica markiza zatrzymał elegancki powozik przed londyńską siedzibą księżnej.

- Poczekam tu, aż załatwisz swoje sprawy - powiedział Stamden. - Nie chcę psuć sobie humoru w taki ładny, lutowy dzień.

Devon nie zaprotestował, decyzja przyjaciela była mu na rękę. Przez całą drogę szukał taktownego sposobu, aby zniechęcić Stamdena do towarzyszenia mu podczas spotkania z księżną. Nie zapomniał bowiem szyderstwa w jej głosie, kiedy wytknęła mu, jakoby potrzebował czyjegoś wsparcia podczas ich spotkania.

Odegnawszy gestem woźnicę i parobka, zdołał o własnych siłach wygramolić się z powozu. Sam fakt, że przychodzi do księżnej o kulach, był dla Devona wystarczająco nieprzyjemny. Gdyby zaś zobaczyła, że muszą go stawiać na ziemi, upokorzenie byłoby nie do zniesienia.

Po drugiej stronie placu jakiś obszarpaniec wychynał zza latarni ulicznej i zmierzył hrabiego wycwiczonym spojrzeniem.

- To policjant, którego wynająłem - powiedział Stamden, a Devon skinął z aprobatą. Ucieszył go widok czujnego chłopaka z Bow Street.

Opierając się ciężko na kuli, ostrożnie wszedł po czterech schodkach i gwałtownie zastukał do drzwi. Nikt nie odpowiedział. Odczekał więc moment, a potem ponownie zastukał, tym razem końcem kuli ... i czekał ... czekał.

Mężczyzna, do tej pory ukryty za latarnią po drugiej stronie placu, wyszedł zza słupa. Zdziwienie malujące się na jego szerokiej, mopsowatej twarzy uczyniło go podobnym do buldoga, zaskoczonego niespodziewanym widokiem kości.

- Co za ludzie ta kobieta zatrudnia? - wybuchnął gniewem Devon i po raz kolejny zastukał do drzwi.

W końcu uchyliły się odrobinę i ten sam wiekowy lokaj, którego Devon zapamiętał z

poprzedniej wizyty, obrzucił go uważnym spojrzeniem.

- Ach to pan, milordzie - powiedział, otwierając szerzej drzwi. - Może pan wejść do środka, ale w domu nie ma nikogo oprócz mnie, mojej żony i kilku kuch-cików.

- Co to znaczy? - Devon odepchnął służącego i kuśtykając wszedł do przyćmionego holu. Drzwi do salonu, w którym księżna przyjęła go za pierwszym razem, były otwarte. Hrabia dostrzegł zaciągnięte żaluzje i zakryte pokrowcami meble. - Gdzie jest jej wysokość? - zapytał. - I młody książę? i panna Kincaid?

- Z tego, co zrozumiałem, pojechali do Białych Dębów - odparł ponuro lokaj. - Wyruszyli dziś rano, przed

świtem. Wymknęli się przez kuchenne drzwi, zupełnie jak dostawcy. Dlaczego jednak hrabina uważa, iż na tym kornwalijskim odludziu będzie bezpieczniej niż w Londynie, tego zupełnie nie rozumiem. - Pociągnął nosem. - No ale, jak mi to moja pani często przypomina, ona jest zupełnie niepodobna do pierwszej księżnej. Tamta nigdy nie wpuściłaby do domu tego brudnego ulicznika, który wpadł przez komin. - Zamilkł na chwilę. - Zabrała go ze sobą. Pojechał w powozie, jakby był kimś ważnym. A kto to wie, czy ten gałgan nie siedział po same uszy w tym, co się zdarzyło w sypialni księcia? Potem pewnie zrozumiał, na czym wyjdzie lepiej, i dlatego napadł na swojego kumpla. Tak sądzi moja pani, a ja nie mam powodu, aby się z nią nie zgadzać.

Rzucił okiem przez otwarte drzwi i warknął na widok policjanta, który nadal stał koło latarni.

- A tam jest następny. I na co to przyszło Londynowi, skoro nawet w takiej dzielnicy jak Mayfair roi się od porywaczy i innych rzezimieszków.

- Ten akurat to policjant z Bow Street, wynajęty do pilnowania domu - stwierdził beznamytnie Devon. - A niedoszli porywacze księcia od dwóch tygodni siedzą już za kratkami.

- Ale nie ten, który zeszłej nocy nabił Johnowi Footmanowi guza wielkości kurzego jaja, a potem wdarł się do sypialni księcia. A miał takie doskonałe referencje. Devon gwałtownie zaczerpnął tchu.

- Do diabła, człowieku, o czym ty mówisz?

- Nie mogę odpowiadać za sfalszowane referencje. Sama księżna to przyznała. Ale jak inaczej wytłumaczyć fakt, że z człowieka o mojej pozycji zrobiła dozorcę domu, do którego już może nigdy nie powróci? Gdybym miał o dziesięć lat mniej, wówczas ...

Devona nie interesowało, co zrobiłby lokaj. Z wałącym sercem pospiesznie wykuśtykał na dwór i tak szybko, jak tylko pozwalała na to chora noga, zaczął schodzić po schodach. Jednocześnie Stammen wyskoczył z powozu, a policjant biegiem przecinał plac.

- Do diabła! Co się stało? - zapytał markiz. - Wyglądasz tak, jakby ci ktoś nieźle przyłożył. Dobry Boże, nie mów tylko, że księżna jest ekspertem również od rękoczynów.

- Moiry tu nie ma - wyjaśnił ponuro Devon. - Uciekła do Kornwalii po kolejnym zamachu na księcia.

- To niemożliwe - oświadczył policjant. - Od dwóch tygodni bez przerwy obserwujemy dom, dniem i nocą. Nie przeoczyliśmy nikogo, kto wchodził i wychodził.

- Prócz tych, którzy wymknęli się dziś o świcie tylnym wejściem - warknął Devon. - Daliście plamę, chłopcy.

- Do diabła! - Policjant zdawał się kurczyć w oczach.

- Cofnijmy się trochę w czasie - poprosił spokojnie Stammen. - Kiedy i gdzie doszło to zamachu na księcia?

- W tym właśnie domu, a mówiąc dokładniej, w sypialni - powiedział Devon, po czym skinął na parobka i woźnicę,

aby pomogli mu wsiąść do powozu. - Z bełkotu lokaja wywnioskowałem, że to był jakiś świeżo zatrudniony służący.

Policjant spojrział na nich z triumfem. - No cóż, to już nie nasza wina. Stammen zmrużył oczy.

- Ale jesteście odpowiedzialni za to, że księżna ze swoimi ludźmi opuściła dom bez waszej wiedzy. Zamierzam tę sprawę podkreślić w raporcie dla waszych przełożonych.

- Bardzo dobrze, ale to nie rozwiązuje naszego problemu - zauważył Devon, opadając na atlasowe poduszki. Nagle poczuł się śmiertelnie zmęczony.

Z trudem opanował chęć, aby uderzyć pięścią w szybę powozu.

- Co ona sobie myśli? Tak nawiewać do Kornwalii bez mojej zgody i odpowiedniej eskorty. Podróż potrwa wiele dni, a w drodze wszystko się może wydarzyć.

Stamden wszedł do powozu i usiadł naprzeciwko Devona. - Księżna zrobiła na mnie wrażenie osoby, która sama się o siebie troszczy - powiedział, wyginając palce nerwowym ruchem, który przeczył spokojnym, wyważonym słowom. - Na pewno nieźle się przeraziła faktem, że księcia napadnięto w jego własnym domu i zrobiła pierwszą rzecz, jaka przysła jej do głowy.

- Pierwszą i najgorszą - oświadczył Devon. Czuł, jak w jego żołądku kumuluje się zimny strach. - Dwa nieudane zamachy nie odstraszą tak zdesperowanego człowieka, jakim jest Quentin, a w Kornwalii równie łatwo można wynająć bandziora. Zwłaszcza teraz, kiedy wojna dobiegła końca i przemyt już nie przynosi dochodu.

Opuścił wzrok na zaciśnięte pięści.

- Ten sklerotyczny stary głupiec od razu powiedział mi, dokąd pojechała. Równie łatwo wypałe to Quentinowi czy jakiemuś jego oprychowi.

- Zgadza się - powiedział Stamden.

Nakazał policjantowi kontynuować obserwację domu oraz meldować, kto wchodzi i wychodzi. Następnie stuknął w ściankę dzielącą kabinę powozu od siedzenia woźnicy. Zgodnie z pierwotnymi planami ruszyli do domu hrabiego.

- Co teraz zrobimy? - zapytał, kiedy powóz włączył się do ulicznego ruchu.

Devon zmarszczył czoło.

- Księżna nie pozostawiła mi wyboru. Wyruszę za nimi. Mam tylko nadzieję, że zdołam ich dogonić i uchronić przed konsekwencjami jej głupoty. Musiała chyba postradać zmysły, jeśli sądzi, że bez czyjejś pomocy ochroni księcia. Na Boga, gdyby chłopak nie był tak do niej przywiązany, umieściłbym go u kogoś bardziej zrównoważonego.

- I złamał serca obojga? Chyba nie - odparł Stamden.

- A co do pogoni za nimi, nawet o tym nie myśl. Nie jesteś jeszcze wystarczająco silny. Nawet ta mała wyprawa wyczerpała cię do cna. Bładyś jak papier i mokry od potu. Jeśli koniecznie uważasz, że trzeba za księżną jechać, ja to zrobię.

- Opieka nad chłopakiem należy do mnie. Odpowiadam też za jego niemożliwą macochę - upierał się Devon. - Wezmę karetę podróżną. Jest bardzo wygodna i będę mógł trzymać nogę wyciągniętą. Starczy też miejsca dla Neda i dwóch najsilniejszych parobków, na wypadek gdybyśmy popadli w tarapaty.

Z kieszeni wyciągnął chusteczkę. Otarł nią krople potu perlące się nad brwiami. W duszy modlił się, aby Stamden nie zauważył, jak mu drżą kolana z wyczerpania. Był słaby, niczym nowo narodzone źrebię.

- Dziękuję, przyjacielu - dodał. - Ale nie zamierzam pozwolić, abyś ty, zamiast mnie, wyruszał im na ratunek. Takie przyznanie się do słabości przyniosłoby zbyt wielką ujmę mojej dumie - a tego towaru hrabiowie Langley zawsze mieli w nadmiarze. - Zdołał przywołać na usta wymuszony uśmiech. - Są jednak granice, poza którymi duma przeradza się w szaleństwo. Jeśli więc nie miałbyś nic przeciw temu, aby towarzyszyć mi w głąb dziękuję Kornwalii, serdecznie zapraszam.

## Rozdział piąty

Podróż z Londynu do Kornwalii była piekłem. Drogi, jeszcze niedawno zamarznęte, rozmiękły teraz, przez co powstały w nich niezliczone dziury. W efekcie jazda przypominała wyprawę po nie kończącej się, gigantycznej tarze do prania. Devona bolała

noga już w momencie wyjazdu, a kiedy dotarli do oberży, gdzie po raz pierwszy zmienili konie, ból stał się niemal nie do zniesienia. Tylko duma i świadomość, że St Camden nalegałby na powrót do Londynu, powstrzymała go przed zażyciem laudanum. Każdego ranka, kiedy wyruszali w dalszą drogę, Devon wysyłał przodem wiernego parobka. Służący miał organizować kolejne zmiany koni i dowiadywać się o księżną. Za każdym razem jego relacja brzmiała tak samo - księżna i jej towarzysze przejeżdżali tędy, ale mimo długiej i męczącej podróży zatrzymali się tylko raz, aby zmienić konie i nieco się posilić. Gnała, jakby sam diabeł ją gonił, a Devon i Peter nie zdołali zmniejszyć dzielącego ich od księżnej dystansu.

Z każdym przebytym kilometrem noga bolała coraz bardziej, frustracja Devona rosła, a nastrój się pogarszał. W końcu dotarli do Exeter. Nadal jednak nie mogli dogonić powozu Moiry, a Devon, jak to określił St Camden, "dosłownie toczył pianę z ust jak wściekły pies". Musiał znów zażyć laudanum, które odstawił jeszcze w domu Petera. Nieustanne podskakiwanie powozu na wybojach urażało nieszczęsną nogę, wywołując udrękę zbyt okrutną, aby ją znosić bez znieczulenia.

Devon balansował więc pomiędzy dwoma stanami. Albo otaczała go mgła przeszywającego bólu, albo opary wywołanych opium snów, w których z jakiegoś, całkiem nie wyjaśnionego powodu płynął małym skifem. Dostał go od ojca jeszcze w dziedzictwie. "Zostań w spokojnej zatoczce", ostrzegał we śnie ojciec.

Ale Devon puścił mądrą radę mimo uszu. Podpływał coraz bliżej do zdradzieckich skał rozrzuconych wzdłuż kornwalijskiego wybrzeża. Wiedział, że prowokuje niebezpieczeństwo, jednak czar wabiącej go pięknej, czarnowłosej syreny był zbyt wielki, aby się przejmować przestrogi ojca.

Śnił zawsze to samo. Czuł kołysanie niewielkiej łódki, która ocierała się o skały, a mi twarzy lodowaty dotyk fal, nawet w momencie, kiedy wyciągnął już ręce w kierunku tej nieziemskiej istoty.

A wtedy, gdy już wiedział, że spocznie na dnie morza, syrena nagle rozmyła się we mgle. Pozostał po niej tylko sarkastyczny śmiech. Devon obudził się z uczuciem ogromnej pustki i przeszywającego do szpiku kości zimna. Lodowaty pot sączył się z każdego pora jego umęczonego bólem ciała.

- To ostatnia porcja laudanum - powiedział Peter, mieszając lekarstwo z zawartością srebrnej flaszeczki, którą

nosił przytroczoną do pasa. - Możemy zdobyć więcej od miejscowego lekarza?

- Tak, ale nie trzeba. Dzięki tej porcji wytrzymam do Langley Hall, a tam uwolnię się już od naszej wędrownej sali tortur - stwierdził Devon, przełykając gorzką miksturę. - Ciarki mnie tylko przechodzą na myśl o ponownym powrocie do rzeczywistości. - Skrzywił się. - To już kolejna rzecz, której nie mogę wybaczyć księżnej. Gdyby skontaktowała się ze mną po ostatnich wydarzeniach, zorganizowałbym im odpowiednią ochronę do czasu, kiedy sam mógłbym wyruszyć do Kornwalii. Wówczas nie doszłoby do takiej sytuacji.

Na zniekształconej twarzy St Camdena wykwił kpiący uśmieszek - od kilku lat jego znak firmowy.

- Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, aby ta niezależna kobieta prosiła mężczyznę o ochronę. Co więcej, jesteśmy chyba najbardziej absurdalną parą błędnych rycerzy w historii. Jeden bez ręki, a drugi kulawy. Bardziej pasuje do nas rola nadwornych błaznów.

- Amen, mój cyniczny przyjacielu - odrzekł Devon. - Jeśli chodzi o księżną, to dostałem już od niej nauczkę i przy pierwszej okazji zamierzam wziąć ją w karby. Przykro mi tylko, że ciebie wciągnąłem w tę idiotyczną eskapadę.

Ziewnął. Laudanum zaczynało działać. Przytępiało ból i usypiało.

- Zdrzemnę się trochę - dodał, zamykając oczy - ale obudź mnie, proszę, zanim dotrzemy do Białych Dębów. Chcę być w pełni przytomny, kiedy zobaczę księżną.

Markiz St Camden patrzył, jak przyjaciel zapada w kolejny niespokojny sen, jeden z tych, które naznaczyły ostatnie dwa dni podróży. Jeśli senne wizje powrócą, Devon wkrótce

zacznie pojękiwać i wymawiać to samo imię. Na jawie twierdził, że nie cierpi Moiry. Prawdopodobnie nawet w to wierzył, jednak Stamden miał coraz więcej wątpliwości. Poprawił koc, który Devon naciągnął sobie na nogi.

Widząc ciemną, złowieszczą plamę rozszerzającą się na materiale przykrywającym prawe udo przyjaciela, wydobył z siebie zduszony jęk. Rana musiała się otworzyć i Devon traci teraz zbyt dużo krwi.

Markiz dał znak woźnicy, aby zatrzymał karete. Jadący wierzchem Ned Bridges natychmiast pojawił się przy drzwiach. Stamden bez słowa uniósł koc i wskazał na powiększającą się plamę.

- Niedobrze z hrabią - powiedział przyciszonym głosem. - Znasz okolicę. Daleko do Białych Dębów?

Ned rozejrzał się dokoła, jakby ustalając położenie.

- Nie więcej niż sześć, osiem kilometrów.

- A do Langley Hall?

- To następna posiadłość, ale jej granice ciągną się daleko. Dwór w Białych Dębach od domu kapitana dzieli zaledwie godzina jazdy, ale wiejskie drogi są rozmyte po zimowych deszczach. - Obrzucił hrabiego niespokojnym spojrzeniem. - Poza tym w domu znajduje się zaledwie część służby. Matka kapitana opuściła Kornwalię zaraz po pogrzebie męża i nigdy nie wróciła. Zresztą, w takim stanie umysłu, i tak nic by tu nie pomogła. Kapitan umieścił ją w rezydencji w Bath. Był zadowolony, że przynajmniej ten kłopot spadł mu z głowy.

- Musimy więc spędzić noc w Białych Dębach - stwierdził Stamden. - Pojedź przodem i uprzedź księżnę.

Ned skinął kudłatą głową.

- Oczywiście milordzie. Ale moim zdaniem, to nie jest najlepszy czas, aby prosić ją o gościnę i opiekę nad chorym. Pewnie sama nie zdążyła się jeszcze rozpakować. - Zamilkł na moment. - No i druga rzecz. Kapitan nie będzie chciał zostać jej dłużnikiem. Wcale mu się to nie spodoba.

- Wiem, Nedtie - powiedział Stamden zmęczonym głosem. - Całą odpowiedzialność biorę na siebie. A księżna poradzi sobie w każdej trudnej sytuacji. Tego jestem pewien. - Przykrył nogi Devona. - Tylko nie zapomnij poprosić, aby kucharz poszukał w spizami spleśniałego chleba.

Ned skinął głową.

- Rozkaz milordzie, zrobię to, choć pewnie cała Kornwalia będzie wkrótce gadać, że biednemu Nedowi Bridgesowi nieźle pomieszało się w głowie.

Devon obudził się dopiero, kiedy powóz stanął przed imponującym, kolumnowym wejściem do dworu w Białych Dębach. Był oszołomiony i nieco zdezorientowany.

- Niech to diabli, Stamden - wybełkotał. - Pamiętam przecież, że prosiłem, abyś obudził mnie, zanim tu dotrzemy.

- Potrzebowałeś odpoczynku. Może nie zauważyłeś, ale rana ponownie się otworzyła. - Stamden pocieszająco klepnął Devona w ramię. - Nie przejmuj się jednak. Wysłałem Neda przodem. Uprzedził księżnę.

Devon z trudem usiadł, nie zważając na potworny ból wywołany tym ruchem. Jęknął.

- Tylko tego mi trzeba.

Wyjrawszy przez okno, zobaczył, jak księżna niemal sfruwa ze schodów i wraz z Elizabeth Kincaid podbiega do karocy.

- Co pan sobie wyobraża, milordzie? - zapytała ostro, wchodząc do karety. - Jeszcze nie wyzdrowiał pan po operacji, a już wyrusza w taką podróż!

- Nie miałem wyboru, pani. Skoro postanowiłaś opuścić Londyn bez odpowiedniej ochrony, uznałem za swój obowiązek upewnić się, że ty i mój podopieczny dotarliście bezpiecznie

do celu - odparł sztywno Devon.

- Jak pan widzi, jesteśmy cali i zdrowi.

- A co, jeśli wolno zapytać, pozwala pani sądzić, że tu wicehrabia wam nie zagraża? Prowokacyjnie uniosła podbródek.

- W Kornwalii mam odpowiednie znajomości. Posłałam już po godnych zaufania ludzi. Dotrą tu jutro i będą strzec Charlesa. Na razie postawiłam całą służbę w stan pogotowia. Niecierpliwie zmarszczyła czoło.

- A teraz zobaczymy, co pan sobie zrobił. - Zanim Devon zdążył pomyśleć, aby ją powstrzymać, Moira zamaszystym ruchem ściągnęła koc. - Och Boże - jęknęła na widok przesiąkniętych krwią spodni. - Spośród wszystkich, głupich, szalonych, nieodpowiedzialnych - uniosła błyszczące wilgocią oczy - niewymownie rycerskich uczynków ...

Stała toczącą się po policzku łzę.

- Wybacz mi, milordzie. Źle pana oceniłam. Kiedy długo się pan nie odzywał, byłam pewna, że to z powodu nienawiści do mojej osoby. Teraz już wiem, jak było naprawdę. Honorowy z pana człowiek, troszczy się pan o Charlesa i dla jego bezpieczeństwa gotów jest zaryzykować życie.

Devon wbił w nią otępiały wzrok. Ta kobieta musiała postradać zmysły. Obie nieudane próby ochrony podopiecznego zakończyły się sromotną klęską. Każdy rozsądnie myślący człowiek uznałby więc hrabiego za osobę całkowicie niezdolną do sprawowania opieki. A tymczasem Moira płacze z wdzięczności. Czy z taką nielogiczną istotą można postępować w sposób racjonalny?

Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i wytarł pot z czoła.

- Muszę prosić, aby wysiadła pani z powozu. Teraz, kiedy wiem, że wasza wysokość panuje nad sytuacją, chcę przed zmrokiem dotrzeć do Langley Hall. - Spojrzeniem szukał poparcia u markiza siedzącego w kącie karety, ustępując miejsca księżnej.

Stamden uniósł brwi.

- Gdybyś pytał mnie o zdanie, powiedziałbym, że w twoim stanie dalsza podróż jest skrajną głupotą.

- Myślę dokładnie tak samo - oświadczyła księżna.

Skinęła na dwóch osiłeków z noszami. Podeszli natychmiast. - Połóżcie hrabiego ostrożnie - rozkazała. - I zanieście do komnaty, którą dla niego przygotowałam. Musimy natychmiast zatamować krwotok, zanim hrabia jeszcze bardziej osłabnie.

- My? - sapnął Devon. - Co pani ma na myśli? Moja rana, szanowna pani, znajduje się w miejscu nieodpowiednim dla kobiecych oczu.

- Niech pan nie będzie śmieszny. - Opuściwszy powóz, dopilnowała, aby wyniesiono hrabiego. Po kilku sekundach leżał już na noszach, pod samą brodę przykryty kocem.

- Ned! Stamden! Zróbcie coś - krzyknął, kiedy wnoszono go po schodach.

- Bez obaw, kapitanie - uspokoił go Ned. - Nie pozwoliłbym, aby kobieta opatrywała pańskie rany. Chociaż muszę przyznać, że księżna lepiej niż inne damy zna się na pielęgnowaniu chorych. Nawet nie mrugnęła okiem, kiedy wspomniałem o spleśniałym chlebie. Powiedziała, że Cyganie w Hiszpanii od wieków stosują ten środek w leczeniu infekcji.

- Cyganie w Hiszpanii! Dobry Boże! Skąd ona wytrzasnęła taką informację?

- O to samo zapytałem, kapitanie, lecz nie otrzymałem odpowiedzi. Moira nie usłyszała chyba mojego pytania. Zajęta była pilnowaniem, aby służba odpowiednio wszystko przygotowała na pańskie przybycie.

Pocieszająco klepnął Devona po ramieniu.

- A teraz, kapitanie, proszę przestać się zamartwiać. Nikt oprócz mnie nie zobaczy pańskiej rany. Obiecuję.

Z ciężkim westchnieniem Devon poddał się nieuniknionej przyszłości. Opadłszy na nosze, zamknął oczy, ufając wiernemu ordynansowi.



Moira otuliła się szalem i usiadła w fotelu stojącym w kącie sypialni hrabiego. Minęła północ. Przed chwilą zdołała przekonać wyczerpanego Neda Bridgesa, aby przespał się w sąsiedniej komnacie. Musiała obiecać, że zawoła go, kiedy tylko hrabia stanie się niespokojny.

Na szczęście Devon spał mocno i prawdopodobnie nie obudzi się aż do rana. Nie zważając na protesty, Ned nafaszerował go laudanum, które Moira dostarczyła w ilości wystarczającej dla zapewnienia mu długiego, spokojnego snu.

Uśmiechnęła się do siebie. Wyobraziła sobie wściekłość hrabiego, gdyby wiedział, że przy nim czuwa. Najwyraźniej nie chciał być jej dłużnikiem. Nawet jeśli szło tylko o nocleg i trochę laudanum. Oczyma duszy widziała reakcję Devona na wiadomość, że była mu nie tylko gospodynią, ale i pielęgniarką. Musi dopilnować, aby Ned dotrzymał słowa i niczego nie wypaplał. A wtedy arogancki hrabia pozostanie w nieświadomości.

Oprócz nocnego czuwania chciała również uniknąć rozmowy na inny temat. Nadal otwarta była kwestia władania nożem, no i ta nieostrożna wypowiedź dotycząca Cyganów. Cóż za głupota z jej strony! To tak, jakby na pierwszą wzmiankę o ranie Devona Sto Gwyre przemieniła się w bezmyślną, plecącą co ślina na język przyniesie idiotkę. Jak to się stało, że ma na nią taki wpływ?

Obserwowała twarz Devona, oświetloną blaskiem stojącej przy łóżku świecy. Hrabia miał piękne, wyraziste rysy. Nie po raz pierwszy Moira widziała przystojnego mężczyznę. A jednak nigdy przedtem jej puls nie przyspieszał tak szaleńczo. Ani też ciało nie tęskniło aż do bólu za dotykiem mężczyzny, a palce nie drżały z pragnienia, aby zanurzyć się w czuprynie złocistych włosów.

Moira pożałowała Devona Sto Gwyre.

Nigdy się do tego nie przyzna. Nawet przed samą sobą - z wyjątkiem tej jednej chwili wśród najczarniejszych ciemności nocy. Pragnęła Devona podczas ich pierwszego spotkania, przed czterema laty - tego aroganckiego, nieczułego gaujo, który znieważył ją w najbardziej poniżający sposób. Pożąda go teraz, a to uczucie jest równie bezsensowne, jak w przypadku lisa, który tęskni za ogarem biegnącym na czele nagonki podczas polowania.

Jako mała dziewczynka z przerażeniem słuchała statej cygańskiej legendy o złotowłosym wojowniku, z powodu którego młode, usychające z miłości Cyganki poszukiwały sposobu własnej zguby.

- Jak taka rozsądna cygańska panna mogła być na tyle głupia, żeby oddać serce podobnej kreaturze? - pytała wtedy babcie.

Teraz nie wiedziała, dlaczego uczucie pożądania do tego Anglika o zimnych oczach niczym ogień rozpałało jej żarliwą cygańską krew. Jeśli ktokolwiek mógł być ucieleśnieniem tamtego legendarnego rycerza, to tylko Devon Sto Gwyre.

Nagle hrabia zaczął niespokojnie drżeć i rzucać głową z boku na bok, po czym wyjęczał jedno zduszone słowo. Dziwne, ale zabrzmiało jak "Moira" .

Zastygła w bezruchu. Nasłuchiwała. Znowu. "Moira".

Tym razem było to raczej błaganie niż jęk. Podniosła się z fotela, upuściła szal i boso, po grubym tureckim dywanie, podeszła do łóżka.

Devon miał otwarte oczy, ale nieco zamglone od snu i laudaum.

\_ Moiro! - zawołał, wyciągając ręce. - Chodź do mnie, moja ty prześliczna syreno.

Wstrzymała oddech. Hrabia Langley śnił ... o niej. Spojrzała na mężczyznę, który w ciągu ostatnich czterech lat zdominował jej marzenia. Na myśl, że hrabia odczuwa to samo, serce Moiry załopotowało gwałtownie.

Czy odważy się spełnić jego prośbę?

Złośliwy diabełek kusząco szepnął jej do ucha:

\_ A czemu nie? Jest przecież odurzony narkotykiem i po przebudzeniu nie będzie nic pamiętał. Skradnij całusa, za którym tak tęsknisz. Może już nigdy nie nadarzy się podobna

okazja. No i cóż z ciebie za Cyganka, skoro nie potrafisz zaspokoić swoich najskrytszych pragnień?

- Devonie, mój kochany - wyszeptła Moira, pochylając się nad nim i zatapiając palce w gęstwinie jasnych włosów rozrzuconych na poduszce. Poczwała, jak Devon obejmuje ją silnymi ramionami, dostrzegła, jak usta rozchylają się w głodnym zaproszeniu, błagając jej wargi, aby dostarczyły upragnionej ucztę. Już dłużej nie mogła się opierać. Z westchnieniem zakryła usta Devona, swoimi wargami.

Odpowiedział jej natychmiast, z mistrzostwem mężczyzny doświadczonego w sztuce miłości. Jednak, w przeciwieństwie do tamtego karzącego, pełnego dzikości pocałunku sprzed lat, tym razem dotyk jego ust był niezwykle czuły, niczym pierwszy, nieśmiały pocałunek młodego Abelarda wielbiącego swą Heloizę.

Devon ponownie pocałował Moirę, a z głębi jego gardła wydarł się głęboki, chrapliwy dźwięk, przypominający dziki głos samca, który właśnie odnalazł źródło swych największych pragnień. Przyciągnął ją bliżej i pogłębił pocałunek, przekształcając go w akt cielesny daleko wykraczający poza wszystko, czego kiedykolwiek doświadczyła.

Dłoń Devona przesunęła się z jej pleców, obejmując pierś Moiry. Aż jęknęła, kiedy palący dotyk jego palców przeniknął przez cienki materiał sukni i dotarł do skóry.

- Zdejmij to, słodka syreno - wyszeptał. - Jak mamy się kochać w tym wszystkim, co nas dzieli?

- Cicho, mój panie - mój ty grzeszny, rozpustny gaujo - odszepnęła Moira, pokrywając delikatnymi pocałunkami

jego powieki. - Mężczyzna w takim stanie nie może myśleć o kochaniu. - Roześmiała się miękko. - I dobrze. Inaczej oboje do końca życia moglibyśmy żałować pokus, jakie ta noc nam oferuje.

- A więc pocałuj mnie, słodka syreno - wymruczał.

- Uzdrów mnie swą czułą namiętnością. - Uśmiechnął się kusząco, ale jego dłoń opadła bezwładnie, a oddech stawał się coraz głębszy. Jego pierś zaczęła opadać i wznosić się w takim samym powolnym rytmie, w jakim fale omywają podnóża klifów, na których stał dwór w Białych Dębach.

Moira złożyła ostatni pocałunek na ustach Devona delikatny i przeciągły. Łza smutku spłynęła po jej policzku i stoczyła się na jego wargę.

Uśmiechając się przez sen, hrabia Langley zliznął słoną kropelkę i przełknął tak łapczywie, jakby to był najlepszy francuski koniak.

Kiedy Devon otworzył oczy, pokój zalewało jasne światło słoneczne wpadające do środka przez otwarte okno. Pewnie jakiś nieuważny służący postanowił przewietrzyć pokój i zapomniał zamknąć okno. Matka hrabiego nigdy nie zdzierżyłaby podobnego zaniedbania obowiązków, ale Moira prowadziła dom lżejszą ręką niż pedantyczna hrabina.

Jednak nie narzekał. Na Półwyspie często sypiał na dworze i nic nie budziło w nim obaw. Co więcej, miał teraz niesamowicie jasny umysł w porównaniu z tym, czego zazwyczaj doświadczał po przebudzeniu ze snu wywołanego laudanum. Nawet ból w nodze zmniejszył się do zaledwie stłumionego pulsowania.

Poza tym - uśmiechnął się pod nosem - minionej nocy, pełen namiętności sen Devona zakończył się w sposób znacznie bardziej satysfakcjonujący, aniżeli poprzednio. To wystarczyło, aby psychicznie poczuł się lepiej.

Obróciwszy głowę, napotkał stoickie spojrzenie Neda Bridgesa, który siedział w fotelu ustawionym o kilka kroków od łóżka.

\_ Niech to diabli. Wciąż tu jesteś? Czy ty kiedykolwiek sypiasz?

- Szczerze mówiąc, spałem jak kłoda. Od północy do prawie piątej nad ranem - stwierdził

Ned z radosnym uśmiechem. - I jest mi teraz wspaniale.

Szybko się zakrzętnął. Wyciągnął brzytwę i mydło do golenia. Wyglądał przy tym dziwnie, jak kot, który przed chwilą zwędził coś do jedzenia. Ned z rozmachem zdjął przykrywkę z miski pełnej parującej wody stojącej na szafce przy łóżku.

- Już grubo po dwunastej. Zaraz przyjdzie księżna Sprawdzić, co u pana słyhać. Na pewno chciałby pan jak najlepiej wyglądać - powiedział, ostrząc brzytwę o pasek grubej skóry. - Pomimo tych jej wszystkich dziwnych pomysłów, wspaniała z niej kobieta. To ona otworzyła okno, chcąc zmniejszyć pański ból głowy po laudanum. Twierdzi, że sama okrągły rok sypia przy otwartym oknie. A któż, oprócz doświadczonych wiarusów składałby podobne zapewnienia?

- Rzeczywiście. - Devon z uwagą spoglądał na ordynansa. - Kiedy otworzyła okno? Nie pamiętam, aby robiła to podczas wieczornej wizyty.

Ciemny rumieniec wypelzł na pobrużdżone oblicze Neda.

- Tak, teraz sobie przypominam. Zajrzała tu na chwilę, kiedy pan już spał.

- Jak długo tutaj była?

- Jak długo? - Ned z zapalem zaczął rozpuszczać w misce pieniące się mydło.

- A skąd mam wiedzieć, kapitanie? Nie spojrziałem na zegarek.

Devon uniósł się na poduszkach i wystawił podbródek, umożliwiając Nedowi golenie.

- Powiedziałeś, drzemka od północy do piątej rano?

Ned odchrząknął.

- Czy jest coś, czego nie zdołałby pan ze mnie wyciągnąć, kapitanie?

- Mam nadzieję, że nie - odparł Devon.

Na twarzy Neda pojawił się wyraz rezygnacji.

- Coś w tym stylu. Jej wysokość nalegała, abym odpoczął. Powiedziała, że wyglądam, jakby mnie dopiero co wyciągnęli spod kół powozu. Szczerze mówiąc, tak się też czułem. Przynęła jednak zawołać mnie, gdyby choć przekreślił się pan na drugi bok. Inaczej nigdy bym pana nie zostawił.

- Wiem, Nedzie. Nie kwestionowałem twojej lojalności - stwierdził z roztargnieniem Devon.

- Właściwie, to nawet się cieszę, że ktoś cię uwolnił na kilka godzin.

Ale czy tym kimś musiała być księżna? - dodał w duszy. Myśli wirowały w głowie Devona. Usiłował sobie przypomnieć szczegóły cudownego snu. Nie miał wątpliwości, że śnił właśnie w tym czasie, kiedy księżna przy nim czuwała. Czy właśnie dlatego po raz pierwszy wyraźnie zobaczył syrenę? Nawet teraz potrafił przywołać z pamięci każdy szczegół jej twarzy, łącznie z niewielkim, prowokacyjnym pieprzykiem w kąciку zmysłowych ust. Ale z drugiej strony, jakże mogło być inaczej, skoro tak namiętnie całował ją w swoim śnie?

Co do tego nie ma najmniej szych wątpliwości. Tą syreną była piękna Moira ... A poza tym, tak, nie myli się, nie ograniczył się do pocałunków. Obejmował dłońmi jej cudowne piersi, a później poprosił, aby zdjęła suknię, bo chciał się z nią kochać.

Przekleństwo! Oby tylko nic nie mówił wtedy przez sen.

Według Stammenajednak, miał do tego skłonności. Pragnął jej tak jak wszyscy mężczyźni, którzy mieli okazję choć raz ujrzeć Moirę. Ostatnią jednak rzeczą, jakiej potrzebował, było to, aby ta piękna figlarka zrozumiała, iż on niczym się od nich nie różni.

Moira długo się wahała, zanim wreszcie późnym popołudniem odwiedziła hrabiego. Ned ostrzegł ją, że Devon wyciągnął już z niego całą prawdę. A może ten pozbawiony skrupułów podrywacz wcale nie spał, kiedy połączyła ich chwila namiętności? - pomyślała z przerażeniem. Ten problem był zbyt niepokojący, aby dłużej go rozważać.

Nie mogła sobie pozwolić na zaniedbywanie obowiązków gospodyni. Jeśli Devon Sto Gwyre jest tak bystry, jak twierdzą Ned i Elizabeth, zapewne nabrałby podejrzeń, gdyby dziwnie się zachowywała. Lepiej udawać, że do niczego między nimi nie doszło.

- Znacznie lepiej pan wygląda, milordzie - powiedziała, wchodząc do sypialni w porze

podwieczorku. Za nią zdążyła pokojówka z zastawioną tacą.

Czy to tylko wyobraźnia, czy też naprawdę patrzy na nią podejrzliwie?

Siedział w łóżku pogrążony w lekturze, ale natychmiast odłożył książkę na bok i obdarzył księżnę wymuszonym uśmiechem.

- Ach, podwieczerek. Jak to miło, pani.

Devon nie znosił podwieczorków, zwłaszcza teraz, kiedy usługiwała mu ta wielce zadowolona z siebie hrabina. Do diaska, sądząc po jej minie, musiał paplać jak smarkłtacz przez całą noc, a ona to wszystko słyszała.

- Charles pytał o pana, milordzie. Czy wolno mu będzie przyjść z wizytą na kilka minut? Jak na tak małe dziecko, wykazał zadziwiający hart ducha podczas ostatnich przykrych wydarzeń. To odważny chłopak. Jestem przekonana, że pańskie towarzystwo bardzo go ucieszy - powiedziała Moira, drżącymi rękami nalewając herbatę.

Hrabina nie była ani niewiniątkiem, ani też wyrafinowaną podrywaczką. Nie potrafiła prowadzić uprzejmej rozmowy z mężczyzną, który zaledwie przed paroma godzinami trzymał jej pierś w swojej dłoni, a językiem penetrował usta. Devori Sto Gwyre wyrzucił bezpieczny świat Moiry do góry nogami. Nawet gdyby sama miała nieść nosze, jeszcze przed końcem tygodnia wyprawi go do Langley Hall. Może wówczas zdoła pozbierać myśli.

- Wizyta chłopca ani trochę mnie nie zmęczy. Mam z nim mnóstwo spraw do omówienia, nie wyłączając kwestii owego obdartusa, który, jak zgaduję, znalazł się tutaj za pani przyzwoleniem - odparł Devon. - Proszę przysłać Charlesa, z łaski swojej, jutro rano. Niech to diabli. Devon dostrzegł maleńki pieprzyk w kącie ust Moiry, dokładnie tak, jak widział we śnie. Co by powiedziała na to, że śnił o niej tak intensywnie, iż nadal czuje jej pocałunek na ustach? Hrabina miała na niego zdecydowanie zbyt niepokojący wpływ. Nawet jeśli trzeba będzie go nieść na noszach, zanim nadejdzie koniec tygodnia, wyjedzie do Langley Hall. W przeciwnym razie straci rozum.

Wziął się w garść.

- Zanim opuścę Białe Dęby i z panią muszę omówić wiele spraw, wasza wysokość - oświadczył surowo. - Końiec z wychowywaniem Charlesa na łapu capu. Niezwłocznie trzeba ustalić pewne reguły dotyczące sprawowania przeze mnie opieki nad młodym księciem. Reguły, którym, jak oczekuję, podporządkuje się pani bez sprzeciwu.

## Rozdział szósty

Na łapu capu! A więc zdaniem hrabiego Langley ona wychowuje Charlesa w taki sposób? Najpierw oświadczył, że bez jego zgody nie ma prawa opuszczać Londynu, pomimo niebezpieczeństwa grożącego księciu w tej wylęgarni przestępstwa i korupcji. Teraz nalega na ustanowienie reguł, którym Moira ma się "podporządkować bez sprzeciwu". Pożądając to pompatyczne indywiduum, musiała chyba postradać zmysły. Poczzerwieniała z gniewu.

Prosto z sypialni hrabiego udała się do salonu na pierwszym piętrze. Teraz niespokojnym krokiem przemierzała pomieszczenie wzdłuż i wszerz. Była wściekła. Jakże żałowała tej impulsywnej deklaracji złożonej podczas ich pierwszego spotkania w Londynie.

Powiedziała wówczas, że źle go oceniła. Tymczasem jedyna pomyłka w ocenie tego żalosego człowieka polegała na tym, iż w gruncie rzeczy jest on większym głupcem, niż przypuszczała.

Co jednak zdoła osiągnąć kłótnią? Jest przecież zdana na jego łaskę i niełaskę. Wszystkie kobiety w Anglii uzależnione były od mężczyzn. Ale w świecie Romów sytuacja też nie

wyglądała inaczej. Dziadek rządził niewielką grupką Cyganów żelazną ręką, a dla rodziny to głos mężczyzny stanowił prawo, mimo że kobiety, które musiały mu się podporządkować, nie były pozbawione inteligencji.

Życie jest niesprawiedliwe! Moira wymierzyła potężnego kopniaka solidnej otomanie - zbyt późno przypominając sobie, że jak zwykle ma bosa nogi. Masowała właśnie urażony palec, kiedy posłyszała stukot końskich kopyt na podjeździe przed domem.

Kulejąc, podeszła do okna - może to ochrona Charlesa?

Jednak zamiast trzech mężczyzn dostrzegła czterech. Jeden z przypsby wydał się Moirze dziwnie znajomy. Jęknęła. To ojciec! Spośród wszystkich ludzi na świecie był w tej chwili najbardziej niepożądanym gościem.

Po chwili John Footman - podczas nieobecności Chawleigha podniesiony do rangi starszego lokaja - zaanonsował przybycie szlachetnego dziedzica Reardona i braci Keough.

- Szlachetny? - sapnęła, kiedy ojciec zamknął ją w niedźwiedzim uścisku. - Od kiedy to jesteś tak prawy, ty stary grzeszniku? Taki tytuł przysługuje tylko ziemianom, a ty nigdzie nie zagrzałeś miejsca na tak długo, aby zdobyć choć odrobinę więcej ziemi niż kurz, który pokrywa moje buty?

- Moira, moja kochana dziewczynko, dobrze cię znów widzieć. - Przystojną, rumianą twarz Jacka Reardona rozpromienił szeroki uśmiech. - A co do tytułu, uznałem, że jest całkowicie adekwatny, skoro moja córeczka została wielmożną księżną.

Moira uwolniła się z wylewnego uścisku rodziciela i uważnie mu się przyjrzała. Począwszy od eleganckich srebrnych guzików na zgniozłonej kurtce do jazdy wierzchem, a skończywszy na dopasowanych bryczesach z kozłej skóry, w każdym calu wyglądał na bogatego posiadacza ziemskiego, za którego się podawał. Nawet, jego przyprószone siwizną włosy, zazwyczaj potargane, teraz były uczesane we właściwy, konwencjonalny sposób.

- Cóż, przynajmniej ten strój pasuje roli, jaką grasz - przyznała.

- Czego nie mogę powiedzieć o tobie, córeczko. - Reardon z dezaprobatą uniósł gęste, ciężkie, czarne brwi. - Od kiedy to księżne chodzą boso i ubierają się w tak niegustowne szaty, że pogardziłyby nimi każda szanująca się pomywaczka?

- Od kiedy zostałam księżną, jak przypuszczam - odparła z roztargnieniem, Moira. -

Wszystkie suknie, jakie noszą angielskie arystokratki, są tak ponure i nudne, że na nic nie mogłam się zdecydować. - Zmarszczyła czoło. - Ale nie przyjechałeś tu chyba aż z Penrynu tylko po to, aby wydziwiać na moje niemodne stroje?

- Wyruszyłem w podróż - a chciałbym dodać, że była to trudna jazda - bo chłopcy powiedzieli mi, iż rozesałaś wici. - W skazał trzech wysokich, rudowłosych mężczyzn w zgrzebnych ubraniach wieśniaków, czekających przed drzwiami salonu. Wszyscy zbyt przypominali Johna Footmana, aby nie domyślić się łączącego ich pokrewieństwa. - Jeśli masz kłopoty dziewczyno, powinnaś posłać po swego staruszka, a nie po tych synów szatana.

- Jeśli dobrze sobie przypominam, tenże staruszek był przyczyną większości moich kłopotów, nigdy zaś radości - powiedziała sucho Moira. - Oddasz mi. największą przysługę, wsiadając teraz na konia i odjeżdżając tam, skąd przybyłeś, zanim mój gość, hrabia Langley, cię zobaczy i zacznie węszyć wokół mojego pochodzenia.

- Langley jest tutaj? Na wszystkie świętości, myślałem, że ten stary kutwa uderzył w kalendarz dwa lata temu.

- Stary hrabia zginął przed dwoma laty w wypadku na polowaniu. Obecnie ten tytuł odziedziczył jego syn, Devon.

- Devon? Dziewczyno, miałem nadzieję, że dostałaś już nauczki i po ostatniej awanturze przestałaś się zadawać ze szczeniakami Langleyów.

Kulejąc, podeszła do najbliższego krzesła. Dla utrzymania równowagi jedną ręką chwyciła

oparcie, a drugą masowała bolący palec.

- Nie zadaję się z hrabią - powiedziała głosem pełnym irytacji. - Wręcz przeciwnie. Nienawidzimy się. On przebywa tutaj w interesach - jako opiekun Charlesa.

- Nie nazywaj go tak! - Jack Reardon przyjął wielce obrażoną postawę. - Co ten stary książę sobie myślał, przekazując sprawy młodego Charlesa w ręce obcego? Jestem przyszywanym dziadkiem chłopca, więc mnie powinien mianować opiekunem.

Moira wybuchnęła śmiechem.

- To by dopiero było! Książę może i miał zbyt miękkie serce, ale nigdy nie brakowało mu rozumu. Pod twoją opieką Charles zostałby bez grosza przy duszy, zanim jeszcze osiągnąłby pełnoletność.

- Zważaj na słowa, dziewczyno. Nie masz wstydu? Jestem twoim ojcem i należy mi się chyba trochę szacunku. - Odwrócił się do czekających mężczyzn. - Widzicie chłopcy. Ja ją spłodziłem, a ona mnie ruga.

- Na pewno ma ku temu powód, ty stary rozpustniku - oświadczył niskim głosem najwyższy z rudowłosych.

Jego głos rozbrzmiał w niewielkim salonie niczym giganetyczne cymbały.

Wystąpił do przodu.

- Michael Keough, do usług, pani. Ci dwaj przystojni chwaci, to moi bracia, Timothy i James. Młody Johnnie - z głośnym plaskiem trzepnął Footmana w plecy - powieździe nam o tym niegodziwcu, wicehrabi. Chcesz go pani ujrzeć martwym, czy też w jakiś inny sposób mamy zniechęcić wicehrabiego, aby się wam już więcej nie naprzykrzał?

- Nic z tych rzeczy -- powiedziała szybko Moira.

- Proszę tylko, abyście przez jakiś czas pełnili rolę osobistej ochrony młodego księcia. Sądząc po tym, jak szybko wicehrabia Quentin wpada w coraz większe długi, niedługo będzie musiał uciekać z kraju, a wówczas nasze kłopoty się skończą.

- Cokolwiek, rozkażesz, pani. Jesteśmy przecież pani coś winni, a Keoughowie zawsze spłacają swoje długi. - Michael Keough objął wąskie barki Johna Footmana.

- Jeśli nasz młody kuzyn pokaże, gdzie przyjdzie nam złożyć głowy na noc, zostawimy tam rzeczy i obejrzymy dom. Dzięki temu zorientujemy się, co robić, aby jak najlepiej wypełniać swoje obowiązki.

- Doskonale - odparła z uśmiechem Moira. - Nie miałam wątpliwości, że wzywając was, dokonuję właściwego wyboru.

Odprowadziła ich wzrokiem, a potem z marsową miną zwróciła się do ojca:

- Nie rzucałam słów na wiatr, Czarny Jacku. Nie możesz tu zostać. Wystarczy choć cień skandalu dotyczący mego pochodzenia, a hrabia odbierze mi Charlesa, ot tak po prostu. - Strzeliła palcami. - Nie mogę na to pozwolić. Kocham tego chłopca jak własne dziecko, choć nie przypuszczam, abyś potrafił to zrozumieć.

Reardon uniósł brwi w geście oburzenia.

- Nie potrafię? Więc czemu przyjechałem do ciebie - akurat teraz, jeśli nie z powodu ojcowskiej troski?

- Zapewne dlatego, że twoje kieszenie świecą pustkami. W ciągu ostatnich czterech lat nie zdarzyło ci się zapukać do moich drzwi z innego powodu.

Czarny Jack wyrócił oczami, niczym doświadczony aktor.

- Ach, Moira, dziewczyno. Jakaż cyniczna się stałaś, od kiedy weszłaś w elegancki świat. - Tylko dlatego, że bardzo cię kocham, spędziłem dwanaście godzin w siodle.

Białe zęby Reardona błysnęły w złośliwym uśmiechu, który od czterdziestu z górą lat torował mu drogę do serc i łóżek tylu kobiet, że sam nie potrafił ich wszystkich spamiętać.

- Jednakże, skoro już tu jestem, nie zaszkodzi przyznać, iż nieco u mnie cienko z forszą.

- Tak myślałam. Co tym razem? Konie czy kobiety?

- Szczerze mówiąc, i jedno, i drugie. Ale nie było w tym ani trochę mojej winy. Takie już moje pieskie szczęście. Najpierw miałem wielkiego pecha przy obstawianiu kucyków.

Potem zadałem się z nic nie wartą dziewczką. Którejś nocy opróżniła mi kieszenie i uciekła z

wędrownym druciarzem.

Moira nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

- Wędrowny druciarz. Dobry Boże, Czarny Jacku, tym razem sięgnąłeś dna. U mnie nie szukaj jednak ratunku. Sama mam pusto w kieszeni. Przed wyjazdem z Londynu uregulowałam wszystkie rachunki. Nie zamierzam wracać do tego wstrętnego miasta w najbliższym czasie, a dochód z majątku księcia wypłacany jest kwartalnie, następny termin przypada dopiero w kwietniu.

- Spłaciłaś wierzycieli? - Z niedowierzaniem pokiwał głową. - Co za głupota. Czy nie wiesz, że arystokraci nigdy nie płacą rachunków, póki ktoś ich do tego nie zmusi? A to rzadko się zdarza. Gdyby wszyscy postępowali w tak idiotyczny sposób, rozpadłby się cały brytyjski system finansowy. Nie ja cię tego nauczyłem ani też twoja nieboszczka matka, bo żadnemu szanującemu się Cyganowi podobny pomysł nie przyszedłby do głowy.

- Jeśli chcesz powiedzieć, że z powodu mieszanej krwi ni pies, ni wydra ze mnie, to tracisz czas - stwierdziła gorzko Moira. - Byłam tego świadoma, zanim jeszcze zaczęłam chodzić. Czarny Jack wyprostował się, a wzrost miał imponujący. - Cóż, jak na takiego nie wypierzonego ptaszka, nieźle sobie poradziłaś, prawda dziewczyno? A komu należą się podziękowania za to, że opływasz teraz w dostatki? Właśnie tatusiowi. Beze mnie nie dogadałabyś się ze starym księciem. - Nachmurzył się. - Czy chcesz tego czy nie, zamieszkać u ciebie, dopóki nie dasz mi forsy. A może wyrosłaś na pozbawioną serca okrutnicę i pozwolisz, aby stary tata spał pod płótem, niczym jakiś włóczęga? Pomyśl o tym, dziewczyno. Czy mam cierpieć dlatego, że ty nie znasz się na interesach?

- Niech Bóg uchroni, Czarny Jacku. Nawet ja nie jestem tak nierozsądna - odparła Moira, wbrew woli lekko się uśmiechając. Tatuś znów przekabacił ją na swoją stronę. Miał bowiem taki dar przekonywania, że zdołałby namówić samego Archaniola Gabriela do tego, aby zamienił niebo na Hades. - No dobrze, możesz zostać - dodała przez zaciśnięte zęby. - Na kilka dni. Jednak dopóki hrabia nie wyjedzie do Langley Hall, będziesz przebywał we wschodnim skrzydle.

- I pewnie samotnie jadał - dodał z rozdrażnieniem Reardon. - Jakbym siedząc z wami przy jednym stole, mógł was zarazić śmiertelną chorobą.

- Takie są moje warunki. Albo je przyjmiesz, albo wyjedziesz - oświadczyła Moira, uciekając wzrokiem przed wisielczym spojrzeniem ojca.

- Twarda jesteś, Moiro. Nigdy się tego po tobie nie spodziewałem. - Czarny Jack stał z twarzy krokodylą łzę. - Pozwolisz przynajmniej, aby młody Charlie odwiedził mnie i rozweselił mi długie godziny samotności?

- Dobrze - zgodziła się Moira, z trudem utrzymując powagę. - Ale pod pewnym warunkiem. Przysięgnij, że nie będziesz go już uczył tych barwnych irlandzkich wyrażeń. Biedna Elizabeth nadal się czerwieni, kiedy słyszy z jego ust przekleństwa, które Charles przyswoił sobie od ciebie.

Więść o pojawieniu się czterech przybyszy szybko się jednak rozeszła. Charles, siedząc w swym apartamencie na piętrze, który zakazano mu opuszczać do czasu przybycia ochrony, wystawił głowę przez okno i zawołał do Alfiego:

- Przyjechał dziadek Czarny Jack! Będzie wesoło.

- I dodał radośnie: - On zna najwięcej na świecie podniecających historii o piratach, przemytnikach i takich innych.

Elizabeth Kincaid, pełniąc rolę nauczycielki chłopców do czasu, kiedy znajdzie się ktoś bardziej odpowiedni, z drzeniem serca przytaknęła słowom Charlesa.

Odgłos kopyt i szmer głosów dotarł również przez otwarte okno do sypialni Devona umieszczonej na drugim piętrze. Razem ze Stamdene, m pograżeni byli w cichej rozmowie. Devon nadal odczuwał irytację z powodu morderczego spojrzenia, jakim obdarzyła go księżna, opuszczając pokój kilka godzin wcześniej. A wszystko tylko dlatego, że pozwolił sobie na wypływającą z czystej logiki sugestię na temat wychowania młodego

księcia.

- Co to za zamieszanie na dziedzińcu? - zapytał Neda Bridgesa, który wyglądał przez okno. Na kwadratowej twarzy ordynansa malowało się wielkie osłupienie. - Hałas jest taki, jakby przybył pierwszy regiment huzarów w pełnym bojowym rynsztunku.

- Przyjechało czterech mężczyzn, których miałem nadzieję już nigdy nie ujrzeć za życia - odpowiedział Ned ze zgrozą. - A dokładnie mówiąc, Czarny Jack Reardon i trzech braci Keough. Zastanawia mnie, co też sprowadza tych najbardziej bitnych w całej Kornwalii dżentelmenów - do domu księżnej? I to w biały dzień. Domyśla się pan, kapitanie?

- Tennenem "dżentelmen" mieszkańcy Kornwalii określają przemytników - wyjaśnił Stammenowi Devon. - Choć nie wszyscy o tym wiedzą, Ned sam przez jakiś czas parał się tym zajęciem, zanim wstąpił do armii.

Stammen wyszczerzył zęby.

- Zawsze miałem wrażenie, Nedzie, że tkwi w tobie coś, czego nie widać gołym okiem.

Teraz już jestem tego pewny. - Nagle jego oczy się rozszerzyły. - Zaraz. Jak nazwałś jednego z nich? "Czarny Jack Reardon"? - Spojrzał na Devona. - Czy dobrze pamiętam? Wymieniłeś kiedyś panieńskie nazwisko księżnej. Brzmi ono Reardon, prawda?

- Tak - przyznał ponuro Devon. - Wygląda na to, że ta uprzykrzona baba została obdarzona co najmniej jednym niepospolitym krewnym. Fakt ten zmusza do zastanowienia. Jakże jeszcze owoce mogłyby spaść z jej drzewa genealogicznego, gdyby mocniej nim potrząsnąć?

\_ Jej wysokość nazywa się Reardon? Jest pan pewny, kapitanie? - zapytał drżącym głosem Ned.

- Tak, jestem tego pewny.

- A zatem Czarny Jack to jej ojciec!

Devon zamrugał oczami.

\_ Cóż, na Boga, doprowadziło cię do tak zaskakującego wniosku? Książę Sheffield uchodził wprawdzie za człowieka ekstrawaganckiego, ale nie do tego stopnia, aby powierzyć wychowanie swojego jedyne go syna i dziedzica córce zwykłego przemytnika.

\_ "Zwykły", to najmniej odpowiednie określenie dla Reardona. - Ned opadł na stojący za nim fotel, jakby nogi nagle odmówiły mu posłuszeństwa. - Na pamięć mej świętej matki, zaklinam się, że księżna musi być jego córką. Wszystko idealnie pasuje. - Grzotnął się pięścią w czoło. - A to oznacza, że zawdzięczam tej dami: życie.

Spojrzał Devonowi w oczy.

\_ Słyszał pan, kapitanie, że brałem udział w tych "interesach". Nie wie pan natomiast, jak i kiedy je porzuciłem.

\_ Zgadza się - odparł Devon. - Ale jeśli to w jakiś sposób dotyczy księżnej, to lepiej, żebym się o tym dowiedział.

\_ Wraz z moim bratem Danielem stanowiliśmy załogę "Lolity", łodzi Czarnego Jacka.

Trwało to dwa lata, a już wtedy Napoleon podbijał Europę. - Odchrząknął bezwiednie. -

Przewoziliśmy głównie brandy, a czasami wytworne francuskie perfumy.

Obrzucił markiza niespokojnym wzrokiem, ale Devon lekceważąco machnął ręką.

- Bez obawy, Stammen to chodząca dyskrecja.

- Zawsze pracowaliśmy w parach, po dwie łodzie - kontynuował Ned. - Dawało to większe bezpieczeństwo w czasie przepraw przez kanał. Czarny Jack prowadził "Lolite", a Michael Keough "Nancy K". Załogę stanowili jego bracia. Jedno muszę im przyznać - lepszych kapitanów nie było. W tajemniczy sposób wydostawał się ze skalistych płyczn kornwalijskiego wybrzeża i wślizgiwali z powrotem. Zawsze też mieli najlepszy ładunek i największy zysk spośród wszystkich okolicznych "dżentelmenów". Nie dziwota więc, że jakiś zazdrosny łotr - niech Bóg ma go w swojej opiece, jeśli poznam kiedyś jego nazwisko

\_ dał w łapę celnikom.

Z roztargnieniem przeczesał palcami czarną czuprynę.

- Mówiąc krótko, pewnej sierpniowej nocy, przed czterema laty czekał na nas ich kuter.



Cztery lata temu, 19 sierpnia 1811 roku, Blaine otrzymał fatalną wiadomość od Moiry Reardon, przemknęło Devonowi przez głowę. Zadrżał. Ned ogarnął pokój pustym spojrzeniem.

- Rozwalili obie nasze łodzie jeszcze na wodzie. Rozszczepiony maszt niemal całkowicie przeciął Daniela na pół. Wyciągnąłem go na brzeg. Umarł na moich rękach. .... Zakrył oczy. Ponownie przeżywał koszmar.

- Mów dalej, Nedzie. Co księżna ma z tym wspólnego? - zapytał delikatnie Devon. Niechętnie rozprasał smutną zadumę ordynansa, ale nie miał wątpliwości, iż uzyskane od niego informacje pozwolą mu zrozumieć tę tajemniczą kobietę, która tak tragicznie wpłynęła na jego życie.

- Zaciągnięto nas przed oblicze sędziego i wydano wyrok. Mieliśmy zawisnąć przed upływem dwóch tygodni. Cóż, nie muszę dodawać, że ten pomysł zupełnie nie przypadł mi do gustu. Moje życie dobiegało końca, a nie miałem jeszcze dwudziestu pięciu lat. Boże, jak ja się bałem - tak strasznie, że omal nie zlałem się w portki na samą myśl o stryczku. Bracia Keough byli zresztą nie mniej przerażeni. Ale nie Czarny Jack. On nawet nie mrugnął okiem, kiedy sędzia przeczytał wyrok. "Posłałem wiadomość do córki, a sprytna jest jak sam diabeł - powiedział nam później. - Zrobi wszystko, aby uchronić swego tatusia przed stryczkiem. I jego przyjaciół też. Poczekajcie tylko, a zobaczycie".

- Tak też się najwyraźniej stało, - stwierdził Devon, czując dziwny ucisk w żołądku. Zaczynał wierzyć, że Moira Reardon naprawdę jest córką przemytnika - Czarnego Jacka. Jeśli to prawda, ilu jeszcze mężczyznom, poza starym księciem, musiała okazać swe wdzięki, aby wykonać zadanie. Słowa "zrobi wszystko" odbijały się ponurym echem w głowie hrabiego.

Ned wstał z fotela, podszedł do okna i wbił oczy w blade, lutowe słońce.

- Trzy dni później byliśmy wolni. Plotka głosiła, że ktoś zbyt potężny i bogaty, aby sędzia mógł mu odmówić, wstawił się za narni. Nigdy nie po'znałem nazwiska naszego wybawcy. Czarny Jack tylko się ro-ześmiał i powiedział, że to jego szczenię, które spłodził, ocaliło nam głowy, a to dzięki małżeństwu z kimś tak wysoko postawionym, z kim sam regent musiał się liczyć.

- I tak się stało - powiedział Stammen. - Nie było w Brytanii potężniejszego człowieka nad księcia Sheffielda. - Bębnił palcami o poręcz fotela. - Tak się składa, że przeprowadziłem dziś rano interesującą rozmowę z panną Kincaid. Książę tuż przed śmiercią wyjawił jej powód swego ożenku z Moirą Reardon. Według niego, była jedyną kobietą zdolną obronić Charlesa przed Quentinem. Mądry z niego człowiek. - Przeniósł wzrok na Devona. - W ten sposób, przyjacielu, następny kawałek układanki trafił na swoje miejsce. Teraz już wiemy, czego Moira zażądała w zamian za obietnicę wychowania młodego księcia jak własnego syna i czemu tak wytrwale dąży do tego, aby wypełnić to zobowiązanie.

- To prawda. - Devon opadł na poduszki. Nagle poczuł się potwornie zmęczony. Wreszcie zrozumiał, dlaczego Blaine'a porzuciła jego ukochana. Zadziwiająca opowieść Neda ukazała piękną księżnę w zupełnie nowym świetle. Nie była po prostu chciwą oportunistką, której nienawidził przez długi czas. Zrobiła wszystko, co mogła, aby ocalić życie ojca, nie zważając na cenę, jaką przyjdzie jej za to zapłacić.

Z punktu widzenia logiki nie mógł winić Moiry. Jednak, irracjonalnie złość Devona jeszcze się spotęgowała, kiedy pomyślał, że sprzedała się, aby ocalić człowieka, dla którego stanowiła zaledwie "spłodzone przez niego szczenię". Tym razem złość nie miała nic wspólnego z Blaine'em. Ku własnemu przerażeniu Devon Sto Gwyre odkrył, że na myśl o innym mężczyźnie cieszącym się bliskością Moiry, o której on tylko mógł fantazjować, zżera go wściekłość i zazdrość.

Stammen podniósł się z fotela, podszedł do stolika w kształcie półksiężyca i z kryształowej karafki nalał brandy do trzech szklanek, a następnie podał je towarzyszom.

- Któż inny, jeśli nie taki przebiegły stary lis pokroju Sheffielda, mógł wpaść na pomysł, aby powierzyć przyszłego para królestwa córce znanego przemytnika? - zapytał.

- Rzeczywiście - odparł Devon, z całych sił próbując ukryć miotające nim uczucia. - Z pewnością nie ja, jeśli wierzyć Elizabeth, księżę sam wybrał Moirę Reardon.

- Dałbym głowę za szczerość panny Kincaid. - Wyważony nacisk, z jakim Stamden wypowiedział te słowa, zaskoczył Devona. - A gołym okiem widać, że młody księżę uwielbia macochę.

Devon kiwnął głową.

- Nie mogę się z tobą nie zgodzić. Dlatego też, jako opiekun chłopca, powinienem chyba utrzymywać z nią przyjazne stosunki, pomimo własnych zastrzeżeń co do jej osoby.

- Na to wychodzi - przytaknął Stamden, a w jego ciemnoszarych oczach zabłysło coś na kształt rozbawienia. - Im szybciej się to stanie, tym lepiej dla wszystkich zainteresowanych.

Puls Devona stał się szybszy, a ogień rozszedł się w jego żyłach. Co wyniknie ze stosunków, jakie nawiązał z tą upartą, niezależną kobietą?

- Zrobię to - powiedział w końcu. - Muszę ... dla dobra Charlesa.

Moira rzadko bywała w sytuacji, kiedy nie wiedziała, co ma powiedzieć. W wieku gdy większość dziewczynek dopiero zaczyna bawić się lalkami, ona musiała nauczyć się stawić czoło nowej sytuacji po śmierci ukochanej matki. Z rąk dziadka, pogodnego Cygana, przeszła pod opiekę beztroskiego ojca, irlandzkiego szelmy. Cztery lata kurateli przebiegłego starego księcia Sheffielda tylko wzmocniły jej wrodzony pragmatyzm i uodporniły ją na wydarzenia, które inne kobiety niechybnie doprowadziłyby do nerwowego załamania.

A mimo to Ned Bridges zdołał zapędzić ją w kozi róg.

Kiedy spotkali się na podeście, spontanicznie zadeklarował wieczną lojalność i wierność. Posunął się jeszcze dalej, gotów był bowiem, jak twierdził, oddać za nią życie, gdyby taka konieczność kiedykolwiek zaistniała. Jego zaskakujące oświadczenie wywarło na Moirze tym większe wrażenie, że poprzedził je słowami:

- Kapitan ... to znaczy hrabia, chce się z panią jak najszybciej zobaczyć, wasza wysokość. To znaczy, jeśli to pani odpowiada, oczywiście.

- Na Boga, cóż znowu zrobiłam? - mruknęła do siebie, kiedy stała jak zamurowana jeszcze długo po tym, jak Ned zniknął jej z oczu. Przyłożyła dłoń do piersi, czując, jak jej serce wali bez opamiętania. Czy te tajemnicze oświadczenia mogą mieć coś wspólnego z niewczesnym przybyciem ojca? Niezależnie od przyczyn, z pewnością chodzi o coś poważnego, skoro Ned Bridges skłonny jest do takich poświęceń.

Wzięła głęboki wdech, wyprostowała się, po czym ruszyła do pokoju hrabiego. Jego "proszę wejść" zabrzmiało zadziwiająco radośnie. Fakt ten sprawił Moirę w jeszcze większe zdenerwowanie.

Devon nie leżał w łóżku, siedział na szeslongu z chorą nogą wygodnie wspartą na poduszkach. Ubrany był w ciemnozielony indyjski szlafrok z atłasu, przy którym jego oczy nabrały odcienia szmaragdu.

- Czy jeszcze nie za wcześnie wstawać z łóżka, milordzie? - zapytała Moira, bardziej z potrzeby powiedzenia czegokolwiek niż z prawdziwej troski. Twarz Devona bowiem miała zdrowy wygląd.

\_ Chyba tak, jeśli wierzyć memu lokajowi. Ale w ciągu ostatnich tygodni tyle czasu spędziłem w łóżku, że przekroczyłem swoją życiową normę•

Po raz pierwszy uśmiechnął się zupełnie szczerze do Moiry, a efekt był porażający.

Dziwne ciepło otuliło ją niczym przytulną kołdra w mroźną zimową noc. Niespokojnie przestąpiła z jednej bosej nogi na drugą. Coś jest nie tak, ten człowiek zaczyna być zbyt miły jak na jej gust.

- Podobno chciał pan ze mną mówić - oświadczyła tym samym chłodnym tonem, jakiego Devon do tej pory używał w stosunku do niej. Jeśli hrabia wyobraża sobie, że na pierwszy przejaw serdeczności z jego strony Moira padnie mu do nóg i zacznie lizać jego buty,

niczym spragniony uczuć szczeniak, to się grubo myli.

Uśmiech Devona nieco zbladł.

- Proszę usiąść. - Wskazał najbliższy fotel. - Musimy porozmawiać.

Moira usiadła, nie spuszczać z Devona badawczego spojrzenia. Skąd ta nagła uprzejmość, skoro jeszcze przed godziną był taki oschły. Nastroje hrabiego są stanowczo zbyt zmienne. Splotła dłonie na podołku, a potem, przypomniawszy sobie, że znów jest boso, ukryła gołe palce pod fałdami czarnej sukni.

- Porozmawiać? O czym, milordzie?

- Niezbyt szczęśliwie rozpoczęliśmy naszą współpracę, szanowna pani - powiedział miękko.

Moira zacisnęła zęby.

- Tak pan sądzi, milordzie? Dziwne, bo przysięgłabym, że pańskie obraźliwe uwagi pod moim adresem wypowiedane były z rozmysłem.

- Dla dobra młodego księcia powinniśmy, moim zdaniem, .popracować nad wykształceniem bardziej przyjacielskich stosunków - mówił dalej, jakby jej nie usłyszał. Teraz chce się zaprzyjaźnić. Chyba oszalał, skoro myśli, że ona uwierzy w te banialuki. Zwyczaj angielskich szlachciców, którzy mówili zupełnie coś innego, niż naprawdę myśleli, coraz bardziej drażnił Moirę. Wprawdzie jej gorąco krwiści cygańscy krewni bywali czasami nieokrzesani i dzicy, ale nigdy dwulicowi.

- Zgadzam się, milordzie - powiedziała oschle. - Dla dobra Charlesa powinniśmy spróbować poprawić nasze stosunki, ale jeśli chodzi o przyjaźń ... to wielce nieprawdopodobne. Niewielu ludzi określam mianem swoich przyjaciół.

Słyszając to, hrabia silnie drgnął, przez co uraził chorą nogę. Nagle zrobił się śmiertelnie blady i przez ten jeden okropny moment Moira pomyślała, że Devon zaraz zemdleje. Poderwała się na równe nogi i pochyliła nad nim.

\_ Na Boga, co pan sobie zrobił?

Hrabia spojrzał na nią zamglonymi z bólu oczyma, w których palił się ten sam niepokojący ogień, jak podczas tamtej ciemnej nocy, kiedy Moira pojawiła się w jego namiętym śnie. Znów poczuła silne pożądanie, zupełnie jakby wzrok Devona pozbawiał ją woli.

Nieświadomie odgarnęła mu z czoła kosmyk włosów.

- Musisz być ostrożniejszy, milordzie - mruknęła. - Bo inaczej rana znów się otworzy.

Widok pochylającej się nad nim hrabiny zaparł Devonowi dech w piersiach. Czuł jej palce gładzące jego czoło, wdychał tajemniczy, niezapomniany zapach, a jego kończyny owładnęła dziwna słabość.

Odruchowo, koniuszkiem palca dotknął maleńkiego pieprzyka w kąciku jej ust i od razu nabrał pewności, że tamtej nocy połączył ich prawdziwy pocałunek. Więc nie był to tylko sen.

Tak, nie mylił się.

Trzymał ją w ramionach, wędrował po jej miękkich ustach swoimi wargami, a potem językiem, ona zaś reago-wała z taką samą namiętnością i ogniem. Prawda była taka, że wykorzystwała jego zamroczenie narkotykiem w najbar-dziej rozpustny sposób.

- Moira? - wymamrotał. Czuł, że mimo bólu jego męskość twardnieje. Nagłe przerażenie w jej oczach po-twierdziło przypuszczenia Devona. Z triumfalnym okrzykiem chwycił ją za drobne ramiona i przyciągnął do siebie, aż poczuł na sobie jej pełne piersi, a usta Moiry znalazły się zaledwie o kilka centymetrów od jego warg.

- Milordzie, co robisz? - wysapała, z całej siły odpychając go od siebie. - Pomyśl o swojej ranie.

- Bez obawy, słodka Moiro - zachichotał Devon. - Wygląda na to, że znowu śnię, a we śnie, jak oboje wiemy, wszystko jest możliwe.

- Nic mi o tym nie wiadomo - rzuciła i ostatkiem sił wydarła się z jego objęć. Serce waliło jej tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Wiedział! Jakimś sposobem ten potwór wiedział!

Z trudem wciągnęła powietrze.

- Jedno wiem na pewno, sir - oświadczyła z całą godnością, jaką mogła w tych okolicznościach okazać. - Ta sytuacja jest nader nieprzyzwoita, a z pana żaden dżentelmen.

- A ty, szanowna pani, nie jesteś damą. Czyż to nie stwarza interesujących możliwości na przyszłość? - W śmiechu hrabiego zabrzmiała tak: nieprzyjemna sugestia, że Moira aż ścierpła. - Jednak co do jednej kwestii miałaś rację, cudowna kusicielko - dodał miękko. - Nigdy nie było nam przeznaczone zostać tylko przyjaciółmi.

## Rozdział siódmy

Moira uciekła z sypialni hrabiego. Jego ostatnie, śmiałe słowa nadal dzwoniły jej w uszach. Nigdy więcej, przysięgła sobie, nie będzie na tyle głupia, aby znaleźć się sam na sam z tym rozpustnikiem. Plotki krążące po Londynie nie doceniały go, w istocie Devon był jeszcze bardziej rozwiązły.

Czemu więc dotyk hrabiego, w przeciwieństwie do uścisku wicehrabiego Quentina, nie wywołał w niej obrzydzenia? Jak: to się stało, że Moira, która zawsze szczyliła się siłą swej woli, okazała się tak słaba, aby ulec pożądaniu? On zaś nawet nie kryje się z tym, że kobiety zostały stworzone wyłącznie dla jego przyjemności.

Moira przykazała Elizabeth, aby towarzyszyła jej za każdym razem, kiedy hrabia wezwie ją do siebie. Wy tłumaczyła to tym, że teraz, kiedy Devon jest już na etapie rekonwalescencji, nie powinna przebywać z nim w jednym pokoju bez przyzwoitki.

## NAD/NE MILLER

Elizabeth zgodziła się, choć Moira niczego innego nie oczekiwała. Ale dziewczyna dodała pośpiesznie:

- Przypuszczam jednak, że taki honorowy człowiek zawsze będzie postępował jak prawdziwy dżentelmen.

- Ja też - z trudem wydusiła Moira. - Ale mimo wszystko kobieta z moją pozycją musi dbać o reputację.

W rzeczywistości, była przekonana, ten "honorowy" hrabia potrafi się powstrzymać przed nieprzyzwoitym zachowaniem w takim samym stopniu, jak Cygan powstrzyma się przed zwędzeniem nie pilnowanego kurczaka. Skoro tylko Devon St. Gwyre nabrał przekonania co do tego, że ich namiętny pocałunek nie był snem, zaczął ją traktować jak kurę, która tylko czeka, aby ją ktoś oskubał.

Jeszcze długo po tym jak zegar z połączanego brązu, stojący na kominku w jej sypialni, wybił północ, Moira leżała ze wzrokiem wbitym w elegancki baldachim z chińskiego jedwabiu. Rozważała dziwne zakręty swojego życia w ostatnich latach.

Nie tak dawno temu, jedynym zmartwieniem Moiry było to, czy położy się spać z pełnym brzuchem. Tak było, zanim została księżną Sheffield i zanim Devon St. Gwyre stał się obiektem jej marzeń. Od pewnego czasu jednak zastanawiała się, czy będzie jej kiedyś dane spokojnie przespać całą noc.

Gdyby nie Charles, zrezygnowałaby z tytułu, bogactwa oraz związanych z tym przywilejów tak szybko, jak szybko ściąga uwierające pantofle. Buty bowiem zawsze cisnęły Moirę w nogi, a pozycja i tytuł księżnej Sheffield ograniczały jej wolność. Dopóki więc nie znajdzie sposobu, aby wyzbyć się owej tęsknoty za Devonem St. Gwyre, dopóty jej serce będzie cierpiało śmiertelne katusze.

Jak się jednak okazało, cudze sprawy pochłonęły ją do tego stopnia, że w następnym tygodniu nie miała czasu na to, aby ubolewać nad własnym zranionym sercem.

Najpierw kucharka zwróciła jej uwagę na pewien problem.

- Panna Elizabeth tak się rwie do markiza, jakby postradała rozum - powiedziała, kiedy Moira zaszła do kuchni, aby ustalić menu. - Lepiej niech pani coś z tym zrobi, wasza wysokość, zanim biedactwo złamie sobie serce.

W niecałą godzinę później John Footman powiedział to samo, choć użył nieco bardziej zawołowanych określeń.

- Porozmawiam z nią - obiecała Moira. Miała jednak nadzieję, że to tylko plotki. Elizabeth jest przecież zbyt spokojna i zrównoważona, aby dała się ponieść namiętności. Czy jednak na pewno?

Kiedy więc znalazła się sama z swą towarzyszką, skierowała rozmowę na osobę markiza. Bez wątplenia był to temat bliski sercu Elizabeth.

- To najwspanialszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek spotkałam - oświadczyła panna Kincaid i przedstawiła listę niezliczonych zalet Stamdena. - Wiem jednak, że z tego nic nie wyjdzie - dodała żałośnie. - Markiz nie zwiąże się z córką zwykłego wiejskiego pastora. Ale on bardzo potrzebuje przyjaciela. Zwłaszcza że tyle wycierpiał. Zamierzam być mu przyjacielem tak długo, jak będzie tego chciał.

Logice zawartej w słowach Elizabeth przeczyło jej zachowanie w następnych dniach. W wieku dwudziestu pięciu lat panna Kincaid doświadczała po raz pierwszy katuszy miłości. Ucierpiała na tym także lekcje z chłopcami. Zamiast odmieniać czasowniki i studiować historię Grecji, rozbijali się po pokoju, a rozmarzona Elizabeth obserwowała przez okno markiza Stamdena.

Elizabeth bez przerwy o nim mówiła, wynosząc pod niebiosa jego zalety w obecności wszystkich, Moiry, Johna Footmana, kucharza i gospodyni. Wychwalała go nawet przed Devonem, kiedy towarzyszyła Moirze podczas wizyty u hrabiego. Moira prosiła wtedy hrabiego o zgodę na zakup kucyka dla Alfiego, aby chłopcy mogli razem wyprawiać się na przejażdżki.

Elizabeth bezwstydnie uganiała się za markizem, kiedy ten spacerował rano po ogrodzie, paplała jak papuga, kiedy we trójkę z Moirą pili popołudniową herbatę, rzucając mu pełne podziwu spojrzenia.

Dziwna rzecz, ale markiz robił wrażenie, jakby wcale mu to nie przeszkadzało. Zaślepienie Elizabeth jego osobą było jednak tak oczywiste i niepohamowane, że wkrótce stało się głównym tematem plotek wśród służby.

Moira, doszła do wniosku, że powinna znaleźć jakiś sposób, aby uchronić naiwną towarzyszkę przed katastrofą. W przeciwnym razie Elizabeth będzie cierpieć, lokując uczucia w mężczyźnie, który jest nie tylko okaleczonym weteranem wojennym, ale również członkiem londyńskiej socjety. Moira doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Co jednak mogła zrobić? Właściwie nie czuła się uprawniona do tego, aby pouczać inną kobietę, jak należy postępować w życiu, zwłaszcza że była pracodawczynią Elizabeth, w dodatku młodszą od dziewczyny o trzy lata.

W końcu postanowiła zostawić sprawy w rękach opatrności. Mogła tylko mieć nadzieję, że dla dobra markiza i Elizabeth, hrabia opuści wkrótce Białe Dęby razem ze Stamdensem.

Devon, był całkowicie przekonany, że spośród wszystkich ludzi na świecie to on ma najmniejsze prawo, aby komukolwiek radzić, jak należy postępować w sprawach sercowych. Ale ktoś musiał to zrobić i najwyraźniej tym kimś miał być hrabia. Od wczesnego dzieciństwa uważał Elizabeth Kincaid za swoją przyjaciółkę. Teraz robiła z siebie idiotkę z powodu Stamdena i wszyscy, z wyjątkiem obiektu jej uczuć, doskonale się tym bawili, jeśli wierzyć opowieściom Neda o plotkach służby.

Devon nie mógł poruszyć tego tematu z Elizabeth, pozostawało więc porozmawiać ze Stamdensem. Pewnego wieczoru, kiedy swoim zwyczajem, mieli rozegrać partyjkę szachów, Devon postanowił wziąć byka za rogi.

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedział, czując się bardzo niezręcznie w roli doradcy.

- Oczywiście. Wiesz przecież, że zawsze jestem do twoich usług - odparł Stammen, ustawiając szachownicę na niewielkim obrotowym stoliku obok szeszlongu, na którym spoczywał Devon. W domu wszyscy wiedzieli, że o tej porze panowie grywają w szachy, istniało więc małe prawdopodobieństwo, aby ktoś im przeszkodził.

- Sprawa jest delikatna. Zupełnie nie wiem, od czego zacząć - powiedział z wahaniem hrabia. Stammen nie należał do ludzi, którzy obnoszą się ze swoimi problemami. Devon nie miał więc najmniejszego pojęcia, jak przyjaciel zareaguje na wtykanie nosa w jego sprawy.

Wyraziście szare oczy Stammena rozszerzyły się ze zdziwienia.

- Widzę, że to jakaś drażliwa sprawa. Nigdy przedtem nie miałeś oporów, aby wyrzucić z siebie to, co ci leży na sercu.

- To prawda, jak mawiał duński książę: „W tym właśnie cały ambaras” - powiedział Devon, szukając w myślach taktownego sposobu na wyrażenie tego, co musi powie-dzieć. - Ten konkretny problem dotyczy jednak ciebie, a nie mnie.

- Mnie? - Stammen był zaskoczony. - Co takiego zrobiłem?

- No cóż, kiedy księżna i Elizabeth odwiedziły mnie dziś rano, jej wysokość wspomniała, że dużo czasu spędzasz w towarzystwie panny Kincaid.

- Chyba tak. - Figurka z kości słoniowej przedstawiająca króla, wyslizgnęła się z ręki Stammena i upadła na szachownicę. Markiz podniósł ją i spojrzał na przyjaciela z wyraźnym osłupieniem. - Dobry Boże, czyżby właśnie moja przyjaźń z panną Kincaid była ową "delikatną sprawą", która wprawia cię w zakłopotanie? - W zadumie zmarszczył czoło.

- Jak przypuszczam, powinienem prze-prosić księżną za to, że odciągam jej towarzyszkę od obowiązków. Zupełnie zapomniałem, że panna Kincaid tu pracuje.

- Księżna nie skarżyła się, po prostu stwierdziła fakt

- pospiesznie oznajmił Devon.

- Tak. Panna Kincaid mówiła, iż księżna jest nie tylko prawdziwą przyjaciółką, ale i dobrą chlebodawczynią. Ja sam, im dłużej ją znam, tym bardziej podziwiam tę kobietę.

- Może ty i Ned założycie Towarzystwo Wielbicieli Księżnej Sheffield? - rzucił oschle Devon, ustawiając czarnego króla z onyxu na odpowiednim polu. - Od kiedy Ned przekonał się, że jest jego dobrodziejką, ani na chwilę nie przestaje o niej mówić.

- To zrozumiałe, skoro zawdzięcza jej życie. - Stammen przesunął białą królową. - Wracając jednak do zasadniczego

tematu, cieszę się, że go poruszyłeś. Zbyt dużo czasu zajmowałem pannie Kincaid. Po prostu od bardzo dawna nie miałem przyjemności rozmawiać z młodą kobietą i do tego tak czarującą, tak inteligentną, tak dobrą, tak ...

- Niewinną. - Devon dokończył za przyjaciela. Uporczywie unikał jego wzroku. -

Wszystkie te przymiotniki doskonale ją określają. Na dodatek większość życia spędziła na wiejskiej plebanii. Wątpię więc, aby kiedykolwiek spotkała tak wyrafinowanego światowca jak ty.

- Chyba masz rację. - Stammen uważnie przyjrzał się Devonowi. - Odnoszę dziwne wrażenie, że usiłujesz mi przekazać coś, co całkowicie umyka mej uwagi. Czy się nie mylę? Jeśli chcesz mi coś powiedzieć, nie krępuj się, przyjacielu.

- W porządku. - Devon odchrząknął. - Elizabeth, choć skończyła już lat dwadzieścia pięć, ma znacznie mniejsze doświadczenie w stosunkach z ludźmi aniżeli przeciętna siedemnastolatka, która dopiero tej wiosny wejdzie do towarzystwa. Dlatego jest bardzo podatna na ciosy i łatwo ją zranić do głębi.

- Jeśli sugerujesz, że mogę skazać tę damę przez sam fakt, że z nią rozmawiam, to czuję się osobiście dotknięty. Może i wyglądam jak potwór, ale nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek tak postępował.

- Niech to diabli, Peterze. Jak możesz sądzić, że mógłbym cię o to podejrzewać? - Devon nachmurzył się. - Czuję się jak ostatni głupiec, ale nie ma innego sposobu, aby to powiedzieć. Elizabeth najwyraźniej jest pod przemożnym wrażeniem twojej osoby. Jeśli

masz wobec niej jakiegokolwiek inne zamiary, prócz tych najbardziej szlachetnych, to mam nadzieję, że postąpisz jak na dżentelmena przystało i zakończysz wasze stosunki, zanim jej uczucia względem ciebie jeszcze bardziej Słę pogłębią.

- Jej uczucia? - wybełkotał Stammen. - Żarty się ciebie trzymają? Jeżeli tak jest, to muszę powiedzieć, iż są wybitnie w złym guście.

- Mówię całkowicie poważnie, Peterze.

- W takim razie, jak najszybciej powinienes posłać po binokle. Albo może uważasz mnie za głupca, który nie wie, że każda kobieta ucieknie ode mnie z przerażeniem, jeśli tylko spróbuję jej dotknąć?

Na widok niewymownego bólu w ponurych oczach przyjaciela Devon skulił się w sobie.

- Elizabeth to nie "każda kobieta" - powiedział z silnym przekonaniem. - Jest delikatnym, kochającym stworzeniem, a jej gorące serce nie pozwala jej ujrzeć tego, < co inna, bardziej powierzchowna kobieta, mogłaby uznać za szkaradne.

Stammen z całej siły zacisnął dłoń na oparciu fotela.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał ochryplym szeptem.

- Elizabeth Kincaid nie widzi cię takim, jakim ty siebie widzisz. Idealizuje cię. Czy mam przytoczyć jej słowa, kiedy opisywała cię dziś rano księżnej i mnie?

Krew odpłynęła z twarzy Stammena i okropna blizna, wykrzywająca jego lewy policzek, stała się jeszcze bardziej wyrazista niż zwykle.

- Proszę.

Devon zebrał myśli, chciał bowiem dokładnie powtórzyć słowa Elizabeth.

- Powiedziała tak: "Jest jak zachwycający średniowieczny zamek. Tata zabrał mnie kiedyś na pieszą wycieczkę po Leicestershire. Zamek, który tam ujrzałam, był tak piękny i wspaniały, że nie dostrzegało się nawet jego sypiących się liasz i przerdzewiających krat". Devon obdarzył Stammena wymownym spojrzeniem.

- Jak widzisz, przyjacielu, niezwykła z niej romantyczka, a ty jesteś jej rycerzem na białym rumaku. Co więcej, nigdy przedtem nie oddała serca żadnemu mężczyźnie. Wolałbym więc nie zobaczyć, jak teraz oddaje je komuś, kto tego nie chce.

Na twarzy Stammena pojawił się wyraz zaskoczema.

- Mój Boże, gdybym pomyślał... gdybym choć podejrzewał... - Z trudem przełknął ślinę. - Jestem ci ogromnie wdzięczny, że mnie oświeciłeś, choć trudno mi w to wszystko uwierzyć. Myślałem, że ona darzy mnie tym samym współczuciem, jakie widziałem w jej oczach, kiedy opatrywała ranne zwierzę.

- Przyjacielu, nie, doceniasz samego siebie. Błysk w oku Elizabeth, kiedy dziś rano mówiła o tobie, nie był wywołany litością. Masz wiele do zaoferowania każdej kobiecie, która potrafi zajrzeć w głąb twojej duszy.

- Jak przypuszczam, chodzi o mój tytuł i majątek.

- Źle przypuszczasz. Wątpię, aby dobra materialne coś dla niej znaczyły. Podziwia twoją odwagę i rozum, a także --: jeśli się nie mylę - pragnie zdobyć twoje serce. Jeżeli zaś nie możesz jej go dać albo uważasz, że z powodu swego znacznie niższego statusu społecznego ona nie może zostać twoją żoną, wtenczas pożegnaj się z nią i pozwól, aby znalazła pocieszenie u innego mężczyzny. Jeśli bowiem istnieje taka kobieta, której przeznaczeniem jest być żoną i matką, to jest nią właśnie Elizabeth Kincaid.

Markiz wstał, podszedł do okna i wbił tępy wzrok w dziedziniec. Devon, widząc teraz tylko prawy profil przyjaciela, mógł go sobie wyobrazić jako w każdym calu przystojnego mężczyznę, którego zadziorność uczyniła go kiedyś najbardziej pożądanym przez kobiety kawalerem w Londynie. Po chwili Peter obrócił się i radosna iluzja przysła.

- Obiecałem zostać z tobą, aż zupełnie wyzdrowiejesz - powiedział ponuro Stammen. - Ale muszę trochę czasu

spędzić w moim majątku w Northumberland.

- Jesteś pewny, że właśnie tego chcesz? - zapytał Devon. Miał uczucie, jakby wielki ciężar przygwoździł mu serce.

Na twarzy Stamdena pojawił się bolesny, wykrzywiony uśmiech.

- W tej chwili jestem pewny tylko jednej rzeczy. Elizabeth Kincaid to najśodsza i najczulsza kobieta, jaką kiedykolwiek spotkałem. Zasługuje na szczęście - i dopóki nie upewnię się, co tak naprawdę mnie do niej przyciąga, miłość czy też po prostu godna ubolewania samotność, nie ośmielę się wykorzystać jej szczodrej natury. Przeszedł przez pokój i otworzył drzwi z siłą, która lepiej niż słowa odzwierciedlała zamęt w jego duszy. Jak ślepiec . odepchnął stojącą w progu księżnę i zniknął w ciemnym korytarzu.

Tego samego wieczoru, w połowie kolacji, Moira doszła do wniosku, że musi zrobić wszystko, aby uratować Elizabeth przed dalszymi konsekwencjami błędnych spojrzeń i nagłych westchnień. Rycerskość markiza nie pozwalała mu jej odprawić, lecz ktoś musi ustawić to biedactwo na właściwym miejscu, zanim dziewczyna zrobi z siebie kompletną idiotkę. Nie wiedziała jednak, jak się zabrać do tak niewdzięcznego zadania.

Moira z niechęcią myślała o rozmowie z hrabią Langleyem, jednak tylko on był bliskim przyjacielem zarówno Elizabeth, jak i markiza. Co więcej, pewne uwagi, które rzucił rano, świadczyły, że jest świadom sytuacji.

Moira głęboko westchnęła. Jeśli istnieje ktoś, kto potrafi poradzić, jak należy wyleczyć młodą kobietę z głupich, romantycznych fantazji, to był nim właśnie Devon. Według londyńskich plotkarzy uganiało się za nim wystarczająco dużo skłonnych do amorów niewiast, aby uczynić go niezaprzeczalnym ekspertem w tej dziedzinie.

Dotarła do przymkniętych drzwi sypialni hrabiego i właśnie zamierzała zapukać, kiedy doszedł ją jego głos:

- Jej wysokość wspomniała, że dużo czasu spędzasz w towarzystwie panny Kincaid.

Moira wstrzymała oddech. Prawdziwa dama odeszłaby na paluszkach i nie naruszyła niczyjej prywatności, jednak Moira damą nie była. Zrzuciła zniechęcone pantofle, które włożyła tylko dlatego, że wybierała się do pokoju hrabiego, po czym bez żenady zaczęła podsłuchiwać jego rozmowę z markizem.

Jeszcze długo po tym, jak ucichły kroki Petera, stała na progu mierząc się wzrokiem z Devonem Sto Gwyre. Jego pełne współczucia słowa poruszyły ją do głębi. Pod powiekami Moira czuła łzy wzruszenia.

- Jak to jest milordzie, że z każdym razem, kiedy wydaje mi się, iż dobrze już cię poznałam, zawsze mnie czymś zaskoczysz i w rezultacie okazuje się, że wcale cię nie znam? - zapytała miękko.

- To dziwne. Zanim spotkałem się ze Stamdensem, w identyczny sposób rozmyślałem o tobie, pani - powiedział. - Jak rozumiem, słyszałaś naszą rozmowę.

Kiwnęła głową.

- Usłyszałam wystarczająco dużo, aby pojąć, że już zająłeś się tym problemem, o którym ja także chciałabym z tobą porozmawiać.

- Sprawa się jednak nie zakończyła tak, jakbym tego oczekiwał - stwierdził Devon zmęczonym głosem. --Miałem nadzieję na inne rozwiązanie. Moim zdaniem, Elizabeth jest idealną kobietą dla mojego przyjaciela. Nie mogę pojąć, czemu on tego nie widzi., Moira przetarła chusteczką wilgotne oczy.

- Zaskakuje mnie fakt, że apróbujesz taki związek, milordzie. Różnica w ich statusie społecznym jest ogromna.

- Wątpię, aby to choć trochę martwiło Stamdena. Zawsze miał nader demokratyczne poglądy. - Devon z uwagą spojrział na Moirę. - Czy chce pani powiedzieć, że jest przeciwna temu związkowi?

- Oczywiście, że nie. Jednak dopóki markiz nie upewni się co do swoich uczuć, nasza opinia nie ma żadnego znaczenia. Możemy mieć tylko nadzieję, że pójdzie po rozum do głowy, zanim serca obojga zostaną złamane.

Tytułem próby uśmiechnęła się do hrabiego.



- W spaniałe sobie poradziłeś, milordzie. Okazał się pan dobrym przyjacielem zarówno Elizabeth, jak i Stamdenu.

Devon odpowiedział uśmiechem.

- A oni oboje są wielkimi pani wielbicielami. Czemu więc my, pani zdaniem, bez przerwy skaczemy sobie do oczu?

Moira obserwowała, jak Devon ujął czarną królową i szczerpymi palcami kołysał figurkę.

- Nie wiem, milordzie - wydusiła ochryplym szeptem.

Leniwie, niemal nieświadomie, Dev'on głaskał onyksową królową, a każdy ruch wywoływał w Moirze wspomnienia dotyku tych samych palców, które pieściły jej policzki i dotykały piersi.

Uniósł głowę i obrzucił spojrzeniem twarz księżnej.

- Czy przyszło ci do głowy, wasza wysokość, że Charles ma dopiero siedem lat, a my w ciągu następných czterestu możemy się nawzajem doprowadzić do obłędu, jeśli nie zdołamy dojść do porozumienia?

Moira gwałtownie wypuściła powietrze z płuc. - Tak, milordzie.

Delikatnie odstawił królową na szachownicę.

- Może na dobry początek zaczęlibyśmy zwracać się do siebie mniej oficjalnie? "Moira" i "Devon" brzmi znacznie bardziej po przyjacielsku niż "wasza wysokość" czy "milordzie". Nieprawdaż?

- Tak mi się wydaje - odpowiedziała powoli, a serce gwałtownie waliło jej w piersiach.

U słyszawszy wahanie w głosie Moiry, Devon uznał, że czas zagrać kartą, którą Ned sam włożył mu do ręki.

- Stan mojej nogi znacznie się poprawił. Chciałbym jutro towarzyszyć państwu przy kolacji, jeśli nie ma pani nic przeciw temu. Da mi to okazję poznania twego ojca, pani. Ogromnie jestem go ciekaw, zwłaszcza że Charles za nim przepada

- Mojego ojca? Charles powiedział panu, że on tu jest? - zapytała drżącym głosem. - Chce się pan z nim spotkać?

- Oczywiście. Wręcz nalegam. Mój wychowanek nazywa go przecież dziadkiem. - Wziął do ręki onyksowego gońca, przez chwilę trzymał figurkę w powietrzu, a następnie przesunął po przekątnej na sąsiednie pole. - Nie mogę się doczekać, kiedy usłyszę jakieś mrozące krew w żyłach opowieści o piratach i przemytnikach, którymi pani ojciec zabawia Charlesa. Moira spojrzała na niego niepewnie, a przerażenie zmieniło kolor jej pięknych oczu.

Przypominała teraz młodego francuskiego żołnierza, którego Devon złapał w pułapkę w jaskini niedaleko Salamanki. Ranny i nie uzbrojony młodzik patrzył na niego oczyma, które mówiły, że ich właściciel pogodził się już z nieuniknioną śmiercią. Devon schował wtedy szablę do pochwy i odszedł. Nie potrafił myśleć o tym przerażonym chłopcu jak o swoim wrogu.

Hrabia poczuł, że ma już dość tej zabawy w kotka i myszkę, którą prowadzi z piękną Moirą. To, co zaczęło się jako niewinna potyczka pomiędzy równymi sobie przeciwnikami, nagle stało się śmiertelnie poważne. Jak do tego doszło? Co w jego wypowiedzi wzbudziło w niej aż tak wielkie przerażenie?

Patrzyła na niego z niedowierzaniem. Żrenice jej oczu wyraźnie się rozszerzyły.

- Zanim przedyskutujemy kwestię naszej ewentualnej przyjaźni, muszę wiedzieć ... - Moira wzięła głęboki wdech, który prowokacyjnie zakołysał obfitym biustem. - Czy pozwoli mi pan zatrzymać Charlesa?

Ach, więc o to chodzi. Lwica broni swego małego.

Devon uśmiechnął się.

- Wątpię, abym zdołał zaprzyjaźnić się z panią lub Charlesem, gdybym spróbował was rozdzielić. Gołym okiem widać, jak bardzo jesteście sobie bliscy.

Jej biust ponownie się uniósł, a potem opadł. Tym razem westchnienie spowodowane było wielką ulgą. Devon oderwał wzrok od fascynującego widoku dostatecznie wcześnie, aby zaobserwować reakcję księżnej na jego kolejne słowa:

- Nie mógłbym też marzyć o lepszej ochronie dla chłopca niż tych czterech, najbardziej przebiegłych kornwalijskich "dżentelmenów"? A dokładnie mówiąc, pięciu, gdyż mój lokaj był kiedyś w załodze "Lolity". Biedaczysko, stał się tak bardzo wrażliwy, odkąd się zorientował, że to właśnie ty uratowałaś go przed strykiem.
- Ach, więc o to mu chodziło. - Jej oczy, przed chwilą oszalałe z przerażenia, teraz błysnęły złością. - Czego jeszcze dowiedział się pan o mojej przeszłości, wtykając nos w nie swoje sprawy, milordzie?
- Niewiele, Moiro. Bardzo niewiele. Zamierzam jednak poznać wszystkie twoje sekrety, zanim stąd wyjadę. Uważam to za swój obowiązek jako opiekuna Charlesa.
- Mógłby pan skorzystać z usług policji - powiedziała zmienionym od gniewu głosem. Devon zaśmiał się.
- Niech ci się nie wydaje, pani, że nie rozważyłem takiej możliwości. Jednak, moim zdaniem, byłaby to strata pieniędzy. Wątpię, aby nawet ci utalentowani wężyciele zdołali dokopać się do wszystkich tajemnic, wywołującej skandale księżnej Sheffield, takim bowiem mianem określam cię plotkarze.
- Pewnie ci sami, którzy rozsiewają też wieści, iż hrabia Langley to największy rozpustnik w całym Londynie. - Westchnęła. - Wspaniałą parę łajdaków wyznaczył książę na wychowawców syna.
- Faktycznie. Może wypijemy za przyjaźń zbereźników, piękna pani? - Devon rzucił okiem w kierunku tacy z karafką brandy i szklankami. - Nie mogę zaoferować napitku odpowiedniego dla damy, ratafii czy orszady, ale jak sobie wyobrażam, córka przemysłowika woli raczej brandy. - Jasna sprawa - przyznała, rozlewając trunek do dwóch szklanek. Jedną podała Devonowi.
- Za przyjaźń łajdaków - wznosił toast i dodał: - I za ujawnione sekrety. W jej niezwykłych oczach o kształcie migdałów zamigotały tajemnicze, przebiegłe błyski.
- Za zachowane sekrety - powiedziała i pospiesznie wypita pierwszy łyk palącego napoju.

## Rozdział ósmy

Muszę cię ostrzec, milordzie. W Białych Dębach nie przestrzegamy zbyt ściśle etykiety przy kolacji - powiedziała Moira.

Zbyt późno odkrył, że źle zrobił, nie biorąc jej słów na serio. Mógł się lepiej przygotować na jedno z tych najbardziej niezwykłych doświadczeń w swoim życiu.

Przyczyną zaskoczenia nie była wszakże wczesna pora posiłku. Devon, przebywając w Langley Hall, dostosowywał się do zwyczajów panujących na wsi, a podczas kampanii na Półwyspie nauczył się jadać o każdej porze, jeśli tylko znalazł coś nadającego się do spożycia.

Powodem zdziwienia hrabiego nie był również widok przytulnego, oświetlonego kandelabrami pokoju. Moira już wcześniej wyjaśniła mu, że podczas rodzinnych kolacji korzystają z tego mniejszego pomieszczenia, zamiast z sali bankietowej.

Po raz pierwszy Devon poczuł się zaskoczony, kiedy przekroczywszy próg wraz z Moirą, wspartą na jego ramieniu, zobaczył, w jak niecodzienny sposób posadzono biesiadników. Zamiast usadowić ich wokół ponad trzymetrowego mahoniowego stołu, jak to się zwykle czyni, dano im pełną swobodę wyboru miejsca. Kolorowa, jaspisowa zastawa Wedgwood stała zaś na jednym końcu stołu. Najwyraźniej podczas posiłku każdy tu rozmawia z każdym, a nie wyłącznie z najbliższym sąsiadem.

Rzeczywiście, wkrótce się okazało, że tak też jest.

Ledwo goście zajęli miejsca, a już wszyscy zaczęli rozmawiać ze wszystkimi, nie wyłączając tych, którzy siedzieli po drugiej stronie wielkiego stołu. Było to pogwałcenie etykiety, niedopuszczalne w każdym innym towarzystwie, w jakim przyszło Devonowi kiedykolwiek jadać.

Drugą niespodzianką stanowiła zaskakująca kolekcja biesiadników. Najgłośniejszym z nich był ojciec Moiry, wyjątkowo przystojny, starzejący się Irlandczyk, głównie zajęty własną

osobą, nie pozbawiony swoistego wulgarnego czaru, jak też daru opowiadania. Charles nieustannie prosił go o kolejną opowieść. Devon zakładał, że znienawidzi tego łajdaka, który, choć pośrednio, stał się przyczyną śmierci Blaine'a. Spędziwszy jednak pół godziny w jego towarzystwie, doszedł do wniosku, że Reardon jest zbyt zabawny, aby wzbudzić coś więcej prócz łagodnej niechęci.

Przy stole znajdowali się także obaj chłopcy. Choć Devon wysiłał pamięć, nie mógł sobie przypomnieć, aby zdarzyło mu się kiedys jadać w mieszanym towarzystwie dzieci i dorosłych. W jego rodzinie nigdy nie miało to miejsca. Obaj z Blaine'em zasiedli przy jednym stole z rodzicami dopiero po roku nauki w Eton. Podobnie rzecz się miała w domach wszystkich jego przyjaciół.

Ten wieczór dostarczył Devonowi dziwnych wrażeń.

Nie był całkowicie pewien, czy aprobejuje tutejsze zwyczaje.

Miał zastrzeżenia co do tego, że siedmiolatek - nawet jeśli jest nim sam książę - zajmuje poczesne miejsce gospodarza u szczytu stołu. A właśnie tam posadzono Charlesa. Pod pupę podłożono mu grubą poduszkę, a jego nogi zwisały ładnych kilka centymetrów nad podłogą. Devon siedział po jednej stronie wychowanka, Moira zaś po drugiej, a nikomu z gości bynajmniej to nie przeszkadzało.

Nikt też, oprócz Devona, nie widział również niczego niestosownego w obecności dziesięcioletniego ulicznika, który usadowił się po prawej stronie hrabiego. Moira przedstawiła chudego piegusa po prostu jako "Alfiego Duggana, towarzysza Charlesa".

- Jestem dumny, że mogłem pana poznać - oświadczył Alfie, a szeroki uśmiech, ujawniający liczne braki w jego uzębieniu, rozjaśnił buzię chłopca. Potem, zniżając głos do szeptu, dodał: - Jak na mój gust, dzielny z pana człowiek.

- Nie wstydzę się mojej wojennej przeszłości - odparł sztywno Devon, niemile zaskoczony tym dziwnym stwierdzeniem chłopca. - Ale są dzielniejsi ode mnie. Spoczywają teraz w anonimowych grobach na Półwyspie.

- Nic nie wiem na temat waszej wojennej przeszłości, panie - powiedział Alfie. - Ale mężczyzna, z którego powodu ona - kciukiem wskazał na Moirę - przez blisko dwa tygodnie ogryza paznokcie, musi być albo niezwykle dzielny, albo szalenie głupi, a wy na głupca nie wyglądacie. - Zmarszczył czoło. - A może nikt wam jeszcze nie powiedział, że księżna wpada w szał, kiedy ktoś każe jej na siebie czekać?

- Jeśli mam być szczery, to nie wiedziałem o tym - odparł Devon, z trudem powstrzymując się od śmiechu.

Chłopiec był całkowicie przekonany o swej racji. - Zapamiętam to sobie na przyszłość.

Uniósłszy wzrok, Devon stwierdził, że Moira bacznie mu się przygląda, chcąc prawdopodobnie ocenić jego reakcję na "niezbyt formalną" atmosferę kolacji. Uśmiechnął się ciepło. Jeśli miała nadzieję wyprowadzić go z równowagi swym szaleńczym sposobem prowadzenia gospodarstwa, to czeka ją rozczarowanie. Zastanawiał się jednak, czemu Stammen nic mu nie powiedział na temat panujących tu zwyczajów. Najwidoczniej nie widział takiej potrzeby.

W końcu dwóch służących wniosło tace z jedzeniem - a przynajmniej Devon zakładał, iż są to lokaje, nosili bowiem liberie. Bardziej przypominali jednak parę podrzynaczy gardeł, do których pasują raczej słowa: "Pieniądze albo życie!" aniżeli: "Może jeszcze trochę baraniny, milor-

. dzie?" Kiedy Devon nakładał na swój talerz solidną porcję, przyszło mu do głowy, że jeśli ci dwaj stanowią ochronę księcia, to być może sposób rozwiązania problemu markiza okaże się bardziej niebezpieczny, aniżeli można by to sobie wyobrazić.

Książę jednak czuł się zupełnie swobodnie w obecności tych rudowłosych wielkoludów.

- Czyż nie wyglądacie wspaniale w uniformach? - zapytał, mrugając okiem do pochylającego się nad nim lokaja, podczas gdy księżna nakładała mu na talerz jedzenie.

- Wyglądam raczej jak niebieska sójka w okresie godowym i doskonale o tym wiesz, wasza wysokość. Proszę więc nie żartować sobie ze mnie - odparła gderliwie wielkolud, a

książę wybuchnął śmiechem.

Wielkolud pochylił się do ucha księcia.

- A skoro już o ptaszkach mowa, to jedzenia na waszym talerzu wystarczy akurat dla jednego z nich. Oczekuję więc, że gdy przyjdę posprzątać, talerz będzie czystutki jak pupka niemowlęcia.

- Postaram się Michaelu. Naprawdę - obiecał Charles.

- Ale nie będzie to łatwe. Nigdy nie bywam tak głodny jak Alfie.

- Też coś - odparł Michael, po czym poszedł obsłużyć Elizabeth Kincaid.

Devon potrząsnął głową. Z każdą minutą to dziwne gospodarstwo księżnej coraz bardziej przypominało dom wariatów. Lokaj przemytnik, który wydaje rozkazy księciu! Devon musi koniecznie ustanowić reguły dotyczące stosownego zachowania wobec przyszłego para królestwa. Zrobi to ... ale nie dzisiaj. Chłopiec sprawia wrażenie znacznie szczęśliwszego niż podczas ich pierwszego spotkania. Może więc lepiej poczekać do jutra, jeśli zdoła porozmawiać z Moirą sam na sam.

Tymczasem Devon zabrał się do jedzenia. Mimo sporych niedociągnięć w innych dziedzinach, posiłki u Moiry nadzwyczaj hrabiemu odpowiadały. Lata spędzone w wojsku zmieniły jego gust. Zawiesiste sosy i ciężkie desery z uporem serwowane przez londyńskie panie domu przestały mu smakować. Podczas swojego pobytu w Londynie spożył taką ilość pasztetów z homara i truflii w szampanie, że uważałby się za szczęśliwca, gdyby już nigdy w życiu nie musiał oglądać tych smakotyków.

Moira podawała mało wyrafinowane potrawy, bardziej odpowiednie dla przydrożnego zajazdu aniżeli książęcej kuchni: pieczone nogi baranie, gotowane warzywa, kartofle polane masłem i świeże owoce. To samo jadał codziennie w swojej sypialni. Najwyraźniej gust Moiry dotyczący potraw jest tak samo prosty, jak w przypadku jej strojów.

Devon uśmiechnął się do siebie, wspominając czasy, kiedy leżąc w namiocie na Półwyspie, wyobrażał ją sobie, całą w klejnotach, królującą londyńskiej śmietance. Jeśli wierzyć plotkom, Moira nigdy nie przyjęła ani jednego spośród setek zaproszeń, jakie otrzymała, od kiedy została księżną Sheffield.

Nigdy też nie widziano jej w eleganckich sklepach na Bond Street. Była natomiast częstą klientką księgarni Hatcharda. W efekcie zyskała sławę sawantki i niebezpiecznej pustelnicy, która jakimś magicznym czarem opętała starego księcia. Devon zastanawiał się, czy Moira choć trochę przejmowała się tym, jak o niej szepczą w eleganckich salonach Londynu - i czy kiedykolwiek pozna całą prawdę o tej intrygującej kobiecie.

- Milordzie, mogę o coś zapytać? - Proszący głos Elizabeth wyrwał Devona z zamyślenia. Uśmiechnął się do siedzącej po drugiej stronie stołu kobiety, zdecydowany, dla utrzymania miłej atmosfery przy kolacji, odegrać rolę idealnego gościa.

- Oczywiście, droga pani - odparł. Następnie, uważnie się jej przyjrawszy, znów popadł w zadumę. Elizabeth była śmiertelnie blada i, sądząc po jej zaczerwienionych oczach, musiała płakać. Przyczyna była oczywista. Stammen wyjechał tuż po wschodzie słońca, a Devon wciąż przeklinał samego siebie za wtykanie nosa w sprawy przyjaciela. Być może, zostawieni samym sobie, samotny markiz i równie samotna córka pastora, odnaleźliby siebie i zdołali obdarować się nawzajem tym, czego tak bardzo oboje potrzebowali.

- Dlaczego markiz wyjechał bez pożegnania? - zapytała z wyraźnym drżeniem warg. Smutne powątpiewanie, niczym ostrze sztyletu, przeszło sumienie Devona. Z trudem przełknął ślinę.

- Wynikły jakieś problemy w posiadłości markiza w Northumberland, wymagające jego natychmiastowej obecności - powiedział bezbarwnym głosem. Nie było to zupełne kłamstwo, ale też nie cała prawda.

Elizabeth uchwyciła się słów hrabiego jak tonący brzytwy. W jej łagodnych, piwnych oczach zabłysło niekłe światełko nadziei.

- No tak, oczywiście, w tej sytuacji musiał wyjechać. Jest przecież nader odpowiedzialnym człowiekiem. Może wróci, uporawszy się z kłopotami - powiedziała zmieszana, Devon

poczuł jeszcze większe wyrzuty sumienia, zdając sobie sprawę z tego, że wzbudził w niej nadzieję.

- Tak, chyba tak - wymamrotał. - Któż może przewidzieć, jak postąpi Stammen? - Niech to diabli, po dwudziestopięcioletniej kobiecie można by się spodziewać nieco więcej zdrowego rozsądku i doświadczenia. Czy Elizabeth niczego się nie nauczyła, służąc księżnej jako jej wierna towarzyszką? Ta przynajmniej nie ma w zwyczaju płakać z powodu mężczyzn.

Zapatrzył się na ognistą, czarnowłosą piękność, która nigdy żadnemu mężczyźnie nie folgowała ani też nie prosiła nikogo o to samo w stosunku do siebie. Uświadomił sobie, że nienawiść, jaką początkowo do niej czuł, powoli zmienia się w pełen urazy szacunek. Zaczynał rozumieć powody, dla których stary książę właśnie jej powierzył wychowanie swego syna. Ze wszystkich znanych Devonowi kobiet, Moira była najsilniejsza, najbardziej niezależna i w stosunku do Charlesa przejawiała silne macierzyńskie uczucia, niczym wilczyca do swoich szczeniąt.

Jak jego naiwny braciszek mógł sobie wyobrazić, że Moirę zadowoli zwyczajne życie u boku farmera? Jest w niej wielka pasja i gorący ogień, zdolny wzniecić prawdziwy pożar, podobny do tego, jaki kiedyś, na oczach Devona, ogarnął wysuszony las w hiszpańskich górach. Blaine nigdy nie zdołałby ujarzmić tego ognia, nie przeobraziłby go w bezpieczne iskielki, radośnie trzaskające w kominku wiejskiej chatki.

Ale czy jakikolwiek mężczyzna podołałby temu zadaniu?

Czy też Moira, jak twierdzi Stammen, jest rzeczywiście szaloną istotą podporządkowującą się wyłącznie prawom przez siebie ustanowionym? Tą tajemniczą, egzotyczną kobietą, której żaden mężczyzna nigdy nie nazwie swoją? Po raz pierwszy Devon przyznał sam przed sobą, że żywi wobec niej uczucia daleko wykraczające poza zwykłe pożądanie. Moira jest ogniem w jego żyłach, szaleństwem w jego duszy. Pocałował ją zaledwie dwa razy - raz w złości, a raz we śnie. A jednak już rano wspomnienie dotyku jej warg sprawiło, że Devon zapomniał o wszystkich innych kobietach, jakie znał.

Tak, musi lepiej poznać Moirę. Jeśli nawet miałoby to zniszczyć jego życie, tak jak to było z Blaine'em, niech tak się stanie. Nigdy przecież nie unikał ryzyka. Tym razem jednak podejmuje największe wyzwanie. Przedtem rzucał na szalę tylko swoje życie, teraz zamierza zaryzykować serce.

Moira ukradkiem obserwowała twarz Devona, siedzącego po drugiej stronie stołu. Zaskoczyła ją mieszanina uczuć widocznych na jego przystojnym obliczu. Dostrzegła wahanie, z jakim odpowiedział na pytanie Elizabeth. Wyczuła, że Devon bardzo się stara, aby przynieść biedaczce ulgę w jej sercowych problemach. Nie po raz pierwszy dostrzegła w Devonie St. Gwyre taką zdolność do współczucia. Ten człowiek stanowił dla niej wielką zagadkę - w jednym momencie jest irytująco pompatyczny, a zaraz potem zaskakująco wrażliwy.

Światło świecy migotało w jego złocistych włosach, a brązowym oczom nadawało bursztynowy odcień. Zadrżała - tak bardzo przypominał jej teraz tamtego złotowłosego rycerza z cygańskiej legendy.

W tym właśnie momencie migające cienie złagodziły ostry zarys szczęk Devona i zatańczyły na grzbiecie wąskiego, arystokratycznego nosa, oszukańczo łagodząc jego rysy, podobnie jak patyna minionych wieków łagodzi wyraziste barwy obrazu.

W rzeczywistości jednak w Devonie St. Gwyre nie było nic miękkiego ani łagodnego. Ten wykuty ze stali i zahartowany w walce odważny mężczyzna jest pewny siebie i ze stanowczością wypełnia przyjęte na siebie obowiązki. Być może potrafi okazać współczucie słabszym członkom ludzkiej rasy, lecz Moira żywiła głębokie podejrzenia, iż targające nim namiętności są tylko cielesne, a nie duchowe. Każda kobieta, na tyle naiwna, aby ofiarować mu swą miłość, sama się prosi, żeby złamał jej serce.

Ale Moira nie jest "każdą" kobietą, a złamane serce to dla niej nic nowego. Była przecież

mestizą - banitką mieszanej krwi. Takim dziedzictwem została obdarzona już w chwili narodzin. Choć pożądało jej wielu mężczyzn, zarówno Cyganów, jak i gaujo, Moira nigdy nie zapragnęła oddać się któremuś z nich. Nawet Blaine'owi, choć ten szczerze ją kochał. Tylko jeden mężczyzna - Devon St. Gwyre - zdołał rozbudzić jej uśpione zmysły, skrywane dotąd głęboko w jej wnętrzu. Czy jednak nie straci na tym, jeśli ulegnie pożądaniu, widocznym w oczach Devona zawsze wtedy, gdy na nią patrzył?

Westchnęła. Ucierpi na tym tylko jej duma. A po-nieważ jest to jedyna wartościowa rzecz, jaką kiedykolwiek miała, Moira musi zaakceptować fakt, iż bez swej dumy będzie znaczyć nie więcej niż ten popiół, zmieciony przez wiatr z opuszczonego cygańskiego ogniska. Nie, pożądlivy hrabia Langley musi zadowolić się innym ciepłym ciałem w swoim łóżku, zanim powróci do Londynu, do tych uległych mu tancerek z opery. Tymczasem Moira pozwoli sobie na niewielki flirt, w ramach ustanowionych przez samą siebie granic. Z pewnością bogowie nie po-zbawią jej tej małej przyjemności, choć poskapili już tylu innych rzeczy.

Jakiś uprzykrzony głosik przypomniał księżnej, że iden-tycznych argumentów użyła, usprawiedliwiając ów tragiczny w skutkach flirt z Blaine'em. Postanowiła jednak zignorować głos rozsądku. Devon St. Gwyre w niczym nie przypomina swojego delikatnego braciszka, a zatem na ryzyko zostanie wystawione tylko jej serce.

Kolacja, która w głębokim przekonaniu MOiry miała przynieść kompletną klęskę, w rzeczywistości okazała się wielkim sukcesem, biorąc pod uwagę fakt, iż nawet ona sama była świadoma tej dziwacznej zbieraniny biesiadników.

Czarny Jack, o dziwo, zachowywał się bardzo poprawnie - przynajmniej przez dłuższy czas. Prześcigał sam siebie, opowiadając o minionych przygodach i swoich młodzieńczych triumfach. Większość tych historyjek nabrała znac-nie żywszych barw od czasu, kiedy Moira po raz ostatni ich słuchała. Ale nawet ona musiała przyznać, że stary łajdak ma wielki dar przykuwania uwagi słuchaczy, a postaci z jego opowieści są pełne życia. Elizabeth, po wyjaśnieniach Devona, nabrała animuszu, dodając kilka słów do ogólnej rozmowy.

Alfie mówił niewiele, ale za to zjadał wszystko, co miał w zasięgu ręki. Jak nigdy przedtem, teraz powstrzymał się od krytykowania historyjek Czarnego Jacka. Tylko raz burknął pod nosem:

- Co za kit ten stary gaduła próbuje nam wcisnąć? Nawet Devon miło spędzał czas, sądząc po częstotliwo-ści, z jaką pokój rozbrzmiewał jego serdecznym śmie-chem. Dwukrotnie ich spojrzenia się spotkały, a ciepło w oczach Devona wywoływało u Moiry gwałtowne przy-śpieszenie pulsu. W końcu jednak musiała opuścić wzrok w obawie, że Devon zo-rientuje się, jak przemożny wpływ wywiera na księżnę.

No i Charles. Już na samą myśl o chłopcu serce Moiry radośnie śpiewało. Od dawna nie słyszała, aby wypowiadał się z taką swobodą albo tak często się śmiał. Choć nie miał apetytu i zjadł niewiele więcej niż zwykle, po skończonym posiłku rozejrzał się wokół i oświadczył głosem pełnym szczęścia:

- Wszyscy, których kocham, siedzą przy tym stole .. : oczywiście poza tatą, bo on jest w niebie.

Moira poczuła uścisk w gardle. Mimowolnie wyciągnęła rękę, aby pogładzić pasierba po głowie, ale jej palce dotknęły palców Devona. Najwyraźniej w tym samym momencie przyszła mu do głowy identyczna myśl.

Na krótką chwilę ich palce złączyły się i Moira poczuła, jak wszystko w jej wnętrzu roztopia się, niczym pod wpływem gorącej lawy, a w jej żyłach rozchodzi się ogień. Powoli cofnęła rękę i pochyliwszy się, pocałowała Charlesa w jedwabistą czuprynkę czarnych kędziorów.

- Wybaczcie nam, panowie - powiedziała głosem, który nawet w jej uszach brzmiał niepewnie. - Elizabeth i ja zostawimy was teraz waszym męskim sprawom. - Położyła dłoń na ramieniu Charlesa. - Chodź, kochanie. Zasiedzieliśmy się dzisiaj przy kolacji. Już od

dawna powinność być w łóżku.

- Mamo, proszę, jeszcze nie. - Ciemne oczy chłopca spojrzały na nią błagalnie. - Dziadek Czarny Jack obiecał opowiedzieć o hiszpańskich Cyganach.

Serce Moiry przestało bić. Co ten łajdak znowu zamierza? Obrzuciła ojca bezwzględny wzrokiem.

- Cóż to za historia, Czarny Jacku? - zapytała uprzejnie.

- Skąd mam wiedzieć, czy jest odpowiednia dla uszu dziecka, i czy w ogóle dla jakichkolwiek uszu?

- Ach, Moiro, dziewczyno, ależ z ciebie dokuczliwa istota. Nie ufasz tatusiowi? On dobrze wie, jakie historie może opowiadać, a jakich nie. - W jego niebieskich oczach, tak podobnych do oczu Moiry, zamigotały podejrzane błyski. - To zwykła historyjka, prawdopodobnie mocno naciągana, ale wielce ciekawa. Usłyszałem ją dawno temu, kiedy przemierzałem morza.

Charles pociągnął Moirę za rękę.

- Mamo, proszę, niech dziadek opowie.

- Ja też chciałbym posłuchać - wtrącił się Devon. - Ostatnimi czasy bardzo mnie interesują hiszpańscy Cyganie.

Sfrustrowana Moira zacisnęła zęby. Doskonale wiedziała, że ciekawość Devona zrodziła się wyłącznie z jej winy.

Historia, którą pragnął opowiedzieć Czarny Jack, była kolejnym przejawem jego złośliwych zamiarów. Uwielbiał balansować na krawędzi. To właśnie niebezpieczeństwo przyciągnęło go do przemytu w większym stopniu, niż sam zysk. Tym razem jednak na takie niebezpieczeństwo zamierza wystawić Moirę. I Charlesa. Jeśli Czarny Jack zrobi cokolwiek, co zachwieje równowagę, jaką starała się zapewnić w życiu tego chłopca, nigdy mu tego nie wybaczy.

Z wyrazu, malującego się na diabolicznej twarzy ojca, domyśliła się jego zamiarów. Przechytrzył ją i dobrze o tym wiedział. Nie miała jednak odwagi, aby się sprzeciwić. Devon mógłby wtedy odgadnąć, że chodzi o coś więcej aniżeli tylko o jakąś sprośną opowieść.

- Doskonale - stwierdziła, obdarzając jednocześnie ojca spojrzeniem, które obiecywało zemstę. - Ale obie z Elizabeth czułybyśmy się pokrzywdzone, nie mogąc wysłuchać tak wspaniałej historii. Myślę, że zerwiemy dziś z tradycją i dołączymy do panów przy szklaneczce porto.

- Rzeczywiście, to tylko niewielkie ustępstwo, pani, skoro cała kolacja przebiegła dokładnie według nakazów tradycji - powiedział Devon, a jego śmiech spowodował, że Moirze zjeżyły się włosy na karku. Z rąk lokaja przyjął kieliszek porto i podniósł go do góry, jakby chciał wznieść toast. - A więc, szlachetny Reardonie, opowiedz nam o hiszpańskich Cyganach.

- To fascynujący ludzie - zaczął Czarny Jack, wytrwale unikając wzroku córki. - Przynajmniej tak słyszałem. - Przysunął kieliszek do płomienia świecy i wino nabrało pięknego rubinowego zabarwienia. - To najbardziej dumni ludzie, jakich kiedykolwiek nosiła ziemia. Święcie wierzą, iż są lepsi od innych Cyganów, nie mówiąc już o gaujo, czyli wszystkich pozostałych istotach, jakie stworzył Bóg.

- Cyganie dumni! Żebym skisł, to największe kłamstwo, jakie obito mi się o uszy. - Chuda buzia Alfiego zmarszczyła się z niedowierzania. - W tych brudnych żebrakach wałęsających się po Haymarket, którzy kradną wszystko, co tylko się da, nie ma ani krzty dumy. A tych zuchów, co stoją na czatach i wciągają ich do bramy Newgate, nazywają "głupimi gorgio", a nie gauho, czy jakoś tak.

- Ci nie należą do hiszpańskich Cyganów - stwierdził stanowczo Czarny Jack. - Pewnie pochodzą z Węgier albo z Rumunii. Wiesz, Cyganie różnią się między sobą. Nie dlatego, że ci z Hiszpanii gardzą kradzieżą, ale dlatego że są niezwykle sprytni. Potrafią zwędzić konia wprost spod jeźdźca, a ten nawet tego nie zauważy, dopóki nie zorientuje się, że

idzie piechotą. Obdarzył Alfiego gniewnym spojrzeniem. - Ale wracajmy do mojej historii, której, od tej chwili, mam nadzieję, nikt nie będzie przerywał. - Odchrząknął. - Kilka lat temu, tak słyszałem, pewien gitano, czyli hiszpański Cygan, mieszkał w jaskini w andaluzyjskich wzgórzach. Był wyjątkowo wysokim, jak na gitano, i najprzystojniejszym facetem, jaki kiedykolwiek stąpał po ziemi. Ale to nie jego nadobne oblicze oddaliło go od współziomków, tylko jego magiczna gra na gitarze.

- Gitarze? - Alfie zaśmiał się szyderczo. - Oni grają na skrzypkach.

- Hiszpańscy Cyganie grają na gitarze - odparł Czarny Jack. Cierpliwość coraz bardziej go opuszczała, podobnie jak spokój umysłu Moirę. Zaczynała pojmować, dokąd zmierza ta opowieść i ani trochę to Słę Jej nie podobało.

- Ludzie mówili, że muzyka tego gitano to głos samego Boga. Taka była piękna i potężna - powiedział z przejęciem Czarny Jack. - Z całej Hiszpanii zjeżdżali się ludzie, aby posłuchać jego gry - nie tylko Cyganie. Nawet sam król wspiał się kiedyś po kamienistej ścieżce prowadzącej do jaskini grajka.

Moira była pod wrażeniem słów ojca. Zapatrzona przed siebie wspominała czasy, kiedy jako dziecko siedziała przy ognisku i obserwowała silne, śniade palce przebiegające po strunach gitary z szybkością letniej błyskawicy ... Moira dawała się wówczas ponieść potędze i namiętnościom zaklętym w tej dzikiej, egzotycznej muzyce.

- Deditas de Oro, Złote Paluszki. Tak nazwali go Cyganie - kontynuował Czarny Jack.

- Deditas de Oro! Ależ oczywiście. Słyszałem o nim podczas kampanii na Półwyspie - wtrącił Devon. - To przecież jeden z ulubionych bohaterów hiszpańskiego ludu. Jeszcze w trzydzieści lat po jego śmierci w całej Hiszpanii krążyły opowieści. o jego niezwykłej grze. - Spojrzał na Moirę. - I wyobraźcie sobie, że zginął przez kobietę. Jego historia - to opowieść o namiętności i tragedii, jakich wiele. Z tego, co słyszałem od pewnego granda, Cygan zakochał się bez pamięci w córce bardzo potężnego wielmoży, a kiedy dziewczyna nie odwzajemniła jego uczuć, uciekł się do ... cóż, można to określić tylko jednym słowem - gwałtu.

Moira z trudem łapała powietrze.

- Ależ to koszmarnie. Nie wierzę. - Wstrzymała oddech. - To znaczy, trudno uwierzyć w to, żeby ktoś, kto potrafi tworzyć piękną muzykę, był zdolny do popełnienia tak potwornego czynu.

Devon pokiwał głową.

- Zgadza się. Większość Hiszpanów, poza ojcem dziewczyny, nie uwierzyła w to. Cygan musiał się jednak ratować ucieczką. Niestety, kaci wielmoży dopadli go i powiesili. Wkrótce potem dziewczyna rzuciła się do morza. Ot, i koniec historii. Szkoda tylko tej dzierlatki!

- Aha, ale to wcale nie jest prawdziwe zakończenie.

- Czarny Jack uśmiechnął się tajemniczo. - W tym miejscu moja wersja różni się od innych. Wygląda na to, że płatni mordercy, podobnie jak wszyscy Hiszpanie, byli miłośnikami muzyki i w rzeczywistości nie powiesili Cygana. Upozorowali jego śmierć, a potem pomogli jemu, jego żonie, ich małej córeczce i co najmniej trzydziestu innym Cyganom w ucieczce.

- Ucieczce? Dokąd? - zapytał Devon, a Moira znów wstrzymała oddech.

- Dobre pytanie, prawda? - Złośliwy ogień tańczył w oczach Czarnego Jacka. - Oto, co wiem na ten temat. Młody żeglarz, który opowiadał tę historię w tawernie w Penzance - a był to mój rodak, Irlandczyk, nie wątpię więc w jego słowa - jakiś czas po tamtych wydarzeniach prowadził interesy na wybrzeżu francuskim. Baskijscy Cyganie zaoferowali mu ładną sumkę za przewiezienie około dwudziestu ich braci w bezpieczne miejsce do Anglii.

- Anglia! Jesteś tego pewien, Czarny Jacku? - zapytała Moira, przygważdżając go spojrzeniem swoich zwężonych oczu. Wzięła do ręki nóż, którym przedtem kroila baraninę i przebiegła palcem po krawędzi, jakby testując jego ostrość. - Andaluzyja to najbardziej na południe wysunięta kraina Hiszpanii. Należałoby oczekiwać, że uciekinier przeprowi się



raczej przez Morze Śródziemne, a nie przez cały Półwysep i Pireneje. Bo jeśli dotarli do Francji, taka musiała być ich marszruta.

- Tak, to brzmi nielogicznie - zgodził się Devon. - Chyba że obawiali się wielkiej armii wysłanej przez szlachtę do Afryki. Ale Moira ma rację. Pireneje, na miłość boską. Jaka to była pora roku? Moim zdaniem, banda tych cygańskich obszarpańców nigdy nie przeprawiłaby się zimą przez góry.

Ale zrobili to, i na dodatek w samym środku zimy. Po drodze pochowali jednak więcej niż połowę swoich rodaków, nie wyłączając ciężarnych kobiet i małych dzieci, pomyślała Moira.

Patrzyła na ojca z zaciśniętymi ze złości ustami. Nigdy ten beztroski łajdak nie wzbudził w niej większej niechęci niż w tej chwili.

Uparcie unikając wzroku córki, Czarny Jack wytarł serwetką pot z czoła.

- Chłopak, który opowiedział mi tę historię, nie wyjawiał tych wszystkich szczegółów - dodał niepewnie.

Moira zmarszczyła nos.

- Cała opowieść sprawia na mnie wrażenie mocno naciąganej.

Devon napił się wina.

- Ale mimo wszystko jest ogromnie interesująca.

- Słyszałam lepsze - powiedziała Moira. Spojrzała na ojca. - Uśpiłeś Charlesa. Jeśli chcesz się zrehabilitować, Czarny Jacku, pomóż mi go zanieść do sypialni.

Reardon poderwał się na równe nogi. Jego twarz wyrażała zakłopotanie. Moira życzyła dobrej nocy Devonowi i Elizabeth, wzięła świecę i wraz z ojcem wyszła z jadalni. Za nimi niechętnie powlókł się Alfie.

W drzwiach pokoju dziecięcego przekazała chłopców w ręce Johna Footmana i ująwszy ojca za ramię, poprowadziła go w głąb korytarza.

- Musimy zamienić słówko, Czarny Jacku - oświadczyła.

- Wiem, co chcesz mi powiedzieć, dziewczyno - zaprotestował. - Nie ma jednak powodu, aby robić z igły widły. Ja tylko trochę się zabawiłem kosztem tego sztywniacha, hrabiego. - Zachichotał. - Podejrzewałem, że spędziwszy tyle czasu w Hiszpanii, mógł słyszeć o twoim dziadku.

- Niech diabli wezmą ciebie i twoje żarty - powiedziała gorzko Moira. - Już i tak skomplikowałeś mi życie. Nie musisz dokładać kolejnych zmartwień. A jeśli hrabia odgadł, do czego zmierzasz?

Czarny Jack przyjął pozę wielce obrażonego człowieka.

- I co z tego? Zupełnie nie rozumiem, czemu tak się wstydzisz swojej cygańskiej krwi i koniecznie chcesz to utrzymać w głębokiej tajemnicy. Ja nigdy, ani trochę, nie wstydzilem się tego, że pojąłem twoją matkę za żonę.

- Gdyby nie Charles, rozgłosiłabym wieść o moim pochodzeniu na wszystkie strony świata. Potrafisz sobie jednak wyobrazić, aby hrabia pozwolił mi wychowywać para królestwa wiedząc, że jestem pół-Cyganką?

- Czemu nie? Księcia najwyraźniej to nie martwiło.

- Mylisz się, Czarny Jacku. Gdyby wiedział, ten fakt wysoce by go zaniepokoił. To jeden z najbardziej uczciwych mężczyzn, jakich kiedykolwiek spotkałam. - Mam u niego tak wielki dług, że nie wiem, czy uda mi się go spłacić. Pewnego razu postanowiłam więc wymacać grunt. Zapytałam go, czy zgodziłby się, aby grupa Cyganów rozbiła obóz na ziemi należącej do Białych Dębów. Zagroził, że jeśli przekroczą granice jego posiadłości, poszczuje ich psami. "Te brudne szumowiny" - tak ich wtedy nazwał. W sprawach dotyczących Cyganów nie da się rozsądnie rozmawiać z gaujo. Dlatego obie połowy mojej duszy tak zaciekle ze sobą walczą. - Westchnęła. - Dla dobra Charlesa nie dopuszczę, aby ktokolwiek nabrał choćby cienia podejrzeń - zwłaszcza hrabia Langley.

Ledwie Devon zdążył unieść się z krzesła, a Moira już zniknęła za drzwiami jadalni, zabierając ze sobą ojca i obu chłopców. Z typowym dla siebie lekceważeniem etykiety, zostawiła go sam na sam, bez przyzwoitki, z Elizabeth, niezamężną młodą kobietą. Księżna nie ma żadnego szacunku do konwenansów. Nic więc dziwnego, że - może z wyjątkiem lady Caroline Lamb - przez ostatnie cztery lata stanowiła dla londyńskich dam najczęstszy temat plotek. W przeciwieństwie jednak do lady Caroline, która łamie konwenanse z rozmysłem, pragnąc zaszokować śmietankę towarzyską, Moira po prostu je ignoruje. Nie jest to idealna postawa u kobiety, której powierzono wychowanie młodego arystokraty. Ale - Devon uśmiechnął się do siebie - dla uroczej lisicy przeznaczył jeszcze inną rolę. I zamierzał osiągnąć swój cel, zanim noc przejdzie w ranek.

Tymczasem musi coś zrobić z Elizabeth. Bawiąc się kieliszkiem, usiłował wymyślić jakiś taktowny sposób, aby opuścić pannę Kincaid. Potem uda się na poszukiwanie Moiry. Jeszcze kilka minut uprzejmej rozmowy, a później usprawiedliwi się swoim zmęczeniem. Chociaż, tak naprawdę, nigdy nie czuł się bardziej rozbudzony ani pełen energii niż teraz.

- Interesujący wieczór - powiedział po dłuższym milczeniu. - Długo go nie zapomnę.

- Dziedzic potrafi opowiadać. - Elizabeth uniosła delikatne brwi. - Lecz, dla dobra księżnej, mógłby ostrożniej dobrać tematy.

Devon pokiwał głową.

- Odniosłem wrażenie, iż historia o hiszpańskich Cyganach nie przypadła jej do gustu. Ale zupełnie nie rozumiem, dlaczego. Wydawała się dość nieszkodliwa.

- Chyba uznała opowieść o namiętności i tragedii za zbyt poważną dla młodych uszu księcia - stwierdziła z afekcją Elizabeth. - Ja osobiście wolałabym, aby Charles nie słuchał takich historii. Alfiego, oczywiście, nic nie zdoła zaszokować.

Devon zaśmiał się. - Alfie to gałgan.

- Zgadza się - przyznała - ale to uroczy gałgan. I przerażająco sprytny. Wie pan, jak nazwał dziedzica Reardona? - W oczach Elizabeth zamigotały iskierki rozbawienia. - "Zalewacz". Twierdzi, że tak właśnie w londyńskich domach publicznych mówią o kimś, kto lubi przesadzać. To okropny brak szacunku z jego strony, ale trafne określenie, prawda?

- Rzeczywiście, bardzo trafne, zwłaszcza biorąc pod uwagę tę dziwną historyjkę o ucieczce Cygana gitarzysty. A przecież cała Hiszpania płacze po nim od trzydziestu lat.

- Jednak mimo wszystko wolę opowieść dziedzica niż pańską - stwierdziła tęsknie Elizabeth. - Wszystkie historie powinny mieć szczęśliwe zakończenie.

Devon uśmiechnął się niezobowiązująco. W tej chwili nie zakończenie opowieści go interesowało, lecz początek. A dokładnie mówiąc, 'historia Moiry. Przyszło, mu do głowy, iż jako towarzyszka tajemniczej piękności, Elizabeth mogła zostać dopuszczona do kilku zazdrośnie strzeżonych tajemnic księżnej. Musi więc tę wiedzę wydobyć z panny Kincaid, ale bardzo ostrożnie.

- Stosunki księżnej i dziedzica sprawiają dziwne wrażenie - zaczął, próbując pociągnąć Elizabeth za język. -Przypominają raczej relację między matką i niesfornym synem aniżeli ojcem i córką.

Elizabeth skinęła głową, a na jej twarzy pojawił się wyraz zamyślenia.

- Pan też to zauważył? Jej wysokość nigdy się nie skarży, ale, moim zdaniem, dziedzic jest przyczyną wielu kłopotów księżnej.

- Tak myślałem - powiedział sucho Devon. Zastanawiał się, czy Elizabeth wie, jak daleko te odwrócone role zaprowadziły niegdyś Moirę - kiedy musiała ratować nie znośnego ojca przed stryczkiem. :

- Dziedzic jest taki ... wylewny - kontynuowała Elizabeth. - Jej wysokość posunęła się nawet do tego, że zakazała mu wstępu do pańskiego pokoju w obawie, aby zbytnio pana nie zamęczał

- Naprawdę? Jak miło z jej strony. - I jak sprytnie.

Gdyby nie Ned, być może nigdy nie poznałby nie sławnej przeszłości ojca Moiry i prawdziwego powodu, dla którego porzuciła B laine' a.

Devon zaczął rozumieć, że traci czas, próbując wyciągnąć z Elizabeth jakieś informacje. Najwyraźniej na interesujący go temat wiedziała jeszcze mniej niż hrabia. Wstał z krzesła, zamierzając skończyć tę rozmowę.

Elizabeth również się podniosła, ale przedtem wyciągnęła spod krzesła księżnej parę czarnych, atlasowych, pantofelków.

- Zawsze je gdzieś zostawia - powiedziała z czułym uśmiechem. - Nie cierpi ich, wie pan. Pewnie dlatego, że do ukończenia dwunastego roku życia nigdy nie miała butów.

Ledwie skończyła mówić, zakryła dłonią usta, a na jej twarzy odmalowało się przerażenie.

- Och Boże, co mnie podkuśiło? Powiedziała mi o tym w naj głębszej tajemnicy.

Wargi Devona wykrzywił triumfalny uśmiech. W końcu jego wysiłki zostały nagrodzone.

Kolejny kawałek układanki trafił na swoje miejsce. Widocznie Moira zaznała w dzieciństwie skrajnej nędzy. Nietrudno w to uwierzyć, skoro za ojca ma takiego niewydarzeńca.

- Zabiorę ten sekret ze sobą do grobu, pani - przyrzekł uroczyście.

- Mam nadzieję, milordzie, choć rozumiem, że pan żartuje. - Elizabeth była bliska łez. - Po prostu taka informacja to woda na młyn dla plotkarzy z socjety. Z radością roznieśliby ją po świecie. A i tak już wygadują o księżnej niestworzone historie, i to tylko dlatego, że Moira nie akceptuje ich płytkiego stylu życia.

- Przyrzekam dyskrecję, Elizabeth. Sam wystarczająco często byłem obiektem zainteresowania londyńskich plotkarzy, więc wiem, jak to jest. Nie zamierzam dostarczyć im ani grama informacji na czyjkolwiek temat. - Devon serdecznie uściśnął dłoń Elizabeth.

- Życzę pani dobrej nocy i miłych snów.

- Dobranoc, milordzie. Dziękuję - odpowiedziała z bladym uśmiechem, po czym oswobodziła rękę i ruszyła do drzwi.

- Nie powinna pani zabrać ze sobą pantofelków księżnej?

- zawołał za nią Devon.

- Nie. Na pewno przypomni sobie, gdzie je zostawiła, i przyjdzie zabrać przed wieczornym spacerem w ogrodzie - odpowiedziała Elizabeth. - Boso chodzi tylko po domu.

Devon podążył za Elizabeth schodami wiodącymi na drugie piętro, a potem jeszcze raz życzył jej dobrej nocy i poszedł do swojej sypialni, jakby zamierzał się udać na spoczynek. Jednak po kilku minutach, z opończą przewieszoną przez ramię, cichutko zszedł po schodach i wślizgnął się do jadalni.

Służba uprzątnęła już po kolacji i zgasła świece.

Ciemności rozpraszała tylko poświata księżycyca, wpadająca do pokoju przez przedzielone kamiennymi słupkami szyby okien, które znajdowały się w odległej części pokoju. Wziął do ręki pantofle Moiry i schował się w kącie. Zaczeka tu na tę piękną kobietę i odda się rozmyślaniami na jej temat.

Od lat nie pragnął żadnego związku z tak żarliwą niecierpliwością. Tajemniczość Moiry przyciągała go niczym magnes, a także jej żywa inteligencja, której jasność przyćmiewała blask wszystkich świec, oświetlających masywny stół podczas kolacji. Chociaż opuszczając jadalnię, zabrała ze sobą tylko jeden świecznik, zdawało się, że jej wyjście pozbawiło pokój całego światła.

Co więcej, Moira pragnie go równie mocno, jak on jej. Zaczął się tego domyślać, od kiedy zrozumiał, że ich pocałunek był czymś więcej niż tylko snem. Dziś wieczorem podejrzenia Devona zamieniły się w pewność. Przez jedną chwilę spojrzenie Moiry wyrażało taką tęsknotę i namiętność, iż z trudem powstrzymał się, aby zerwać się z krzesła - nie zważając na wszystko, włącznie z chorą nogą - i porwać ją w ramiona.

Od tego momentu był tak przeraźliwie świadom jej obecności, że wszyscy inni stali się zaledwie cieniami. Och, rozmawiał z Elizabeth, słuchał opowieści Czarnego Jacka, a nawet odpowiadał na zadane mu pytania i sam zadał kilka.

Ale wszystko to przypominało sen. Jediną realną rzeczą była paląca tęsknota za tą zmysłową pięknością. Na wspomnienie cichego zaproszenia emanującego z jej oczu

spoczęły mu się dłonie, a serce zaczęło bić mocno, niczym u niedoświadczzonego prawiczka, który wkrótce po raz pierwszy w życiu zazna przyjemności z kobietą. Palcami przesunął po aksamitnych pantofelkach. Elizabeth powiedziała, że Moira będzie ich szukać. Samotny, w ciemnym pokoju, uśmiechnął się do siebie. Kiedy więc Moira tu przyjdzie, on już będzie na nią czekał.

Moira, otuliwszy do snu Charlesa i Alfiego, pocałowała obu chłopców na dobranoc. Następnie udała się do własnych apartamentów, aby zabrać ciepłą wełnianą pelisę. Jak na pierwszy tydzień marca dni były przyjemnie ciepłe, noce jednak nadal zbyt chłodne na spacer po dworze bez wierzchniego okrycia.

Kilka minut wcześniej zobaczyła Elizabeth wchodzącą do swojej sypialni. Była pewna, że i Devon postanowił udać się na spoczynek. A przynajmniej miała taką nadzieję. Ostatnią rzeczą, jakiej by teraz pragnęła, było to, aby znaleźć się z nim sam na sam.

Zaledwie pomyślała o pełnej magnetyzmu energii emanującej z hrabiego, a już jej serce zadrżało. Nieważne, jak bardzo się starała, ale nie mogła w trakcie kolacji oderwać od niego wzroku. Doszło nawet do wymiany spojrzeń i jego wzrok uitorował sobie drogę wprost do duszy Moiry. Nigdy przedtem nie czuła się bardziej krucha ani też bardziej wypełniona potworną, bolącą potrzebą poznania spełnienia, jakie tylko on mógł jej zaofiarować.

Spojrzenie na białe stopy przypomniało Moirze że, jak zwykle zrzuciła pantofle w czasie posiłku. Służba, świadoma jej wieczornego nawyku, zostawiła je na pewno w jadalni. Uśmiechnęła się do siebie. Dziś rano ten impertynent John Footman napomknął, iż rozważa, aby zatrudnić pazia, którego jedynym zadaniem byłoby zbieranie porzuconych przez nią pantofli i odnoszenie ich do sypialni.

Jadalnia pogrążona była w ciemnościach. Moira postawiła świecę na brzegu stołu i zaczęła obmacywać przestrzeń pod krzesłem, ale nie znalazła pantofli. Przyklękła na kolana i właśnie zamierzała wejść pod stół, aby kontynuować poszukiwania, kiedy usłyszała znajomy głos.

- Tego szukasz?

Uniosłszy głowę, zobaczyła stojącego nad nią Devona.

Z dwóch palców jego wyciągniętej ręki zwisały jej pantofelki. W blasku świecy włosy hrabiego zabłysły złociście, a w jego oczach zamigotało rozbawienie.

Podniosła się pospiesznie i chwyciła pantofle.

- Dziękuję panu, lordzie St. Gwyre - powiedziała. Stanąwszy na jednej nodze, na drugą próbowała włożyć bucik. Nie mogła go jednak wcisnąć. Sprawiał wrażenie, jakby był za mały, choć zaledwie przed kilkoma godzinami idealnie pasował.

- Proszę pozwolić, abym pomógł. - Devon wyszarpnął pantofel z zaciśniętych palców Moiry i zręcznie wsunął go na jej stopę. Wyciągnął rękę. - A teraz drugi.

Nie miała wyboru. Musiała podać mu bucik i unieść drugą nogę.

- Gotowe - oświadczył. - Muszę stwierdzić, że rozumiem, dlaczego tak ich nie znosisz. Ja z kolei nie cierpię nocnych koszul.

- K. ... koszul n ... nocnych? - wyjąkała zmieszana.

- Ku wielkiej dezaprobach mego ordynansa i lokaja

w jednej osobie, od lat ich nie wkładam. Jak na byłego przemytnika, Ned czasami jest potwornie konwencjonalny. Szczerze mówiąc, nigdy nie mogłem znieść tego diabelnego stroju - to znaczy koszuli nocnej. Ma denerwujący zwyczaj podnosić się do góry ...

- Związać w pasie - powiedziała bez namysłu Moira. Do tej głupiej części garderoby, zwanej przez angielskie damy nocnym trenem, miała identyczny stosunek, jak do butów. - Chcesz powiedzieć, że sypiasz au naturel, piękna pani? Cóż za prowokujący obraz ta myśl wywołuje.

- Nic takiego nie powiedziałam, milordzie. - Paliły ją policzki. Cieszyła się, że w tych niemal

całkowitych ciemnościach Devon nie może dostrzec jej zakłopotania.

- Jestem rozczarowany. Więc zaprzeczasz?

Aby zaprzeczyć, musiałaby skłamać, a była największą na świecie kłamczuchą.

Postanowiła więc puścić pytanie mimo uszu.

- Milordzie, ta rozmowa jest zupełnie nie na miejscu i bez związku z czymkolwiek - oświadczyła możliwie najchłodniejszym tonem, przepychając się jednocześnie w stronę drzwi.

- Mylisz się, pani. - Śmiech Devona zabrzmiał nieprzyjemnie. - Widzisz, układam szalenie interesujące klocki i właśnie kolejny trafił na swoje miejsce.

Zachnęła się.

- Albo pan coś knuje, albo mówi zagadkami, a skoro brak mi oręża, aby rywalizować z panem w obu tych przypadkach, życzę spokojnej nocy, milordzie.

- Kłamczucha! Jestem pewien, że poradziłaś sobie nawet ze stadem uciekających indyjskich słoni, mając przy tym jedną rękę przywiązaną do pleców - stwierdził Devon. - Ale co ty, do licha, z tym milordem. Czyż nie postanowiliśmy mówić do siebie po imieniu? Moira wyszła z ciemnej jadalni na korytarz, gdzie ze świecznikiem w dłoni czekał na nią lokaj. Jego zadaniem było oświetlić księżnej drogę do ogrodu. Zatrzymała się, aby zapiąć pelisę. Ze złością stwierdziła, że drżą jej palce. Devon włożył opończę.

- Co pan robi? ~ zapytała oohryplym szeptem, choć doskonale mogła się tego domyślić.

- Przygotowuję się, aby ci towarzyszyć podczas wieczornego spaceru - odszepnęła. - Jestem bowiem pewny, iż zamierzałaś mnie zaprosić na tę przechadzkę.

Rytm uderzeń serca Moiry wzmógł się gwałtownie. W swoim obecnym, tak kruchym, stanie ducha nie ufała sobie na tyle, aby z tym "największym rozpustnikiem Londynu" spacerować teraz w świetle księżyca. Jemu zaś ufała jeszcze mniej aniżeli sobie samej.

- Nie miałam tego w planach - stwierdziła chłodno. - Zawsze spaceruję samotnie.

- Co za szkoda, pani - oświadczył Devon. Silnymi palcami ujął Moirę za łokieć i przeprowadził obok uśmiechniętego lokaja. - Kiedy wreszcie dojdzie do naszej rozmowy, nie możemy zapomnieć o kwestii dobrych manier. Zaniechanie etykiety - to jedna rzecz, a niegrzeczność - to zupełnie coś innego. Którędy się idzie do ogrodu?

Później Moira nie potrafiła sobie przypomnieć, jak tam trafiła, ale po kilku chwilach dotarło już do niej, że spaceruje z Devonem po zagrabionych ścieżkach ulubionego ogrodu. Minęli Jamesa Keougha. Stał pod drzewem morwowym, w milczeniu obserwując okolicę.

Podczas wszystkich przechadzek od czasu, kiedy bracia Keough wzięli na siebie obowiązek ochrony księcia, Moira spotykała Jamesa zawsze w tym samym miejscu.

Devon minął go bez słowa. Następnie rozluźnił palce na łokciu Moiry i przyciągnął jej ramię. Nie protestowała. Czy miała inny wybór? Gdyby usiłowała się wyrwać, dałaby Devonowi do zrozumienia, że jest zdenerwowana i nie ufa sobie, a to ostatnia rzecz, której chciałaby dowieść aroganckiemu hrabiemu.

Przez jakiś czas szli bez słowa. Jedynym światłem był słaby blask wczesnowiosennego księżyca, a jedynym dźwiękiem - poza biciem jej serca - rechotanie ropuch w porośniętej liliami sadzawce pośrodku ogrodu. Moira wdychała zapach żyznej ziemi ze świeżo zaoranych grządek kwiatowych i delikatny aromat pączków forsycji, rozsypanych na gołych gałęziach ponad jej głową. Miała nadzieję odnaleźć ten sam spokój, jaki zwykle ją ogarniał w tym pięknym rpiejscu. Bez rezultatu. Spacer pod rękę z Devonem nie przynosił ani odrobiny spokoju.

Nagle usłyszała własne słowa:

- Przykro mi. Obawiam się, że nie słuchałam.

Na twarzy Devona odmalowało się zaskoczenie. Poczła nieodpartą potrzebę, aby się uśmiechnąć. "Największy rozpustnik Londynu" najwyraźniej był przyzwyczajony do tego, że kobiety spijają z jego ust każde słowo.

Obserwował Moirę kąciakiem oka, jakby chciał się upewnić, czy tym razem rzeczywiście go słucha.

- Powiedziałem, że podczas naszej krótkiej znajomości zrozumiałem jedną rzecz. W przeciwieństwie do większości kobiet, ty nie cofasz się przed żadnym nowym problemem.  
- To chyba logiczna postawa. - Moira wstrzymała oddech w oczekiwaniu na kolejne słowa Devona. Miała przeczucie, iż na zawsze zmienią się jej stosunki z enigmatycznym hrabią. Od momentu spotkania w ciemnej jadalni dziwnie się zachowywał, a wyraz jego oczu można by określić jako drapieżny.

Czekając, aż Moira wróci do jadalni po pantofle, Devon wiele rozmyślał. Doszedł do wniosku, że pragnie zainicjować związek z księżną bez owijania rzeczy w bawełnę ani uciekania się do podstępów. Ta procedura go nudziła. Gusty Moiry są nieskomplikowane. Podejrzał, że i w namiętności okaże się cudownie pierwotna. Dokładnie takiej kobiety teraz pragnął.

Przystanął obok fontanny. Z pyszczka ogromnej marmurowej ryby wyływał nieprzerwany strumień krystalicznie czystej wody. Uśmiechnął się do Moiry, której dłoń nadal tkwiła w zagłębieniu jego ręki. Delikatna, szczupła dłoń i - to niesamowite - nie obleczona w rękawiczkę. Ten widok wywoływał w wyobraźni Devona obraz innych, bardziej ponętnych części jej ciała, równie nagich. Widział Moirę leżącą obok niego w łóżu. Zakrył palce Moiry swoimi. Kiedy absorbował ich ciepło, pragnienia jego rozbudzonego ciała natychmiast się zintensyfikowały.

- A więc, cudowna Moira - powiedział, zmierzając prosto do celu - co zatem zrobimy z tym przemożnym wzajemnym przyciąganiem, jakie do siebie czujemy?

- Zrobimy? - Sprawiała wrażenie autentycznie zdziwionej.

Na chwilę utracił pewność siebie. Była przecież kobietą światową, dlatego musiała doskonale wiedzieć, na czym polega sztuka kuszenia. Chyba stawianie spraw bez ogródek nie mogło jej zbytnio zaniepokoić?

- Jeśli nie jesteśmy zatwardziałymi masochistami, nie możemy przez następne czternaście lat tak po prostu ignorować naszej namiętności - wysunął rozsądny argument, zastanawiając się jednocześnie nad przyczyną nagłego napięcia jej mięśni. Odchrząknął. - Jeśli o mnie chodzi, nigdy nie gustowałem w samoumartwianiu się.

- Nie mam co do tego cienia wątpliwości, milordzie.

Ale nawet "największy rozpustnik Londynu" musi przyznać, iż "nasza namiętność" nie tylko nas dotyczy. - Oburzenie w głosie Moiry zaskoczyło Devona. Zupełnie, jakby obraził ją swoją uwagą na temat jej ponętnych wdzięków.

Devon poczuł lekką irytację. Pruderii można oczekiwać po kliwej dziewicy, a nie po praktycznej, światowej kobiecie - zwłaszcza o tak ciekawym pochodzeniu.

- Jestem świadom faktu, że dla dobra Charlesa musimy zachować dyskrecję - powiedział.

- Choć trudno sobie wyobrazić, aby nasz związek mógł jeszcze bardziej splamić i tak już mocno zszarganą reputację, jaką się SZCZYCImy.

Moira nie spuszczała z niego spojrzenia spod przymkniętych powiek.

- Chyba tak.

Była zła. Po prostu wściekła. Kobiety to takie dziwne, nieprzewidywalne stworzenia. Na jakiej podstawie Devon ośmielił się przypuszczać, że Moira jest inna?

Hrabia zaklął cicho. Z każdą minutą miał coraz mniej cierpliwości. Zmarzył mu nos, a palce jeszcze bardziej. Dlaczego stoi w tym zimnym ogrodzie i traci czas na próżne gadanie, zamiast leżeć z tą ślicznotką w ciepłym łóżku pod puchową kołdrą?

- Niech to diabli. Czego ode mnie chcesz, pani? - zapytał. - Spośród wszystkich kobiet, jakie znam, właśnie po tobie oczekiwałem, że wzniesiesz się ponad konwenanse. Czy mam mówić wprost? Pragnę cię bardziej, niż kiedykolwiek pragnąłem jakiejś kobiety. Na pewno o tym wiesz. Nawiedzasz mnie we śnie, a na jawie torturujesz moje myśli. Jeśli szybko cię nie zdobędę, zamknę mnie w domu wariatów. Zadowolona?

W świetle księżycy twarz Moiry była niemal równie blada, jak marmurowe ogrodzenie za jej plecami.

- Zachowuje się pan jak małe dziecko, które pragnie nowej zabawki, bo tylko takiej jeszcze

nie miał i nie zdążył zniszczyć - powiedziała tak wyniośle, że gdyby nie znał prawdy, mógłby uwierzyć w jej książęce pochodzenie. \_ Nie będę ani twoją zabawką, milordzie, ani żadnego innego mężczyzny. Jeśli nieświadomie wzbudziłam w panu takie przekonanie, nie pozostaje mi nic innego jak tylko przeprosić.

Devona ogarnął przejmujący chłód, nie wiedział tylko, czy był wynikiem szoku, czy też złości.

- Nie chcę, abyś stała się moją zabawką, Moiro. Ani nawet zwykłą metresą. - Zaciśnął zęby. - Chcę, abyś była moją kochanką i przyjaciółką, a ja twoim kochankiem i przyjacielem. Nie należę do mężczyzn, którzy szukają przyjemności kosztem kobiety, nic jej w zamian nie dając. Jeśli nieświadomie wzbudziłem w tobie inne przekonanie, mogę tylko przeprosić.

Oparł dłonie o marmurowe ogrodzenie za głową Moiry.

- A teraz, Moiro Reardon Handley, księżno-wdowo Sheffield, czy zostaniesz moją kochanką i przyjaciółką tak długo, jak będziemy się nawzajem namiętnie pożądać? W milczeniu patrzyła mu w twarz pociemniałymi z emocji oczami. Jest moja, pomyślał triumfalnie. Jej protesty były zwykłą babską sztuczką. Każdy mężczyzna, zadający się z płcią przeciwną, musi stawić czoło takim wybiegom. Wykazując wręcz herkulesową cierpliwość, czekał teraz na odpowiedź.

W końcu ją usłyszał.

- Nie milordzie. Nie będę pańską kochanką. Nie przypuszczam też, abyśmy kiedykolwiek byli przyjaciółmi. Miejmy tylko nadzieję, że - dla dobra Charlesa - nie zostaniemy wrogami. Devon opuścił rękę, odsuwając się od Moiry.

- Winnaś mi chyba wyjaśnienie, pani. Oboje wiemy, że pragniesz mnie tak samo jak ja ciebie - powiedział, z trudem opanowując wściekłość. - Nawet mój biedny, naiwny braciszek dowiedział się, dlaczego został odrzucony. I to na piśmie.

Moira ruszyła w kierunku ścieżki prowadzącej do domu.

Unikała patrzenia Devonowi w oczy, nawet wówczas, kiedy przechodząc obok, musnęła pelisą jego nogi. Dopiero gdy znalazła się w bezpiecznej odległości, odwróciła się twarzą do niego.

- Blaine zasługiwał na wyjaśnienia - powiedziała ci - chym, gardłowym głosem. - Kochał mnie szczerze. A panu, lordzie St. Gwyre, nic nie jestem winna. Dołączyłeś tylko do długiej listy mężczyzn, którzy mnie pożądali. Dawno już zapomniałam nazwiska większości z nich, twoje też wkrótce zapomnę.

A potem odeszła, rozpułyła się w mroku i tylko marmurowa ryba była świadkiem wyrazu zdziwienia i niechęci malujących się na jego twarzy.

## Rozdział dziesiąty

Następnego dnia, wczesnie rano, hrabia Langley zrobił coś, o co żaden z jego towarzyszy z kampanii na Półwyspie nigdy by go nie podejrzewał. Wsiadł do karety i jak niepyszny uciekł do Langley Hall. Nie oddał nawet jednego strzału na swoją obronę w tej wojnie umysłów, jaka' rozgorzała między nim a księżną-wdową Sheffield.

Trzeba jednak przyznać, że ucieczka, choć tak sromotna, spowodowana była raczej konfuzją aniżeli tchórzostwem. Niechcący bowiem obraził damę, proponując jej związek miłosny. Ale cóż było w tym złego? W spojrzeniu Moiry wyraźnie dostrzegł odzwierciedlenie własnych pragnień. Z pewnością się nie pomylił i dobrze odczytał jej uczucia. Co zaś do jej deklaracji, że szybko o nim zapomni, to przecież jedna wielka bzdura!

Ponurym wzrokiem wyglądał przez okna powozu, przemierzającego zniszczoną po zimie drogę między posiadłościami. Nie był przyzwyczajony do odmów i źle to znosił. Szczerze mówiąc, nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek w przeszłości zdarzyła mu się podobna historia. Kiedy zainteresował się poważnie jakąś kobietą, to wcześniej czy później ulegała mu, nie wyłączając najsylniejszych kurtyzan w Londynie, zarówno tych z tytułami, jak i

prostych dziewczek. Ale córka zwykłego przemysłowca poczuła się urażona tylko dlatego, że chciał, aby zostali kochankami. Ta sytuacja mogłaby nawet go rozbawić, gdyby nie jedna sprawa. Za każdym razem, gdy oczami duszy widział piękną Moirę, ból w lędźwiach stawał się nie do zniesienia.

Sfrustrowany, zacisnął pięści; Cóż takiego powiedział, co wywołało ten zadziwiający pokaz dziewiczej dumy? Moira nie jest przecież kompletnie niedoświadczoną dziewczyną, która po raz pierwszy w życiu wybiera się na bal. Związek z Devonem nie pozbawi jej wszakże dobrego imienia i szansy na odpowiedni maż. Moira jest jednak zmysłową, prowokacyjną i wielce niezależną kobietą, wdową, która poznała mężczyzn w dosłownym znaczeniu tego słowa. Devon gotów był jednak pominąć to teraz milczeniem, biorąc pod uwagę jej nieszczęsne pochodzenie.

Weźmy na przykład Blaiwe'a. Faktem jest, że żadne z nich nigdy nie przyznało, że sypiali ze sobą, ale można tak przypuszczać ...

A co z sędzią i z innymi urzędnikami, których musiała przekupić, aby uchronić ojczulka przed stryczkiem? Nie chodzi nawet o ich nazwiska, ale należałoby przypuszczać ...

No i w końcu mąż, książe. W młodości uchodził za nie złego rozpustnika. Bez wątpienia nie odstąpił od swych małżeńskich praw w tym targu, którego z nią dobił. Tak przynajmniej należałoby przypuszczać ...

Czemu więc, Devon pytał sam siebie, kiedy karetka skręciła na podjazd przed jego domem, akurat z nim Moira bawi się w kotka i myszkę? Czyżby chciała, aby umizgiwał się do niej za pomocą głupich komplementów i drogich świecidełek, jakimi zazwyczaj mężczyzna obsypuje kobietę, kiedy chce zwrócić na siebie uwagę? Nie, to zupełnie nie pasuje do usposobienia tak odważnej i otwartej kobiety jak księżna. Gdyby jednak właśnie o to jej chodziło, to hrabia nie protestowałby aż tak ostro.

Skąd więc ma wiedzieć, czego ta nieznośnica oczekuje?

W szelka wiedza nabyta dzięki doświadczeniom z innymi kobietami, w przypadku Moiry jest bezwartościowa. Co więcej, choć Devon zdobył sporo informacji na temat jej tajemniczej przeszłości, księżna nadal pozostaje dla niego niezgłębioną zagadką.

Czy jednak na pewno? A jeśli pomylił się, uważając ją za istotę wyjątkową, zapominając, iż wszystkie kobiety mają te same podstawowe potrzeby i pragnienia? Nagła, paraliżująca myśl uderzyła Devona, kiedy wchodził po schodach do domu. Czy to możliwe, aby Moira oczekiwała, że zaproponuje jej coś więcej niż tylko romans? Devona przeszył silny dreszcz.

Kipiąc frustracją, walnął w drzwi wejściowe. Dobry Boże! Na pewno ona nie ... oczywiście, nie - mogłaby przecież ... jest głęboko przekonany, że ona nie ... spodziewała się po nim oświadczyć. Pomysł był zbyt absurdalny, aby brać go na serio. Jednak teraz przypomniał sobie, że kiedy wypowiadała tamte okropne słowa, w jej oczach błyszczały łzy.

Drzwi otworzyły się i Devon wszedł do środka. Nie pozdrowił nawet Partridge'a, głównego lokaja, a nie widzieli się przecież od prawie trzech miesięcy. Głęboko pogrążony we własnych niespokojnych myślach, nie zauważył wyrazu bólu na twarzy starego człowieka.

- Namiętność to dobra rzecz - wymruczał Devon, podając służącemu kapelusz i rękawiczki. - Ale przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie utożsamia namiętności z chęcią posiadania potomstwa. Być kochanką to jedno, a' matką - to już zupełnie inna sprawa. Ja przynajmniej nie zamierzam mieszać własnej krwi z awanturniczą krwią irlandzkich przemysłowców.

Partridge popatrzył na swego pana z wyrazem przerażenia, który pojawił się na zazwyczaj spokojnym obliczu starego człowieka.

- Też tak myślę, milordzie - powiedział żywo. - Taki związek nigdy nie doszedłby do skutku w przypadku hrabiego Langleya.

Moira spędziła bezsenność noc. Układała w myślach przemowę, w której zażąda, aby hrabia Langley bezzwłocznie opuścił jej dom i nigdy nie wracał. Wschód słońca zastał ją przy



otwartym oknie, obserwującą Devona, który właśnie wyjeżdżał bez pożegnania. Odczuła wtedy przenikliwy ból głowy.

- To by było na tyle - powiedziała, kiedy karetka hrabiego zniknęła z pola widzenia .. Nie zobaczy go więcej, a przynajmniej przez dłuższy czas. Devon prawdopodobnie powierzy zarządzanie majątkiem Charlesa prawnikowi, a sam będzie jej unikał jak zarazy. Jego gruboskórna próba uwiedzenia uraziła Moirę tak głęboko, że zaczęła parskać wściekłością, niczym dziki kocur. Sądząc zaś po szoku, jakiego doznał hrabia, musiała mu nieźle zależeć za skórę.

W przeciwieństwie do przekonañ żywionych przez większość gaujo, Cyganki kierują się surowym kodeksem moralnym. Choć zdolne są od czasu do czasu ukraść kurczaka albo suszącą się na sznurze odzież, to czystości strzegą z większym zapałem aniżeli angielskie arystokratki swojej biżuterii, a Moira przecież wychowywała się wśród tych najbardziej dumnych Cyganów.

Miała zaledwie dziesięć lat, kiedy - na żądanie babci - była świadkiem, jak ukarano dziewczynę, która dopuściła się cudzołóstwa. Dziadek rozkazał, aby piękne czarne włosy biedaczki zostały zgolone do gołej skóry, a potem, publicznie sam smagał ją batem po plecach, do żywego mięsa. Dawniej w takiej sytuacji winowajczynie zostałyby ukamienowane na śmierć.

- Zapamiętaj jedno, wnuczko - powiedziała babcia w dniu, w którym oświadczyła, że Moira powinna opuścić obóz i żyć w świecie gaujo. - Nieważne, czy jesteś Cyganką, czy gauja. Najpierw musisz się nauczyć żyć w zgodzie z samą sobą. Zjrzyj w swoje serce i odkryj prawdę o sobie. Potem nie sprzeniewierzaj się tej prawdzie. Tylko wówczas będziesz mogła powiedzieć, że żyjesz zgodnie z nakazami honoru.

Tak też zrobiła. Dopiero spotkanie z Devonem Sto Gwyre'em wywołało w niej pokusę, aby naruszyć ten kodeks.

"Bądź moją kochanką". Powiedział to z uśmiechem, zdolnym przemienić anioła w rozpustnika. Zapomniał tylko dodać, że poszukuje też żony. Przecież żadna kobieta, nawet księżna, nie może marzyć o tym, aby zostać hrabiną Langley, jeśli za ojca ma zwykłego przemysłowika.

Moira przyłożyła głowę do zimnej framugi okiennej.

Gorzki uśmiech wykrzywił jej usta. Na co więc może mieć nadzieję cygańska mestiza? Nie zostałyby nawet kochanką hrabiego Langleya, a już na pewno nie macochą księcia Sheffielda.

Odwróciła się od okna. Z całego serca pragnęła przekonać samą siebie, że Devon jest równie okrutny i zły jak

wicehrabia Quentin, a ponadto tak przyzwyczajony do tego, że kobiety go psują, iż zatracił wszelką wrażliwość na ich uczucia.

Może wtedy potrafiłaby go zniecierliwić. Może wówczas zdołałaby o nim zapomnieć, tak jak przyrzekła.

Tymczasem jednak musi jakoś żyć. Za sprawą księcia pozytywne strony tego życia górowały nad złymi. Oto -czona jest przecież bogactwem i wygodą, o jakich kiedyś nawet się jej nie śniło. Ma swoje książki, a w stajniach wspaniałe konie, ma przyjaźń Elizabeth i małego Alfiego ... no i ma Charlesa, którego kocha jak własne dziecko. Gdyby mogła już nigdy więcej nie zobaczyć Devona Sto Gwyre, jej życie byłoby tak satysfakcjonujące, jak tylko kobieta może to sobie wymarzyć.

A jeśli pastor Kincaid nie myli się, że kłamstwo - nawet wobec samego siebie - jest grzechem, to w królestwie niebieskim Moira będzie takim samym wyrzutkiem, jak w królestwie szalonego króla Grzegorza.

Po powrocie do Langley Hall czas dłużył się Devonowi niemiłosiernie. Chwilami miał uczucie, że służy, odpowiedzialny za nakręcanie zegarów, zaniedbuje swe obowiązki. Ból w nodze znacznie zelżał, Devon mógł więc zrezygnować z laudanum. Odstawienie

narkotyku przyszło mu, o dziwo, łatwo, bez najmniejszego problemu, być może dlatego, że już w Białych Dębach zaczął zmniejszać dawki. Natomiast wszelkie próby, aby zapomnieć o Moirze, okazały się bezskuteczne.

Przez pierwsze trzy dni Devon pracowicie odwiedzał dzierżawców i zaznajomił się z każdym wpisem w księgach rachunkowych majątku, poczynionym w czasie jego nieobecności. Potem, przypomniawszy sobie o przyjemnym wrażeniu, jakie wywarł na nim nie zagracony londyński dom Moiry, kolejne dni poświęcił na usuwanie zbędnych mebli, zgromadzonych przez matkę i babkę w trzydziestu pokojach Langley Hall. Niektóre kazał zanieść na strych, inne do przybudówek. Dzięki takiej ilości zajęć prawie nie miał czasu na to, aby myśleć o Moirze bez przerwy, czynił to zaledwie dwadzieścia lub trzydzieści razy dziennie.

Noce były znacznie gorsze. Nawiedzała go we śnie - czasami jako syrena, wabiąca na zatracenie ze skalistego kornwalijskiego wybrzeża, innym razem jako kobieta z krwi i kości. W jej oczach błyszczały łzy, a gardłowy głos mówił, że nigdy nie zostanie jego kochanką, bo zapomniała, jak mu na imię.

Szóstego dnia postanowił spędzić popołudnie w towarzystwie Charlesa i Alfiego. Posłał więc Neda Bridgesa po chłopców. Była to jedyna jaśniejsza chwila w całym tym ponurym tygodniu. Z zażenowaniem stwierdził, iż chciwie przysłuchuje się chłopcom. Opowiadali, że jeżdżą na spacerki zakupionym przez Moirę powozikiem, zaprzęganym w kucyki i wraz z nią wiosłują po jeziorze oddzielającym obie posiadłości.

Wczesnym rankiem siódmego dnia, po raz pierwszy od operacji, Devon dosiadł konia i wybrał się na krótką przejażdżkę. Noga wkrótce dała o sobie znać, ale niezbyt dokuczliwie, nie musiał więc wracać do domu. Ból, który bez przerwy towarzyszył Devonowi od ponad trzech lat, minął bezpowrotnie. Czuł się teraz jak uciekinier, któremu udało się wyrwać z sali tortur. Pod wpływem impulsu skierował konia w stronę ulubionego miejsca na urwisku,

wysoko ponad kamienistą plażą, która stanowiła najbardziej na północ wysuniętą granicę majątku Langleyów.

Zanim dotarł do urwiska, pierwsze blade promienie słońca rozproszyły poranną mgłę, ale powietrze nadal było wilgotne i chłodne. Na dole, z nieprzerwanym, rytmicznym hukiem, fale rozbijały się o brzeg. Poryw przesyconego solą wiatru owiał mu twarz i przez rozpiętą pod szyją kurtkę do konnej jazdy wdarł się do środka. Hrabia zadrżał z zimna, ale nie chciał jeszcze wracać. Siedział zapatrzony na ocean i napawał się wiecznym spokojem bezkresnego horyzontu.

W pewnej chwili zza klifu wynurzył się jeździec i pogalopował wzdłuż linii wody. To była Moira. Wiatr rozwiewał jej włosy i suknię, ukazując nogi do kolan. W bezwstydnym zapomnieniu jechała na nie osiodłanej dereszowatej klaczy.

Dzika i wolna, nie skrępowana sztywnymi konwenansami społeczeństwa, sprawiała wrażenie, jakby była nierozdzielną częścią surowego kornwalijskiego krajobrazu, z pianistymi grzywami fal, krążącymi w górze mewami i smaganymi wiatrem drzewami, wczepiającymi się kurczowo w zwietrzałe skały klifów.

Ten widok zaparł Devonowi dech w piersi. Jego tęsknota, tak głęboka i wszechogarniająca, sięgnęła samej głębi jego jestestwa. Puls tętniący mu w uszach zagłuszał odgłos fal. Nagle dotarła do niego ta szokująca prawda. Devon nie tylko pożądał Moiry. On ją kochał.

Nie odrywał od niej wzroku. Tymczasem Moira zatrzymała klacz i, jakby wyczuwając jego obecność, spojrziała w górę. Na jeden, zapierający dech w piersiach, moment ich spojrzenia się spotkały. Potem gwałtownie popędziła konia z powrotem i zniknęła za klifem. Devon został sam, z całkowitą pustką w swoim wnętrzu. Czuł tylko ból przeszywający serce.

Dotkliwe poczucie samotności nie opuściło go przez cały dzień. Gdziekolwiek poszedł, cokolwiek robił, towarzyszyło mu wspomnienie tamtej chwili na osmaganym wiatrem

urwisku.

Pod wieczór Ned pomógł mu się przebrać do kolacji.

- Kapitanie, coś pana gnębi - stwierdził rzeczowo ordynans, skończywszy zawiązywać fular hrabiego. - Za dużo czasu spędza pan w samotności, takie jest moje zdanie. Leżąc w łóżku w Białych Dębach był pan bardziej radosny niż teraz, kiedy wróciliśmy do Langley Hall.

Strzepnął nitkę z atłasowego surduta w kolorze burgunda i odstąpił o krok, podziwiając swe dzieło.

- Jeśli szuka pan jakiegoś zajęcia dla swoich myśli, to dzisiaj rano przyszedł list od pańskiej matki.

- List od matki? Czemu, u diabła, nic mi nie powiedziałaś?

Ned spojrział na niego z urazą.

- Mówiłem, kapitanie. Dwukrotnie. Ale bujał pan w obłokach. Jest też list od kapitana Higginsa. Oba pisma trafiły najpierw do Londynu, więc pewnie zostały wysłane dość dawno temu. Położyłem je na pańskim biurku w bibliotece, na stercie innych listów, na które jeszcze pan nie odpowiedział.

Devon, przyzwyczajony do arogancji Neda, zignorował uszczypliwą uwagę ordynansa. Wsunął zegarek do kieszonki kamizelki.

- Dziękuję, Nedzie. Zabiorę je po drodze do jadalni. Kilka minut później, z dwoma listami w ręku, hrabia usiadł do samotnej kolacji.

Począł, aż lokaj naleje wina do kieliszka i poda mu

talerz, po czym otworzył pismo od kapitana Andrew Higginsa, przyjaciela z Whitehall, który informował o poczynaniach Wellingtona. Krótki list był zaskakująco niepokojący.

Napomykał o niebezpiecznych wieściach z kontynentu i jeszcze groźniejszej intrydze w kraju. Ludzie niechętni Wellingtonowi twierdzili, że jest on tylko sipajskim generałem, który niesłusznie przypisuje sobie zasługę pokonania Bonapartego. Plotki przybierały na sile i mówiło się nawet o odwołaniu Wellingtona z Kongresu Wiedeńskiego.

List kończył się słowami: "Na wypadek, gdyby sytuacja uległa pogorszeniu, bądź gotów na szybki powrót do Londynu i prześlij mi, proszę, adres pułkownika Stamdena. Nie znam miejsca jego pobytu".

Przez dłuższą chwilę Devon siedział w bezruchu, przetrawiając niepokojące nowiny.

Higgins nie należał do ludzi podatnych na histerię. Jeśli twierdził, że kłopoty są poważne, to oznaczało, że garniec wkrótce wykipi. Devon postanowił wysłać służącego do Northumberland, z wieściami dla Stamdena.

Zanim otworzył list od matki, zjadł wystygłą już kolację. Z doświadczenia wiedział, że będzie potrzebował dodatkowej energii, aby poznać kolejną zwariowaną historię z jej życia, jakie pędziła w statecznym otoczeniu Bath. Szczerze mówiąc, nie rozumiał, czemu tamtejsi mieszkańcy do tej pory nie zażądali, aby przeniosła się gdzie indziej, uwalniając ich od nieustannych skandali, które powodowało nader swobodne zachowanie matki.

List zaczynał się zwyczajowym błaganiem o zwiększenie "nędznej pensyjki", poza tym załączyła nie zapłacone rachunki od modystek, wytwórców czepków, szewców i innych zakładów zaspokajających damskie potrzeby.

Jak twierdziła, kiedy kompletowała stroje z myślą o nadchodzącym londyńskim sezonie, ku swemu przerażeniu odkryła, że wszystkie suknie wyszły już z mody. W związku z tym zmuszona była uszczuplić część swojego czasu przeznaczoną na rozliczne zobowiązania towarzyskie i zająć się zakupami nowej garderoby.

Całe to poświęcenie było zaś z myślą o Devonie, jako że bez wątpienia dostaną zaproszenia na te same przyjęcia. Nie może więc przynieść mu wstydu. Następna wiadomość miała go uszczęśliwić, albowiem zaoszczędziła synowi wydatków, znajdując w Bath wspaniałą krawcową, która bierze za ledwie połowę tego, co krawcowe w Londynie.

Na kolejnych stronach Devon znalazł, jak zwykle, mnóstwo plotek. List kończył się słowami: "Mam nowego adoratora. To czarujący człowiek, ogromnie grzeczny i dbający o

mnie. Na pewno go zaaprobujesz. Pochodzi bowiem z bardzo dobrej rodziny - dokładnie mówiąc, to wicehrabia. Fakt, że jest odrobinę ode mnie młodszy, no ale z drugiej strony, jak sam wiesz, zawsze wyglądałam o co najmniej dwadzieścia lat młodziej. Mój drogi przyjaciel przyznaje, że w sprawach miłości wiek nie ma znaczenia. Każdy więc widzi, iż jego charakter doskonale pasuje do mojej wrażliwej natury. Wkrótce zapewne zwróci się do ciebie z prośbą o moją rękę i błagam cię, przyjmij jego ofertę, gdyż całkowicie zawładnął moim sercem".

Devon jęknął. Bardzo kochał matkę, ale stwierdzenie, że ma rozum pchły, byłoby dla samej pchły obraźliwe. Ta podstarzała piękność desperacko pragnęła zachować resztki przemijającej młodości. W efekcie każdy, kto zgadzał się zaspokajając jej potrzebę pochlebstw, mógł ją sobie owinąć wokół palca. Tenże wicehrabia, kimkolwiek, był, prawdopodobnie nie różnił się od pozostałych zbankrutowanych szlachciców, którzy - od śmierci ojca Devona - widzieli w matce szansę na wejście do jednej z najbogatszych rodzin w Anglii.

Do tej pory Devon z sukcesem zniechęcał wszystkich adoratorów. Oświadczał, im, iż to on trzyma w rękach rodzinne finanse i jeśli matka wyjdzie za mąż wbrew jego woli, zostawi ją bez grosza. Z najnowszym "kochankiem" zapewne poradzi sobie bez problemu. Nie zachwycała go jednak ta perspektywa i z niechęcią myślał o kolejnej nieprzyjemnej konfrontacji.

Ledwie Devon dał znak lokajowi, aby sprzątnął ze stołu i nalał mu kieliszek brandy, doszedł go przez okno tętent kopyt końskich. W chwilę później Partridge zaanonsował markiza Stamdena. Peter wpadł do pokoju jak szalony.

Był bez kapelusza i od stóp do głów pokryty kurzem.

Gruba warstwa przywarła do jego bryczesów z kozłej skóry i kurtki do jazdy. Wierzchem i przytłumiła zazwyczaj nieskazitelną blask wysokich butów. Kurz zmieszany z potem zostawił brudne smugi na czole markiza, a linie biegnące wokół ust przemienił w muliste rzczułki. Najwyraźniej Stammen jechał bardzo szybko i przybywał z daleka, ale skąd, tego Devon nie potrafił sobie wyobrazić. Aby przemierzyć drogę do Northumberland i z powrotem w ciągu tygodnia, Peter musiałby dosiadać Pegaza.

Devon z powitalnym uśmiechem na twarzy podniósł się z krzesła.

- Na wszystkie świętości, nigdy bardziej nie ucieszył mnie czyjś widok. Ogromnie już mi dojadło własne towarzystwo. - Wskazał krzesło z prawej strony. - Siadaj, przyjacielu. Wyglądasz, jakbyś potrzebował mocnego drinka i porządnego posiłku. W tej właśnie kolejności.

- Dziękuję. Na początek wystarczy gorąca kąpiel. I pożycz mi proszę, lokaja. - Stammen uśmiechnął się nieśmiało. - Chcę złożyć wizytę pastorowi Kincaidowi, zanim opuści mnie odwaga. Wskaż mi tylko kierunek.

- Z przyjemnością, ale nie dzisiaj. Zanim doprowadzisz się do porządku, minie ósma, a w Kornwalii wcześniej kładziemy się spać. Zastałbyś pastora w koszuli nocnej.

- Do diaska! Masz rację. Zupełnie straciłem poczucie czasu. A więc jutro z samego rana. - Stammen usiadł, wzniesając przy tym chmurę kurzu. - Wypiję drinka, ale zanim coś zjem, najpierw wolałbym się wykapać. Każ podać kolację do biblioteki. Mam z tobą mnóstwo spraw do omówienia.

- Ja też - powiedział Devon. - Otrzymałem niepokojące wieści z Whitehall i prośbę, żeby cię odnaleźć. Wellington chyba potrzebuje wsparcia ze strony tych z nas, którzy mają wpływ u regenta.

- Cóż, moje ma. Pójdę za nim nawet do piekła, jeśli o to poprosi. - Stammen wznosił szklaneczkę. - Chociaż, prawdę mówiąc, już to zrobiłem.

Pociągnął spory łyk i wyraźnie się rozluźnił.

- A propos wsparcia. Czy zgodziłbyś się towarzyszyć mi podczas jutrzejszej wizyty u pastora? Jego córka może i nie dostrzega moich niedostatków, ale oferta małżeństwa ze strony jednorękiego gargulca będzie zapewne nielichem szokiem dla jej ojca. Może,

gdybyś zaświadczył o moim rzetelnym charakterze i wielkim bogactwie, złagodziłbyś cios? Devon skrzywił się słysząc, jak przyjaciel sam siebie oskarża sarkastycznie.

- Jeśli chcesz, pojedź z tobą, ale tylko po to, aby wesprzeć cię duchowo. Uważam bowiem, że poręczenie nie jest konieczne.

- Dziękuję. - Peter westchnął z ulgą. - Potem pojedziemy do Białych Dębów. Odwiedzisz księżną i Charlesa, a ja będę błagał Elizabeth o rękę.

Devon zakrzuszył się brandy.

\_ Dla wszystkich zainteresowanych będzie chyba lepiej, jeśli udasz się na tę wizytę beze mnie - powiedział, odzyskawszy oddech. - Obecnie księżna i ja nie jesteśmy w najlepszych stosunkach.

\_ Znowu się pokłóciliście? - Stammen spojrzał na Devona z odrazą. - Co tym razem zrobiłeś? I nie mów, że to nie była twoja wina. Widziałem przecież, jak ją podle traktujesz.

Na twarz Devona wypełził rumieniec.

\_ Nie mam zamiaru wykręcać się od winy - powiedział nieśmiało. - Leży całkowicie po mojej stronie.

\_ A więc rozwiązanie jest proste. Musisz przeprosić. Devon unikał przenikliwego wzroku przyjaciela.

\_ Nie jestem pewien, czy Moira przyjmie przeprosiny.

Szczerze mówiąc, wątpię, aby rzuciła mi linę na ratunek, gdybym wpadł do jamy pełnej żmij.

\_ Bzdura. Pokazała już, że zrobi wszystko, aby zapewnić szczęście Charlesowi, a ty dla chłopaka stałeś się bohaterem. Kłótnia między tobą i jego macochą niekorzystnie się na nim odbija. - Stammen dopił brandy. - Jakiegoż to straszego postępu się dopuściłeś, że księżna nie może ci tego wybaczyć?

Devon z uwagą obserwował niewielką ilość bursztynowego płynu na dnie szklaneczki, jakby w brandy szukając pomocy. Nie znalazł jednak żadnych odpowiednich słów.

Stammen z trzaskiem odstawił pustą szklankę.

\_ Dobry Boże! Nie chcesz chyba powiedzieć, że uczyniłeś księżnej sprośną propozycję?

\_ Nigdy żadnej kobiecie nie zaproponowałem nic sprośnego ~ odparł oburzony Devon. - Zasugerowałem tylko, że skoro łączy nas odpowiedzialność za Charlesa, przez kolejne czternaście lat będziemy w bliskim kontakcie i ... - Poruszył się niespokojnie. Kiedy spojrzał na próbę uwiedzenia Moiry oczyma innego mężczyzny, cała sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej.

- Straciłeś rozum? - zapytał markiz niebezpiecznie cichym głosem. - Być może ona jest najbardziej godną pożądaną kobietą, ale nie daje ci to jeszcze prawa, aby traktować macochę podopiecznego tak jak swoje tancerki z opery. - Oczy Stammena sypnęły gniewnymi iskrami. - Mam wielki szacunek dla kobiety, która potrafiła wydzwignąć się poza ramy wyznaczone pochodzeniem. Niewielu mężczyzn tego dokonało. Zasłużyła na przeprosiny i nie bacząc na naszą przyjaźń, niech mnie diabli, jeśli nie wyzwę cię na pojedynek, chyba że naprawisz, co zepsułeś.

- Przepraszę - powiedział stanowczo Devon. - Ale nie z powodu twojej groźby. Obaj doskonale wiemy, iż znacznie lepiej od ciebie posługuję się bronią palną. Przepraszę, ponieważ sam uznałem to za konieczne.

Stammen skinął głową.

- Dobrze. A więc doszliśmy do porozumienia. A teraz, jeśli mi wybaczysz, wezmę kąpiel. Jestem pewny, że szanowny Partridge już kazał nagrzać dla mnie wodę.

Podniósł się z trudem, zeszytniał bowiem po długiej jeździe w siodle.

- Coś mi przyszło do głowy - powiedział z uśmiechem, który zmroził Devona. - Nie bez powodu tak często naskakujecie na siebie z księżną.

Devon zmarszczył brwi.

- Tak?

- Pożądanie, jakie do niej czujesz, może się okazać znacznie głębszym uczuciem. Serce Devona zabiło mocniej. Stamden stanowczo zbyt wiele się domyślał.

- A jeśli tak, co twoim zdaniem powinienem zrobić?

- zapytał zdławionym głosem.

- Myślę, że znasz odpowiedź. - Stamden wzruszył ramionami. - Jeśli przed złożeniem honorowej oferty powstrzymuje cię skromne pochodzenie Moiry, rozmawiasz z niewłaściwym człowiekiem. Moja i tak niewielka wiara w słuszność angielskich struktur społecznych zginęła śmiercią tragiczną na Półwyspie. Stwierdziłem, że nie potrafię odróżnić krwi niebieskiej od czerwonej, kiedy wypływa z rany na piersi.

- Chodzi o coś więcej - powiedział Devon, rozmyślając na głos. - Mogę ofiarować serce tej pięknej diablicy, ale ona zupełnie nie odpowiada moim wyobrażeniom idealnej żony.

- Tak delikatnej, tak słodkiej i uległej jak Elizabeth? To ją przecież nazwałeś idealną matką i żoną. Tak, księżna jest całkiem inna - zgodził się Stamden. - Pewnie zatopiłaby w tobie nóż już przy pierwszej okazji, gdyby cię przyłapała z tancerką. Z drugiej jednak strony, mając taką żonę, szybko byś stracił zainteresowanie panienkami le~ prowadzenia. - Przeorana blizną twarz Stamdenu przybrała wyraz zadumy. - Nie zrozum mnie źle. Jestem ogromnie wdzięczny, że tak wspaniała kobieta jak Elizabeth chce tego, co jeszcze ze mnie zostało. Z niecierpliwością oczekuję spokojnego życia, które mnie zadowoli. A przecież jeszcze przed miesiącem uznawałem to za niemożliwe. Jednak zastanów się, przyjacielu, czy ty także oczekujesz od życia ciszy, spokoju i zadowolenia?

Po wyjściu Stamdenu, Devon długo siedział w jadalni, przetrawiając niepokój, jaki zasiał w jego głowie markiz. Po raz pierwszy pozwolił sobie rozważyć kandydaturę Moiry na żonę i towarzyszkę życia, a nie tylko na kochankę ogrzewającą mu łóżko.

Ku swemu zaskoczeniu stwierdził, że to bardzo pociągająca perspektywa. Moira ma nie tylko wszystkie atrybuty kobiecości, które wywołują palące pożądanie. Ma również zalety, jakich wcześniej Devon oczekiwał wyłącznie od mężczyzny - przyjaciela. Jest uczciwa, lojalna, odważna, o żywej inteligencji. Nigdy przedtem nie przyszło mu do głowy, że żona może mu być jednocześnie przyjaciółką, kochanką, a także matką jego dzieci. Większość znajomych, którzy narzucili sobie jarzmo małżeńskie tylko po to, aby uzyskać dziedzicę, już w sześć miesięcy po ślubie ponownie zaczynało się rozglądać za spódniczkami. Hrabia uśmiechnął się pod nosem. Stamden ma rację. Mając za żonę ognistą Moirę, nie będzie potrzebował operowych tancerek.

Nagle zauważył, że oczekuje ranka z taką niecierpliwością i takim zapalem, jakich zabrakło w jego życiu w chwili, kiedy poświęcił ideały swojej młodości na krwawym ołtarzu pól bitewnych Hiszpanii.

Elizabeth przyozdabiała obrus kościelny, który zamierzała podarować ojcu na Gwiazdkę, a Moira pisała list do swego plenipotenty, kiedy John Lokaj - jak przezwał Footmana Alfie - przyniósł karty wizytowe markiza Stamdenu i hrabiego Langleya.

Elizabeth zerwała się na równe nogi, upuściła robótkę i zawołała:

- Wprowadź ich natychmiast. - Najwyraźniej zapomniała, iż nie do niej należy wydawanie takich poleceń.

- Tak, proszę pani - odpowiedział John z błyskiem w oku, a potem spojrzał na Moirę, oczekując potwierdzenia.

Księżna zapragnęła rozkazać, aby hrabiemu pokazano drzwi, jednak się powstrzymała. Nie chciała pozbawić radości towarzyszkę. Kiwnęła więc głową i poleciła przygotować herbatę oraz ciastka. Zamierzała jednak opuścić salon i zostawić Elizabeth sam na sam z gośćmi.

Niestety, nie zdążyła jeszcze wyjść, kiedy drzwi się otworzyły. Stamden i Elizabeth natychmiast odnaleźli się wzrokiem.

- Moja droga, jakże ja za tobą tęskniłem - powiedział markiz, ujmując jej dłoń.

Łzy wypełniły oczy Elizabeth.

- A ja za panem, milordzie. Myślałam o panu każdego dnia. Jakim cudem zdołał pan pokonać trasę do Northumberland i z powrotem w tak krótkim czasie? Nie śmiałam marzyć o pańskim rychłym powrocie.

Stamden roześmiał się.

- Nie dotarłem do domu. Trzeciego dnia podróży uświadomiłem sobie, że ważniejsza jest dla mnie rozmowa z pastorem Kincaid niż doglądanie spraw majątku. No i wróciłem.

- Chciał pan rozmawiać z tatą? Ale w jakim celu?

- Powód był zwyczajny, kochana. Mam jego zgodę na to, aby teraz zwrócić się do pani. - Stamden spojrzał na Moirę. - Jeśli wybaczysz nam, wasza wysokość, chciałbym zabrać pani towarzyszkę na spacer do ogrodu.

- Obawiam się, że już wkrótce moją byłą towarzyszkę - odpowiedziała Moira. Na widok nieopisanej radości i niedowierzania na twarzy Elizabeth jej oczy zaszyły łzami. - Masz moją zgodę, milordzie, a także moje gorące poparcie, choć jak sądzę, nie będzie ci ono potrzebne.

Patrzyła, jak ten wysoki, naznaczony wojną mężczyzna i ta drobna, prosta dziewczyna wychodzą ramię przy ramieniu przez drzwi balkonowe na taras, i wtedy poczuła, jak coś ściska ją w gardle.

- Nie przypuszczałem, że kiedykolwiek będę zazdrościł Stammenowi - odezwał się Devon. W tym momencie Moira uświadomiła sobie, że została sama z mężczyzną, którego miała nadzieję już nigdy więcej nie zobaczyć. Na szczęście John właśnie wniósł tacę, usiłowała więc ukryć swoje zmieszanie, nalewając herbatę.

Devon przyjął filiżankę, ale podziękował za ciastka.

Siedział dokładnie naprzeciwko niej, wyciągnął długie nogi przed siebie, a zmysłowe usta rozchylił w uśmiechu. Moira czuła boleśnie, jak emanuje z niego ta siła, która ją przyciągała do hrabiego. Miała wrażenie, że za chwilę wyrwie jej serce z piersi.

Nie odważyła się spojrzeć na Devona. Nie chciała, aby dostrzegł, jak wielki wywiera na nią wpływ. Przemierzała wzrokiem pokój, uporczywie unikając jego spojrzenia. W pewnej chwili, ku swemu przerażeniu, zauważyła pod biurkiem pantofle. Jak zwykle zrzuciła je z nóg, kiedy siadała na krześle.

Popatrzyła na swoje bose palce widoczne spod sukni. To jej przypomniało poprzedni ranek. Devon, siedząc na szczycie klifu, obserwował, jak pędziła brzegiem morza na nie osiodłanym koniu i bez butów. Poczuła, że oblewa się potem. Czemu, och czemu musiał przyjechać tu z markizem? Tamten przecież nie potrzebuje pomocy przy oświadczeniach.

- Towarzyszyłem Stammenowi podczas jego wizyty na plebanii i na jego prośbę jestem teraz tutaj - powiedział Devon, jakby czytał w jej myślach. - Bardzo się denerwował, choć zupełnie nie rozumiem dlaczego.

Moira wymruczała coś w rodzaju, że takie chwile zawsze muszą być trudne. A potem, przypomniawszy sobie jeszcze trudniejszą sytuację, w jakiej niedawno znalazła się wraz z hrabią, nagle zamilkła.

Nie zamierzała niczego mu ułatwić, Devon zrozumiał od razu, lecz nie mógł jej winić.

Honorowe oświadczenia Petera, których był świadkiem, wyraźnie uświadomiły mu nieprzyzwoitość własnej oferty, jaką złożył tej, siedzącej po drugiej stronie stolika, pięknej kobiecie.

Odchrząknął.

\_ Jestem pani winien przeprosiny, wasza wysokość \_ powiedział. - Mam nadzieję, że je pani przyjmie, kiedy powiem, jak bardzo żałuję swego obrzydliwego zachowania i obiecuję, że jeśli tylko da mi pani szansę, nic takiego więcej się nie powtórzy.

Moira niedowierzająco uniosła brwi.

- Szansę na co, milordzie?

Zadrżał, słysząc chłód w jej głosie.

\_ Szansę udowodnienia, że nawet najgorszy łajdak może się poprawić i zostać przyjacielem.

\_ A więc teraz chce pan przyjaźni? Oj, chyba nie, milordzie. Sprawia pan wrażenie zbyt kapryśnego, aby mógł kiedykolwiek stać się prawdziwym przyjacielem, któremu mogłabym zaufać.

Devon rozgorzał gniewem.

\_ Można mi przypisać wiele wad, pani, ale kapryśny nie jestem. Zupełnie nie rozumiem, skąd się wzięło u pani tak błędne mniemanie.

\_ Prawdopodobnie stąd, że w ciągu miesiąca zmienił się pan z mojego zaprzysięgłego wroga w niedoszłego kochanka, a teraz jeszcze ma nadzieję na przyjaźń. Odpowiada to właśnie znaczeniu słowa "kapryśny" według słownika doktora Johnsona. Ale oczywiście, mogę się mylić. Jestem przecież tylko zwykłą kobietą i nie miałam tego przywileju, aby studiować w Eton lub Oksfordzie, tak jak pan, milordzie. - Zmarszczyła czoło. - A może zawodzi mnie pamięć? Czyż zaledwie przed kilkoma dniami nie zadeklarował pan, że nigdy nie zostaniemy przyjaciółmi? Cóż spowodowało zmianę pańskiego stanowiska w tej sprawie?

Devon czuł się tak, jakby złapał go wir wodny i z każdą minutą wciągał coraz głębiej w niebezpieczne odmęty, pełne rekinów ucieleśniających jego własne grzechy.

Przyjeżdżając do Biały Dębów był pewny, że samymi przeprosinami zdoła naprawić zło. Teraz jednak silna erozja zżerała tę pewność. Cóż za ironia. Po wręcz legendarnych sukcesach z kobietami, które nic dla niego nie znaczyły, nie potrafi dojść do porozumienia z jedyną kobietą, jaką kiedykolwiek kochał.

Zdesperowany rzucił przynętę, której Moira nie mogła się oprzeć.

- Jeśli nie z innych powodów, to porzucimy oręż choćby tylko dla dobra Charlesa - powiedział, siłąc się na spokój, podczas gdy w rzeczywistości pragnął tylko jednego.

Wziąć Moirę w ramiona i pokazać, że ona potrzebuje go tak samo jak on jej. - Jeśli się nie mylę, chłopiec szczerze się przywiązał do nas obojga. Rozłam między nami głęboko go zrani.

Twarz Moiry pobladła nagle, a jej piękne oczy pociemniały od emocji, których Devon nawet nie próbował zrozumieć.

- Ma pan rację - powiedziała swym miękkiem, gardłowym głosem. Spuściwszy głowę, w głębokim zamyśleniu, obserwowała własne ręce splecione na podołku. - Dobrze - zgodziła się w końcu. - Dla dobra Charlesa zostaniemy,

jeśli nie prawdziwymi przyjaciółmi, to przynajmniej uprzejmymi wobec siebie znajomymi.

Devon, który do tej pory wstrzymywał oddech, wypuścił powietrze z płuc. Pierwszy krok został zrobiony. Wprawdzie miał nadzieję na więcej, ale zawsze lepsze coś niż nic.

Uśmiechnął się do siebie. W końcu osiągnie sukces, a będzie on tym słodszy, że po raz pierwszy Devon będzie musiał na niego zapracować.

## Rozdział jedenasty

Moira nadal próbowała zrozumieć, czemu jej przyzwolenie na to, aby zostali zaledwie "uprzejmymi wobec siebie znajomymi", wywołał aż tak wielkie zadowolenie na twarzy Devona, kiedy z ogrodu wróciła Elizabeth z markizem.

Zaszła w nich oszałamiająca zmiana. Zazwyczaj starannie uczesane kasztanowe włosy Elizabeth zwisały w nieładzie, jej oczy błyszczały, policzki były zaczerwienione, a opuchnięte usta sugerowały, że przed chwileczką zostały pożądliwie całowane.

Wymuskany markiz miał taką minę, jakby jeszcze przed dziesięcioma minutami zebrał na ulicy, a teraz nagle znalazł się przy suto zastawionym stole.

Moira dostrzegła u Devona identyczne zaskoczenie, jakie - była tego pewna - musiało się malować na jej twarzy. Zafascynowana, obserwowała przyjaciółkę. Ta rzuciła markizowi gorące spojrzenie, potem ujęła go za rękę i oświadczyła:

- Życz mi szczęścia, wasza wysokość. Markiz Standen poprosił mnie o rękę, a ja



przyjęłam oświadczenia.

Widać było wyraźnie, iż ta nieodrodna córka wiejskiego pastora odkryła w sobie coś, czego istnienia nikt, kto oceniał tylko jej przeciętną aparycję, nawet nie podejrzewał. A jeśli głupawy uśmiech markiza mógł być tego dowodem, to zapewne Peter zaczął już zdawać sobie sprawę, ile radości przyniesie mu zgłębianie owej tajemnicy.

Devon podszedł do Elizabeth, obdarował ją braterskim uściskiem, a następnie potrząsnął dłonią markiza.

- Moje gratulacje, przyjacielu - powiedział z uśmiechem. - Śmiem podejrzewać, iż określenie "spokój i zadowolenie" właśnie nabrało zupełnie nowego znaczenia.

Teraz Moira, uściskawszy najpierw Elizabeth, w obie dłonie ujęła rękę Stamdena. Była zbyt poruszona, aby słowami wyrazić swoje uczucia. Zadzwoiła tylko na Johna Footmana i poprosiła, aby przyniósł z piwnicy kilka butelek najlepszego szampana. Następnie zebrała całą służbę, żeby wszyscy mogli wznieść toast na cześć szczęśliwej pary.

Kucharka i młodzianka pokojówka, którą Moira zabrała z Londynu, uroniły kilka łez, a John Lokaj odważył się nawet pocałować Elizabeth w policzek. Wyszepał jej też kilka słów do ucha, które sprawiły, że dziewczyna zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

Czarny Jack bez zwłoki poszedł w ślady lokaja. Moira wstrzymała oddech. Obawiała się, że ojciec będzie chciał opowiedzieć teraz jedną z bardziej sprośnych historyjek. Lecz nie. Zachowywał się zaskakująco poprawnie. A przynajmniej tak jej się zdawało, dopóki nie przyłapała go na częstowaniu szampanem Charlesa i Alfiego.

Devon, na prośbę Moiry, wzniósł toast.

- Za dwoje ludzi, których złączyło przeznaczenie i którzy prawdziwie na siebie zasługują. Oby ich szczęście było zawsze tak wielkie, jak teraz.

Wszyscy zawołali:

- Brawo! Brawo!

Elizabeth od razu wypila prawie pół kieliszka. Moira była pewna, że to pierwszy szampan w życiu przyjaciółki. Kiedy załaskotały ją bąbelki, Elizabeth zmarszczyła nos i oświadczyła bez tchu:

- To najbardziej akuratywny toast, milordzie. Rzeczywiście, dzięki przeznaczeniu znalazłam prawdziwą miłość. - Spojrzała na markiza wymownie, po czym cichutko czknęła. - Dziedzic twierdzi, że słowo "Moir" w starym języku oznacza "przeznaczenie", a każda kobieta, która nosi to imię, zmienia życie tych, którzy ją otaczają. - Uśmiechnęła się szczęśliwie. - I tak właśnie się stało.

- To bardzo intrygujące. A zatem w języku celtyckim to imię znaczy "przeznaczenie" - powiedział Devon, zwracając się do Reardona.

Czarny Jack mrugnął do córki, a jej serce nagle zamarło.

- No cóż, przypuszczam, że może oznaczać to samo również w innych starożytnych językach - powiedział z przebiegłym uśmiechem. - Nie mam pojęcia. Na dobrą sprawę nigdy się nie nauczyłem mówić po celtycku.

Zmarszczone czoło Devona wyrażało zdziwienie. Na szczęście, choć rzucił Moirze pytające spojrzenie, nie drażył dłużej tego tematu. Dopiero później, kiedy zostali sami i rozmawiali o wydarzeniach dnia, hrabia wzniósł toast za Moirę. Uświadomiła sobie wówczas, iż ojcu zostało jeszcze kilka kart w rękawie.

- Za przeznaczenie - powiedział Devon tak cicho, że tylko ona go usłyszała. - Nieważne skąd się wywodzi to słowo ... niech zawsze Moira patrzy łaskawym okiem na łajdaków.

Następny tydzień wypełniła gorączkowa krzątanina.

Pierwsze zapowiedzi Elizabeth i markiza - mimo protestów pastora obawiającego się, że z tak pospiesznego ślubu ludzie mogą wyciągnąć jak najgorsze wnioski - miały być odczytane już w najbliższą niedzielę.

- Niech sobie myślą, co chcą - powiedziała Elizabeth.

- Nic mnie to nie obchodzi. Ani markiz, ani ja nie jesteśmy zwolennikami długiego

narzeczeństwa.

- I dobrze, takie jest moje zdanie - zwierzyła się Moirze kucharka, gdy księżna zajrzała do kuchni, aby sprawdzić, jak postępują prace przy weselnym torcie. - Zaledwie wczoraj wieczorem przyłapałam te ptaszki, jak wymykały się do kuchennego ogrodu. Chcieli sobie pogruchać w samotności. - Złośliwy uśmiezek wykrzywił jej pulchną twarz. - Trzy tygodnie to za krótko, aby brandy odpowiednio nawilżyła tort, ale tyle musi wystarczyć. Gdybyśmy pozwolili ciastu dojrzewać tyle, ile trzeba, podawalibyśmy je akurat na chrzciny.

Moira, choć niechętna zabawom, czuła się w obowiązku wydać weselne śniadanie w Białych Dębach, ale pod warunkiem, że obecni będą tylko członkowie rodziny i najbliżsi przyjaciele. Devon nie miał takich obiekcji. Nastawał, aby zaprosić całą okoliczną szlachtę na bal zaręczynowy, który zaplanowano na sobotni wieczór w Langley Hall. Zapędził już służbę do przygotowań. Aby zdążyć na czas, musieli pracować przez całą dobę.

Wystarczyło jedno tylko spojrzenie błyszczących oczu Elizabeth, aby Moira zrozumiała, że musi wziąć udział w uroczystości. Mimo to z niechęcią myślała o tym, że będzie musiała pokazać się publicznie. Podejrzewała, iż markiz odczuwał dokładnie to samo i to z tych samych powodów. Oboje, choć każde na swój sposób, byli nieprzystosowani do życia wśród ludzi i przedkładali prawie zupełną samotność nad chciwe spojrzenia śmietanki towarzyskiej, czego tacy ekstrawertycy jak Elizabeth i Devon nie mogli pojąć.

Moira spotkała się z okoliczną szlachtą zaledwie raz, kiedy Blaine zabrał ją na comiesięczne spotkanie stanowiące ostoję wiejskiego życia towarzyskiego. Zapamiętała to jako najbardziej nieprzyjemny wieczór w swoim życiu. Przyczyniły się do tego wysiłki hrabiny Langley, która pragnęła, aby wszyscy obecni utarli nosa temu "nic", które uwiodło jej młodszego syna.

W rezultacie jedyną osobą, jaka zamieniła z Moirą słowo, była najstarsza córka pastora, osoba życzliwie nastawiona do całego świata. Blaine poprowadził Moirę do tańca, którego nauczył ją w sekretnym miejscu ich spotkań, a potem z ponurą miną uległ jej prośbie i odwiózł Moirę do domu.

Nigdy później nie zaproponował już, aby towarzyszyła mu na podobnym spotkaniu. Jako księżna Sheffield również nie udzielała się towarzysko. Podczas rzadkich okresów, kiedy książę czuł się na tyle dobrze, aby wyjechać do Kornwalii, zostawiając doktorów w Londynie, spędzali czas sam na sam w Białych Dębach.

Teraz, cztery lata później, Moira musi, jak na ironię, wysyłać zaproszenia do ludzi, którzy niegdyś ze wszystkich sił starali się ją upokorzyć. Ileż by teraz dała za to, aby się rozchorować i zamiast na bal, pójść do łóżka.

- Głowa do góry. Pokaż tym sztywniakom, że Reardonowie nie są gorsi od nich - powiedział Czarny Jack, kiedy zwierzyła mu się ze swej niechęci do spotkania z sąsiadami. Zaraz potem dodał, iż on sam - choć bardzo nad tym boleje - nie będzie mógł wziąć udziału w balu. Obiecał spędzić ten tydzień u chorego przyjaciela w Penryn. Sobota nadeszła zbyt szybko. Jakby w odpowiedzi na jej błagania, Moirę potwornie rozboleła głowa. To doskonała wymówka, aby pozostać w bezpiecznych murach Białych Dębów. Nie mogła jednak odbierać radości Elizabeth. Tak więc, w chwili, kiedy słońce zachodziło za horyzont, Moira znalazła się wraz z przyjaciółką w karocy księcia, zmierzającej do Langley Hall. Tego wieczoru włożyła jedną z niewielu swoich modnych, czarnych sukien.

Moira tylko raz widziała Langley Hall - ze szczytu odległego wzgórza, dokąd razem z Blaine'em pojechała na przejażdżkę pewnego słonecznego popołudnia podczas ich ostatniego wspólnego tygodnia. Z bliska budynek sprawiał wrażenie elegantszego, niż to sobie wyobrażała. Był mniejszy i młodszy od Białych Dębów o co najmniej sto lat. Główną część wieńczyła kopuła, a skrzydła nadawały mu symetrię, jakiej brakowało "antycznej kupie kamieni" - tak bowiem książę określał Białe Dęby.

Moira nieźle znała historię Langley Hall, gdyż Blaine wciąż opowiadał o swoim domu.

Pysznił się faktem, że budynek został zaprojektowany i wzniesiony około roku 1680 przez

młodego Johna Vanbrugha, który później zaprojektował pałac Blenheim. Rzeczywiście, patrząc teraz na Langley Hall, Moira uznała, że bardziej przypomina miniaturowy pałac niż typową wiejską rezydencję. Nawet rozliczne kominy skonstruowano na kształt baszt. Kiedy karetą Moiry zatrzymała się przed płaskimi schodami, wiodącymi do głównego wejścia, z rzędów rozświetlonych okien o delikatnych łukach złocisty blask spływał na zapadający zmierzch.

\_ Złoty pałac złotowłosego rycerza - mruknęła, przypominając sobie cygańską legendę, a potem zbesztła samą siebie, gdyż ta myśl przyspieszyła jej puls i wywołała uczucie miękkości w kolanach.

Lokaj w zielono-złotej liberii pomógł obu paniom wyjść z karocy. Na szczycie schodów czekali już hrabia Langley i markiz Stamden, zapraszając przybyłych do sali balowej. Przypominali dwie figury szachowe. Markiz ubrany był jak zwykle w elegancką czerń, a hrabia w biały brokat i złotą atlasową kamizelkę. Złocista koronka tworzyła obramowanie rękawów.

- Witajcie w moim domu - powiedział Devon. Poczekał, aż markiz poda ramię Elizabeth, i sam zaoferował swoje Moirze. - Nigdy nie wyglądałaś piękniej. Jak to jest, pani, że czerń czyni cię tak zachwycającą, podczas gdy innym kobietom nadaje niezdrowy, malaryczny odcień?

Nie czekając na odpowiedź, wprowadził Moirę do przestronnego holu, którego podłogę ułożono z metrowych, czarno-białych płytek marmurowych. Moirę ogarnęła przemożna chęć śmiechu.

- Niesamowite. Właśnie uznałam, że wyglądacie z markizem jak dwie figury szachowe, a tu widzę coś, co przypomina wielką szachownicę.

- Bo to jest szachownica. Najlepszy widok rozciąga się z balkonu powyżej - potwierdził Devon. - Mój znakomity przodek, ten, który kazał wznieść główny budynek, był namiętym graczem. Często, aby zabawić gości, przebierał lokaj i pokojówki w stroje figur szachowych i rozgrywał na podłodze partie szachów. Powiadają, że sam król wybrał się tu kiedyś z Londynu, aby rozegrać partyjkę, którą - oczywiście - wygrał.

- Oczywiście - roześmiała się Moira.

\_ Czy znane ci są, pani, różne szachowe strategie? - zapytał dziwnie ochryłym głosem. Skinęła głową.

- Tak. Księżę nauczył mnie grać.

\_ A zatem wiesz, że w pewnych sytuacjach biały skoczek może zaanektować czarną królową?

Znowu to robi, bawi się w te głupie, nieprzyjemne gierki, pomyślała. Zdecydowanym ruchem uniosła głowę i spojrzała hrabiemu prosto w oczy.

\_ Tylko wtedy, jeśli królowa jest głupia i pozwoli, aby zostawiono ją bez ochrony. A żadna kobieta, godna miana królowej, nigdy nie będzie tak nieostrożna.

\_ Uważasz więc pani, że gra zakończy się remisem?

- Jestem pewna, milordzie.

Roześmiała się miękko.

\_ Kiedy po raz pierwszy grałem z ojcem, dał mi mądrą radę: "Nigdy nie bądź zbyt pewny swego. Pamiętaj, że każda gra kończy się dopiero wraz z ostatnim ruchem".

Kilka chwil później Devon z Moirą, wspartą o jego ramię, zeszli po schodach wiodących do wielkiej, rześcicie oświetlonej sali balowej. Orkiestra grała właśnie pierwsze takty kadryla. Moirę przeszył dreszcz. Przy tej samej melodii tańczyła z Blaine'em podczas owego nieudanego wieczoru sprzed czterech lat. Zastygła w bezruchu, a w jej pamięci odżył obraz słodkiego chłopca, którego tak okrutnie zraniła.

\_ Co się stało? - zapytał zaniepokojony Devon. - Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha. Na moment zamknęła oczy. Pragnęła odegnać bolesne wspomnienia.

\_ Nic takiego. To tylko niewielki ból głowy. Jeśli odprowadzi mnie pan do krzesła, będzie mógł zabawić gości. - Na jej twarzy ukazał się wymuszony uśmiech. - Jestem pewna, że

miejscowe piękności z niecierpliwością oczekują tańca z panem.

- Wolałbym zatańczyć z tobą - powiedział Devon, obdarzając ją leniwym, prowokacyjnym uśmiechem, który wywołał w niej przyspieszone bicie serca. - Nieważne, czy w pantoflach, czy bez nich.

- Mam pantofle - stwierdziła z oburzeniem. - Jednak o tańcu nie ma mowy. Może nie zauważył pan tego, ale nadal jestem w żałobie.

Devon odsunął Moirę, robiąc miejsce parze, która wraz z trzema innymi zamierzała właśnie utworzyć kolejną figurę taneczną.

- Och tak, zauważyłem. Ale choć, jak już wcześniej wspomniałem, bardzo ci dobrze w czarnym, nie mogę się doczekać, kiedy cię ujrzę w żywszych kolorach. Mam uczucie, że są dla ciebie stworzone.

Moirze zaparło dech w piersiach.

- Czemu usiłujesz mnie sprowokować? - wydusiła z trudem. - Złożyłeś przecież uroczystą obietnicę, że nigdy więcej nie będziesz mówił takich rzeczy, a ja zgodziłam się na ...

- Na to, abyśmy zostali "uprzejmymi wobec siebie znajomymi". Jeśli dobrze pamiętam, tak to brzmiało. - Obrzucił ją spojrzeniem spod półprzymkniętych powiek. - Ustalmy jednak pewne sprawy, moja droga. Obiecałem nigdy więcej nie prosić cię o to, abyś została moją kochanką, i dotrzymam słowa. Lecz nigdy nie obiecywałem powstrzymać się od tego, żeby ci mówić, iż jesteś najpiękniejszą i najbardziej godną pożądaną kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Lepiej już proś, abym przestał oddychać. To będzie dla mnie łatwiejsze. Sądzę jednak, że rozwiemy ten temat w bardziej sprzyjających okolicznościach.

Spojrzał ponad głową Moiry tam, gdzie Peter stał koło

Elizabeth, która szczebiotała z grupką miejscowych dziedziców i ich żonami. Ponury wyraz twarzy markiza czynił go jeszcze bardziej demonicznym niż zwykle.

- Powinniśmy ruszyć Peterowi na ratunek - powiedział Devon. - Elizabeth chyba nie uświadamia sobie, jak bardzo źle Stamden czuje się wśród ludzi.

- Bo nie widzi po temu powodów - odparła z uśmiechem Moira. - Kocha go i w jej oczach markiz jest doskonały.

- A tak, słyszałem to powiedzenie, że miłość jest ślepa.

Jednak czasami, a sam byłem tego świadkiem, zdziera zasłonę z oczu ślepeca -

powiedział, patrząc z ukosa na towarzyszkę. Potem, musnąwszy wargami jej palce, oddał Moirę pod opiekę markiza, a sam zaprosił Elizabeth do tańca.

Stamden bezzwłocznie przeprosił rozmówców, podał Moirze ramię i zaprowadził ją tam, gdzie rzeźbione kolumny mogły ich ukryć przed wzrokiem gości.

- Devon jest dzisiaj w dziwnym nastroju - powiedział w zamyśleniu.

- Według mnie, Devon zawsze jest w dziwnym nastroju - rzuciła bez namysłu i natychmiast tego pożałowała. - Proszę o wybaczenie, milordzie - powiedziała ze skrucą.

- Nie mam prawa wylewać na pana moich frustracji związanych z hrabią ..

- On panią frustruje? - W stalowoszarych oczach markiza pojawił się dziwny błysk. - Jeśli będzie to dla pani pocieszeniem, moim zdaniem, wywiera pani na niego taki sam wpływ. Szczerze mówiąc, nigdy nie widziałem w nim tak ... intensywnych uczuć do żadnej kobiety. Moira, zażenowana dziwną uwagą markiza, skoncentrowała się na tancerzach. Jej wzrok natychmiast przykuła osoba Devona. Wykonywał zawile figury z wielkim wyczuciem rytmu i kocią gracją. W porównaniu z nim pozostali mężczyźni na parkiecie sprawiali wrażenie niezgrabnych prostaków, a każda kobieta, z którą tańczył, pod jego dotykiem natychmiast się ożywiła.

Kiedy z gracją obracał właśnie partnerkę, na krótką chwilę napotkał spojrzenie Moiry.

Poczuła, jak rumieniec oblewa jej szyję i policzki.

- Wolałabym, aby zabrał ten swój wigor z powrotem do Londynu i wykorzystał go dla tancerek z opery, a także dla przyszłej hrabiny - powiedziała impulsywnie.

Markiz obdarzył ją przeszywającym na wskroś spojrzeniem.

- Devon wyznał mi, że się pani naraził. Jak widzę, miał rację. - Spojrzał w kierunku otwartych drzwi balkonowych w odległej części sali. - Chętnie zaczerpnąłbym świeżego powietrza, a teraz jest chyba dobry moment, bo Elizabeth nie będzie mnie potrzebować do końca tego tańca. Dołączy pani do mnie, wasza wysokość? A może woli pani przywitać się z przyjaciółmi? Wątpię, aby sami podeszli, kiedy zobaczą panią w moim towarzystwie.

- Nie mam przyjaciół wśród okolicznej szlachty - powiedziała Moira. - Spotkałam ich tylko raz i wszyscy, prócz Elizabeth, postanowili nie mieć ze mną nic wspólnego.

- No tak, ale pani status uległ zmianie. Ci sami ludzie, którzy niegdyś usiłowali utrzić nosa Moirze Reardon, zrobią wszystko, aby teraz zbliżyć się do księżnej Sheffield.

Moira zmarszczyła czoło.

- Właśnie dlatego, dopóki będę panią na Białych Dębach, wrota tej posiadłości pozostaną dla nich zamknięte. \_ Uśmiechnęła się do poważnych, szarych oczu wysokiego mężczyzny stojącego u jej boku. - Natomiast jeśli chodzi o pańskie pytanie, z przyjemnością będę panu towarzyszyć na tarasie. Chyba każda obecna tu dama skorzystała z porażki Korsykanina i nabyła francuskie perfumy. Efekt jest nieco odurzający. Powietrze było chłodne, ale przyjemne, a jasne światło księżycy zalewało kamienne płyty tarasu. Pierwszy odezwał się markiz.

- Wie pani, on tego nie robi.

- Słucham?

\_ Devon nie wróci do tancerek z opery. Nie będzie też szukał żony wśród ślicznych pańienek wystawianych na pokaz w każdy środowy wieczór.

Ogarnęła ją niewytłumaczalna ulga, a jej puls przyspieszył. Jednak zdołała zachować normalny ton głosu.

\_ To, co hrabia Langley robi, albo czego nie robi, nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia, milordzie, chyba że jego postępowanie dotyczy Charlesa.

Markiz zatrzymał się .

\_ Nawet jeśli to pani zmieniła jego serce? - zapytał, spoglądając na nią z wysoka. - Proszę wybaczyć, że przekraczam granice uprzejmej rozmowy, wasza wysokość, ale Devon jest mi bliski jak brat, którego nigdy nie miałem ... a serce podpowiada, że pani mogłaby być moją siostrą. Pewnie stan mego ducha wywołany jest faktem, że sam znalazłem szczęście i pragnę, aby znalazło je również dwoje ludzi, na dobru których bardzo mi zależy. - Uśmiechnął się. - A jeśli istniała kiedykolwiek para stworzona dla siebie, to właśnie pani i Devon.

Moira patrzyła na markiza z otwartymi ustami.

- Nie mówi pan chyba poważnie, milordzie. Przecież bez przerwy na siebie naskakujemy.

- To efekt frustracji - stwierdził krótko markiz. - W ciągu ostatnich kilku dni nawet słodka Elizabeth zaczęła mi działać na nerwy. - Lekceważąco machnął ręką. - Już milczę. I tak za dużo powiedziałem. Ale błagam panią, wasza wysokość, nie sądź Devona po jednym głupim postępku, jakiego się dopuścił pod wpływem gorącej namiętności. Duma to marny towarzysz w łóżku podczas zimowych kornwalijskich nocy. - Skłoniwszy się lekko, ruszył w kierunku drzwi balkonowych, które prowadziły do sali balowej.

Moira patrzyła za nim zaskoczona. Jakie to niepodobne do dżentelmena markiza, aby odejść, tak nagle i zostawić ją samą.

- Cytując mego przyjaciela i mistrza - odezwał się znajomy głos - nie osądzaj go zbyt ostro. Wiedział, że tu jestem i że odprowadzę cię do sali.

Moira zadrżała, kiedy Devon wyłonił się z cienia.

- Milordzie Sto Gwyre, czy podsłuchiwanie to jeszcze jeden z twoich grzechów?

- Zawisnąć za pensa czy za funta, to na jedno wychodzi. - Podeszedł bliżej, Moira zaś instynktownie zaczęła się od niego odsuwać, aż natknęła się na kamienny mur tarasu.

Devon się zachnął.

- Do diabła, pani, nie patrz na mnie, jakbyś się bała, że cię zjem. Nie jestem bestią, która nie potrafi kontrolować swoich namiętności. Jestem tylko, jak usiłował to wyrazić Peter,

zakochanym głupcem.

- Nie mów tak. Czyżbyś zatracił poczucie honoru i był gotów bez wyrzutów sumienia złamać obietnicę? - Zakryła dłońmi uszy. - Nic ci to nie da, bo nie zamierzam ani tego słuchać, ani zostać twoją kochanką.

Devon z trudem pohamował pragnienie, aby wziąć ją w ramiona i przekonać, że ma czyste zamiary. Nigdy przedtem nie robiła na nim wrażenia równie kruchej i bezbronnej istoty, nigdy też nie odczuwał tak wielkiej potrzeby, aby troszczyć się o kobietę.

Delikatnym ruchem odjął jej rękę od uszu.

- Moira, nie chcę, abyś została moją kochanką - powiedział miękko. - To prawda, początkowo myślałem, że właśnie tego pragnę, ale teraz już wiem, że żywię do ciebie znacznie głębsze uczucia niż tylko zwykłe pożądanie. Ponieważ nadal nosisz żalobę po innym mężczyźnie, dobre obyczaje zabraniają mi zabiegać o twoje względy oficjalnie. Poczekam więc, aż nadejdzie odpowiednia chwila.

- Nie! - zawołała z oczami błyszczącymi od łez. - Chyba oszalałeś. Wcale do siebie nie pasujemy.

- Jakież to zdecydowane "nie", moja kochana. Bard powiedziałby teraz, że zbyt gwałtownie protestujesz. - Uniósł obie dłonie Moiry do ust i pocałował koniuszki palców. - A jeśli chodzi o to, że nie pasujemy do siebie, zamierzam wpłynąć na zmianę twojej opinii. Spod półprzymkniętych powiek Devon obserwował jej zaniepokojoną twarz.

- Jeżeli masz na myśli swoje pochodzenie, to zapewniam cię, iż przypisujesz tej sprawie zbyt duże znaczenie - powiedział, zapominając, jak ważna wydawała się ta kwestia jemu samemu zaledwie przed dwoma tygodniami. - Nawet najlepsze rodziny w Kornwalii mają wśród swoich przodków jednego czy dwóch przemytników. Mojej rodzinie też to nie zaszkodzi.

Moira odwróciła głowę. Devon był przekonany, iż usiłuje ukryć łzy.

- Nic, co powiesz albo zrobisz, nie zmieni mego zdania. Nigdy nie będziemy mogli się pobrać. Jeśli nie skończysz z tym szaleństwem, zranisz nas oboje - powiedziała.

Kiedy Devon usłyszał zdecydowanie w głosie Moiry, ogarnął go nagły strach. Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że przez swoje aroganckie postępowanie w stosunku do księżnej mógł ją utracić na zawsze.

Jednak pragnęła go. Jej oczy wyrażały tęsknotę za każdym razem, gdy na niego patrzyła. Nawet nieugięta duma nie zdoła zapanować nad tak wielkim pragnieniem. Dobrze o tym wiedział.

Wypuścił dłonie Moiry i położył swoje na jej ramionach.

Przyciągnął ją do siebie, aż głowa księżnej spoczęła na jego ramieniu. Nie oponowała, ale wciąż drżała z twarzą ukrytą w fałdach fularu hrabiego.

- Devonie, proszę - wyszeptała łamiącym się głosem.

- Wróćmy do pozostałych i udawajmy, że ostatnie kilka minut nie istniało. Przedłużając to wszystko, jeszcze bardziej się krzywdzimy.

- Wrócimy, bo zaraz pastor ogłosi zaręczyny - powiedział, ukrywając na chwilę twarz w jej jedwabistych, hebanowych włosach. - Ale nie łudź się, że to koniec. Jesteś moim przeznaczeniem, Moira, a ja twoim. Wierzę, że gdzieś w głębi serca zawsze o tym wiedziałem. Nie rozumiem tylko, dlaczego upłynęło tyle czasu, zanim za głosem serca poszedł rozum.

Wsunął palec pod brodę Moiry, uniósł jej głowę i spojrzał na pobladłą twarz. Oczy księżnej pociemniały. Przypominały teraz dwa bezdenne stawy i przez chwilę miał wrażenie, że w ich głębinie dostrzegł swoje odbicie. To znak, pomyślał i złożył na jej ustach delikatny pocałunek, w którym przekazał całą swoją czułość, jaką miał dla tej pięknej, pełnej werwy kobiety.

Choć nie należy do ludzi cierpliwych, zaczeka na odpowiedni moment. Jeśli nauczył się czegośkolwiek podczas tych lat spędzonych u boku Wellingtona, to tego, że strategiczny odwrót jest często integralną częścią ostatecznego zwycięstwa.

Ukrywając frustrację za wymuszonym uśmiechem, podał Moirze ramię i zaprowadził ją do sali balowej, gdzie pastor właśnie ogłaszał zaręczyny swojej naj starszej córki z markizem Stamdensem.

Na widok osłupienia zebranych, Devona ogarnęła wielka ochota do śmiechu. Po chwili ciszy rozpętało się prawdziwe piekło. Elizabeth była lubiana przez parafian ojca, głównie z powodu jej łagodnej natury i twarzy, zbyt przeciętnej, aby stanowiła zagrożenie dla okolicznych piękności. Teraz nagle stała się obiektem zainteresowania wszystkich gości. Większość dam pozieleniała z zazdrości na myśl, jak wspaniały tytuł i wielka fortuna przypadną wkrótce Elizabeth. Devon wątpił, czy ktokolwiek, poza nim samym i Moirą, byłby zdolny uwierzyć, że ten związek jest wynikiem prawdziwej miłości.

Ponad głowami gości składających najlepsze życzenia, Devon napotkał wzrok Petera. Dostrzegł, że półprzytomny ze zdenerwowania przyjaciół jest na granicy wytrzymałości. \_ Lepiej wzniosę toast, zanim Peter postanowi nawiąć \_ powiedział Devon i złapawszy Moirę za rękę, precyśnie się przez tłum do miejsca, gdzie stał Stammen i jego przyszła żona.

Lokaje pod wodzą Partridge'a roznosili tace z szampanem. Devon wziął kieliszek, który podał mu służyący, ale nie zdążył jeszcze otworzyć ust, kiedy jego uwagę przyciągnęło zamieszanie przy drzwiach wejściowych. Mocno spóźniony gość dyskutował z otaczającymi go szlachcicami.

Devon jęknął. Rozpoznał te tycjanowskie włosy, choć teraz sprawiały wrażenie bardziej jaskrawych niż ostatnim razem.

- Kochanie - powiedziała nowo przybyła, podchodząc do niego z wyciągniętą ręką. Drugą wpiła w ramię przy stojnego młodego dandysa, którego czarne loki były mocno wypomadowane i uczesane w stylu Brutusa. Młodzieńca spowijała czerń, a krój stroju w stu procentach odpowiadał wymogom najnowszej mody, zaś opończę przyozdabiało co najmniej sześć pelerynek. To ten "czarujący, grzeczny i dbały wicehrabia" matki, domyślił się Devon.

- Witaj - powiedział cicho, kiedy hrabina wzięła go w ramiona. Kącikiem oka dostrzegł śmiertelnie bladą Moirę i jej oczy rozszerzone z przerażenia. Inaczej nie dało się opisać emanujących z nich emocji. Zobaczył też, jak Stammen rzuca Elizabeth wymowne spojrzenie, a potem z ponurym wyrazem twarzy staje za Moirą, szepce jej coś do ucha i kładzie rękę na ramieniu.

Zaskoczony Devon dokładniej przyjrzał się matce. Jej strój i biżuteria, jaką się obwiesiła, pasowały raczej do damy z londyńskiego półświatka niż do hrabiny, wdowy Langley. Devon nie dostrzegł jednak w niej nic, co mogłoby wywołać takie przerażenie u kobiety równie silnej psychicznie i niezależnej jak Moira.

Hrabina wdowa puściła szyję Devona.

- Chciałabym, abyś kogoś poznał, kochany - powiedziała, obdarzając przy tym syna bojaźliwym uśmiechem. - Ale obiecaj, że zachowasz się wobec niego bez zarzutu. Jest mi bowiem bardzo drogi.

Wypchnęła młodego towarzysza do przodu.

- Philipie, kochanie, to mój syn, Devon Sto Gwyre, hrabia Langley. A ten przystojny młodzieniec - wsunęła dłoń pod ramię czarnowłosego dandysa - to Philip.

\_ Handley - powiedział dandys z tak wyniosłym uśmie szkiem, że Devona przeszył zimny dreszcz. - Philip Handley, wicehrabia Quentin, do usług, milordzie.

## Rozdział dwunasty

Quentin! Szubrawiec, który dwukrotnie nasłał zbirów na Charlesa i Bóg jeden wie co jeszcze zrobił, że wywołał wyraz tak potwornego przerażenia na cudownej twarzy Moiry. Devon zignorował wyciągniętą dłoń wicehrabiego. Prędzej podałby rękę hinduskiej kobreze aniżeli takiemu degeneratowi. Gdyby nie obawa, że zepsuje przyjęcie zaręczynowe

Elizabeth, złapałby łajdaka za modne portki i wyrzucił za drzwi - a sądząc po wyrazie twarzy Stamdena, ten także nie przyglądałby się beczynnemu.

- Devonie! Jak możesz być taki niegrzeczny wobec mego ukochanego przyjaciela? Co z tobą? - Na policzki hrabiny wystąpiły ogniste rumieńce. - Wyjaśnij mi natychmiast swoje zachowanie.

- Zrobię to, matko, ale w odpowiednim czasie - powiedział Devon, świadom żywego zainteresowania, z jakim goście obserwowali rozgrywający się przed ich oczami spektakl. Na szczęście, tylko najbliżej stojący mogli po-słyszeć wymianę zdań. - Tymczasem chcę wznieść toast za markiza Stamdena i pannę Elizabeth Kincaid.

- Markiz i... i córka zwykłego wiejskiego pastora? - zająknęła się hrabina, a jej oczy rozszerzyły się ze zdziwienia. - Cóż to za nedorzeczność? Wielkie nieba! Devonie, i ty aprobujesz taką herezję?

- Nie tylko aprobuję, pani. Ja ją świętuję - wycedził Devon przez zaciśnięte zęby, widząc, jak twarz Elizabeth napina się i blednie. - Ale tobie wybaczymy, jeśli natychmiast udasz się na spoczynek. Podróże są bardzo męczące.

Skinął na najbliższego lokaja.

- Odprowadź hrabinę do jej apartamentu i poproś, aby przygotowano pokój dla wicehrabiego. Uprzedź też kucharza, żeby wcześniej rano podał śniadanie. Wicehrabia wyjeżdża jutro skoro świt.

Oczy Quentina zamigotały gniewnie.

- Ale najpierw utniemy sobie małą pogawędkę, milordzie - powiedział. - Zbyt długą drogę przebyłem, aby zostać

odprawionym bez słowa. - Podał ramię hrabinie. - Chodź, najdroższa, skorzystajmy teraz z nidy hrabiego i odpocznijmy po męczącej podróży. Jutro trzeba będzie ustalić wiele spraw. Do oczu hrabiny napłynęły łzy.

- To na nic, Philipie. Devon nie zamierza słuchać niczego, co masz mu do powiedzenia. Zawsze był nader trudnym dzieckiem. - Pociągnęła nosem. - Szczerze mówiąc, z każdym dniem coraz bardziej przypomina ojca.

Wicehrabia czule poklepał ją po dłoni.

- Cii, kochana, nie martw się - pocieszył ją ściszym głosem, a jego przystojna twarz o żółtawej cerze przybrała minę kocura, który obserwuje pojmaną przez siebie, bezbronną mysz. - Twój syn z pewnością mnie wysłucha, gdy tylko się dowie, co mam mu do zaoferowania. - W tonie głosu wicehrabiego słychać było wyraźną groźbę.

Uwieszona u jego ramienia kobieta nie odezwała się słowem. Devon zauważył, że dreszcz przeszył szczupłe ramiona Moiry.

Spojrzał jej w oczy, chcąc zapewnić o swoim szczerym poparciu. Szybko jednak pojął, że popełnił błąd, na twarzy Quentina bowiem pojawił się błysk zrozumienia.

Rozległ się cichy i nieprzyjemny śmiech wicehrabiego, obrzucił butnym spojrzeniem najpierw Devona, a potem Moirę, po czym zwrócił się do hrabiny.

- Szczerze mówiąc, pani - powiedział miękko - z niecierpliwością oczekuję rozmowy z twoim synem. Tacy światowi ludzie, jak my, znajdują płaszczyznę porozumienia.

Devon nie mógł sobie później przypomnieć ani jednego słowa toastu, jaki wznosił na cześć młodej pary, kiedy tylko matka i jej amant udali się - należało mieć nadzieję - każde do swego pokoju. Słowa bezwolnie wypływały Devonowi z ust, jakby bez najmniejszego udziału umysłu.

Nie był też pewny tego, co mówił i co robił przez resztę koszmarnego wieczoru. Zupełnie jakby stał się nagle dwiema różnymi osobami. Jedna zdołała wypełnić wszystkie obowiązki gospodarza. Natomiast drugą zżerała tak wielka wściekłość, że wyparła z umysłu Devona wszelkie inne myśli. Oprócz jednej. Wiedział tylko, że musi znaleźć sposób, aby ochronić Moirę i Charlesa, a także tę niemądrą matkę, przed zakusami chciwego, rozpustnego wicehrabiego.



Nawet teraz, dwanaście godzin później, czekając na Quentina aby odbyć z nim zaplanowaną rozmowę, hrabia czuł jak z każdą minutą jego nienawiść rośnie. Już sama myśl o spotkaniu wywoływała w Devonie wielką irytację.

Musiał jednak na nie przystać. Inaczej nie zdoła wcielić w życie planu, dzięki któremu pozbędzie się szubrawca z posiadłości i uniemożliwi mu skrzywdzenie tych, za których hrabia Langley czuł się odpowiedzialny.

Podobne rozmowy przeprowadzał zazwyczaj w wygodnej, obitej dębową boazerią bibliotece. Ale wicehrabiego postanowił nie wpuszczać do ulubionego pokoju. Nie chciał, aby za każdym razem, kiedy tam później wejdzie, ożywały przykre wspomnienia.

Zdecydował się więc na małą, dość obskurną izbę, przylegającą do pomieszczeń służby, głównie dlatego, że prawdopodobnie jego noga nigdy więcej tam nie postanie.

Zapukawszy dyskretnie do drzwi, Partridge zaanonsował jak zwykle rześkim tonem:

- Przyszedł wicehrabia Quentin, milordzie.

I tym razem wicehrabia niemal cały spowity był w czerni, wyłączając srebrzystoszarą kamizelkę, której kieszenie przystrajał co najmniej tuzin zdobnych łańcuszków od zegarka. Jego tużurek odpowiadał wymogom najnowszej mody i nosił znak firmowy doskonałej pracowni krawieckiej Westona. Wyjątkowo obcisłe spodnie wicehrabiego uwypuklały każdy mięsień jego długich nóg. Były lekko skrzywione, podobnie jak u wyczynowego jeźdźca.

W pierwszym momencie Devon odniósł wrażenie, iż gość cierpi na jakąś chorobę - tak blada była jego twarz o ostrych, wyrazistych rysach. Ale już drugie spojrzenie ujawniło całą prawdę. Wicehrabia zawdzięczał bowiem tę bladość ryżowemu pudrowi, który stał się ostatnio modny wśród londyńskich dandysów. Pudrując twarz, pragnęli bowiem naśladować wygląd samego lorda Byrona.

- Dzień dobry, milordzie - powiedział wicehrabia, unosząc do oka monokl. Grzbiet dłoni miał także upudrowany, a jej wnętrze było upstrzone kropkami czerwonego atramentu. W każdym calu stanowił przykład fircyka wzorującego się na Byronie. Posunął się nawet do przybrania pełnego zadumy wyrazu twarzy, udającego poetyckie natchnienie.

Devon zlekceważył powitalne słowa, nie zaoferował też gościowi żadnego z dwóch krzeseł stanowiących obok niewielkiego biurka jedyne umeblowanie pokoju.

- To ty chciałeś rozmawiać, Quentinie. Przedstaw więc swoją sprawę - powiedział sucho. Wicehrabia przesunął wzrokiem po małym, prawie pustym pomieszczeniu. Jego zwężone oczy powiedziały Devonowi, iż zrozumiał intencje gospodarza, który postanowił go obrazić zarówno wyborem pokoju, jak i brakiem uprzejmości. Choć rumieniec złości zabarwił jego policzki, lekceważąco wzruszył ramionami.

- Jak pan sobie życzy, milordzie. Mam zaszczyt prosić o rękę hrabiny wdowy Langley - zaczął znudzonym głosem. - Wprawdzie okazała już i to w najbardziej przekonujący sposób, swoje pragnienie, aby zostać moją, lecz twierdzi, iż zanim ustalę datę ślubu, muszę uzyskać zgodę głowy rodziny, czyli pana.

Devon, aby powstrzymać się przed spoliczkowaniem bezczelnego pyszałka, musiał spleść dłonie za plecami. Na myśl, że umalowane ręce tego fircyka mogą obmacywać jego matkę, poczuł się, jakby podliczał rachunki, a uświadomiwszy sobie jeszcze, że mogą tknąć Moirę, hrabia zapalał żądzą zemsty. Na szczęście instynkt go ostrzegł, że każdy wyraz emocji Quentin uzna za przejaw jego słabości.

- Wręcz przeciwnie - odparł Devon bezbarwnym głosem. - Matka od dawna jest już dorosła. Może wyjść, za kogo tylko chce, ale, dla jej dobra, pragnąłbym, aby wybrała kogoś zasobnego. Jest bardzo rozrzutną osobą, a mój świętej pamięci ojciec okazał się krótkowzroczny i nie zapewnił jej własnego dochodu.

Wicehrabia obserwował swoje idealnie wypolerowane paznokcie z widocznym zainteresowaniem.

- A pan, jako osoba nadzorująca rodzinne finanse, zostawi matkę bez grosza przy duszy, jeśli wyjdzie za mąż wbrew pańskiej woli.

- Zgadza się.

Na twarzy Quentina pojawił się szyderczy uśmieszek.

- Oj, chyba nie, milordzie. Nie sprawia pan wrażenia człowieka, który pozwoliłby własnej matce żyć w biedzie. Ani też, jak przypuszczam, nie odda jej z radością człowiekowi, którego przeszłość tak go zafascynowała, iż polecił ją zbadać policji. - Roześmiał się bezlitośnie. - Jeśli nie jest pan pewny, czy te dość barwne informacje, które zdobyli w pewnym burdelu na East Endzie, są prawdziwe, to proszę się nie kłopotać. Całkowicie odpowiadają prawdzie. I jeszcze o czymś pozwolę sobie pana zapewnić. Hrabina wdowa tak zgłupiała na moim punkcie, że nie zdoła pan w żaden sposób zmienić jej decyzji. Devon spojrział w stronę okna - na jego żądanie matka ukryła się za ciężką portierą. Nie zachwyliło go to, co do tej pory padło z ust gruboskórnego wicehrabiego na jej temat. Jeszcze mniej podobały mu się plany tego łajdaka.

Devon nie miał wyboru. Matka nie chciała uwierzyć synowi, kiedy opowiadał o perwersjach jej młodego kochanka.

- To znaczy, że masz problem - powiedział Devon. - Ale coś mi mówi, że znalazłeś już rozwiązanie.

U śmiech Quentina wyrażał pełnię szczęścia.

- Lubię dobijać interesów z rozsądnymi ludźmi, którym nie brak wyrafinowania właściwego naszej klasie społecznej. Dzięki temu nie tracę czasu na darmo.

- Tak, my, światowcy kierujemy się rozsądkiem - przyznał sucho Devon. - Ale wyjaw mi, co proponujesz, aby uchronić moją matkę przed skutkami jej najnowszego szaleństwa.

- Dobijmy targu, milordzie. Ja mam twoją próżną i głupią matkę, ty natomiast masz coś, czego ja bym chciał - sprawujesz opiekę nad księciem Sheffieldem i kontrolę nad jego majątkiem. Obie te rzeczy, gdyby nie kaprys starego ekscentryka, mnie powinny być przypaść w udziale. Na co ci fortuna chłopca, skoro twoja własna jest dwa razy większa?

- Pojmuję twój plan - odparł cichym głosem Devon.

- A co z macochą księcia? Jakże dla niej widzisz miejsce?

- Ach, piękna Moira! - Usta Quentina zwęziły się gniewnie. - Jestem coś dłużny tej ciskającej nożami dziwce. Blizna pod moimi żebrami nie pozwala mi o tym zapomnieć. Kiedy wyrównam rachunki, możesz ją sobie zabrać.

Devon omal się nie roześmiał na myśl o ognistej piękności, która wolała zatopić nóż w ciele Quentina niż ulec jego seksualnym zakusom. Ten podlec miał wielkie szczęście.

Moira uszkodziła mu tylko kawałek skóry. Gdyby naprawdę chciała, mogłaby z nim skończyć raz na zawsze. Po raz pierwszy w duszy Devona pojawiło się cieplejsze uczucie wobec nie grzeszącego dobrym wychowaniem, ojczulka Moiry. Czarny Jack zrobił przynajmniej jedną dobrą rzecz - nauczył córkę bronić się przed drapieżcami, którzy nastawali na jej cześć.

Widok Quentina, który wyjął teraz wysadzaną klejnotami tabakierkę i głęboko wciągał proszek, najpierw jedną dziurką od nosa, a potem drugą, wyraźnie zdegustował Devona.

- A więc dogadaliśmy się, milordzie? - zapytał wicehrabia, wkładając pudełeczko do kieszeni.

Devon w zamyśleniu odwrócił się w stronę okna.

- A co ty o tym sądzisz, matko? Czy wicehrabia oferuje dogodne dla nas warunki? - zapytał, nie spuszczać teraz wzroku z Quentina. Ten, zaskoczony gapił się na wychodzącą zza kotary hrabinę, wdowę Langley.

Druga niedziela marca zapowiadała się pięknie. Welniste białe obłoczki, niczym przysłowiowe baranki, swawoliły na czystym lazurze kornwalijskiego nieba. Choć nie wybiła jeszcze dziewiąta, słońce zdołało już rozgrzać ziemię.

Moira siedziała na swojej ulubionej skale nad samym brzegiem morza. Ręce wsparła na podkulonych nogach, pozwalając, aby ciepłe powietrze owiewało jej zmęczone ciało. Obserwowała tańczące w wodzie słońce. Hen, za przybrzeżnymi falami tworzyło tysiące

światlistych punkcików. "Diamenty bogów" ... tak babka Moiry nazywała to zjawisko, które można dostrzec tylko w wyjątkowo słoneczny dzień. Babcia usłyszała to określenie od jednego z baskijskich Cyganów, który przewoził ludzi do Anglii.

Moira powinna być teraz w kościele i słuchać zapowiedzi o ślubie Elizabeth i markiza. Wymówiła się jednak bólem głowy i kiedy tylko przyjaciółka w towarzystwie narzeczonego opuściła Białe Dęby, Moira zostawiła Charlesa i Alfiego pod opieką Johna Footmana, sama zaś wymknęła się na ulubioną plażę.

Była potwornie zmęczona. Położyła głowę na splecionych rękach i zamknęła oczy. Z podniecenia nie mogła jednak zasnąć, choć wyczerpanie dawało o sobie znać.

Poprzedniej nocy, po powrocie z Langley Hall, nie zmrużyła oka ani na chwilę. Nie mogła przestać myśleć o „konsekwencjach” przyjazdu wicehrabiego Quentina do Kornwalii. Nie obawiała się z jego strony bezpośredniego zagrożenia ani dla życia Charlesa, ani dla swojego własnego. Quentin nie miał bowiem zwyczaju własnoręcznie realizować swoich nikczemnych planów. Był bowiem zbyt wielkim tchórzem, wołał więc wynająć bandytów i podrzynaczy gardeł, którzy za niego wykonywali brudną robotę. Dla zachowania pozorów, nigdy nie pokazywał się w miejscu przestępstwa w chwili, kiedy wykonywano jego rozkazy. Moira dobrze jednak poznała sposób rozumowania wicehrabiego. Najpierw spróbuje szczęścia, wykorzystując związek z próżną i naiwną hrabiną. Będzie chciał zmusić Devona, aby ten zrzekł się opieki nad Charlesem. Niemal słyszała jego słowa. "Dobijmy targu, milordzie. Majątek chłopca za reputację starej".

Czy lojalność Devona wobec matki nakłoni go do rozważenia tej oferty? Moira nie mogła sobie wyobrazić, aby przekazał opiekę nad księciem takiemu potworowi. Nie dopuszczała też myśli, że Devon zgodzi się na związek matki z wicehrabią. Krew jest przecież gęściejsza niż woda.

Pomimo grzejącego słońca przeszył ją dreszcz. Chyba właśnie w tej chwili odbywa się rozstrzygająca rozmowa.

Niezależnie od jej wyniku Moira przysięgła sobie uroczyście, iż nigdy nie pozwoli, aby Quentin uzyskał kontrolę nad Charlesem. A jeśli jeszcze raz dotknie jej choćby palcem, Moira ostatecznie przerwie nić jego życia.

Uśmiechnęła się do siebie. Na wypadek, gdyby dla bezpieczeństwa chłopca musiała wywieźć go z kraju, jakiś czas temu przemyciła w bezpieczne miejsce kasetkę z bezcennymi klejnotami Sheffieldów i okazałą sumę funtów. Dziękowała Bogu za traktat pokojowy, który Anglia podpisała w grudniu z Ameryką, bo właśnie tam planowała zawieźć Charlesa. Choć życie w byłych koloniach jest pewnie surowe, to jednak chłopcu nie będzie przynajmniej zagrażać niebezpieczeństwo ze strony zbirów pokroju Quentina. Zabierze też Alfiego. Będzie mu znacznie lepiej w Ameryce niż na londyńskiej ulicy. Być może, weźmie też Johna Footmana, który sprawia wrażenie żadnego przygód młodzieńca, a jego lojalności wobec księcia można być najzupełniej pewnym.

Księżna była więc przygotowana na wypadek, gdyby wydarzyło się to najgorsze. Nic więcej nie mogła już zrobić. Westchnęła. Po raz pierwszy od, chwili, kiedy zobaczyła wicehrabiego wchodzącego do sali balowej w Langley Hall, poczuła spokój.

Devon ominął skalisty cypelek, który zazwyczaj stanowił jego cel, i skierował konia w dół stromej ścieżki prowadzącej bezpośrednio na plażę. Kiedy zajechał do Białych Dębów, usłyszał od Johna Footmana, iż księżna wybrała się na przejażdżkę. Biorąc pod uwagę kłopoty, jakie ostatnio zaprzętały jej głowę, postanowiła zapewne poszukać spokoju i samotności nad brzegiem morza. Po wydarzeniach tego ranka i jemu przydałaby się chwila ciszy.

Wrócił myślami do rozmowy z Quentinem. Matka wyszła zza kotary z taką godnością i dostojeństwem, iż sama caryca Katarzyna, gdyby tylko mogła ją zobaczyć, pozieleniałaby z zazdrości. Obrzuciła oszołomionego wicehrabiego pogardliwym spojrzeniem i podeszła do drzwi, które jak za sprawą czarodziejskiej różdżki otworzyły się przed nią. Najwyraźniej

Partridge i tym razem nie mógł się powstrzymać, aby nie podsłuchiwać z uchem przylepionym do dziurki od klucza.

Chwilę później wydarzenia przybrały jeszcze bardziej niemiły obrót. Kiedy tylko Quentin uświadomił sobie, iż jego plan spalił na panewce, porzucił wszelkie pozory uprzejmości.

- Dzisiaj pan wygrał, milordzie, ale to jeszcze nie koniec - warknął. - Fortuna Sheffieldów mnie się należy. Tytuł także. Nawet smarkacz jest mój. Jego matka sama by to przyznała, gdyby nie umarła w połogu. Myślisz, że ten stary, trzęsący się głupiec byłby zdolny zapłodnić kobietę?

- Dosyć! - krzyknął Devon, chociaż instynktownie wyczuwał, że wicehrabia nie kłamie. Fizyczne podobieństwo między nim a chłopcem było zbyt wyraźne, aby je zignorować. - Wylewaj swe brudy gdzie indziej. Nie zamierzam cię słuchać ani chwili dłużej - oświadczył. - Powiem tylko jedno. Jeśli ty sam, albo te nastane przez ciebie zbiry, choć na krok zbliżycie się do księcia lub jego macochy, zabiję cię, i to z czystym sumieniem.

Devon zadrżał. Nawet teraz wspomnienie wykrzywionej nienawiścią twarzy wicehrabiego niczym groźny cień przyćmiewało jasny blask słońca. Straciwszy panowanie, Quentin przypominał raczej złego ducha ze świata ciemności niż próżnego fircyka.

Nadal silnie wzburzony, Devon prowadził konia brzegiem plaży i niecierpliwie wypatrywał Moiry. Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu chciał być teraz absolutnie pewny, że jest bezpieczna. Zaraz ją zobaczy - podpowiadał mu instynkt, choć nadal jej nie dostrzegał.

Kiedy Devon dotarł do brzegu zatoczki, w miejscu gdzie z morza wystawał kamienisty cypelek, zauważył dereszowatą klacz skubiącą trawę u stóp klifu. Serce podskoczyło mu do gardła. Czyżby Moira spadła z konia? Może leży ranna na kamienistej plaży? Hrabia popędził wierzchowca w kierunku klaczy i, ku wielkiej uldze, stwierdził, że jest luźno przywiązana do niskiego krzaka. Moira musiała być gdzieś w pobliżu.

Odnalezienie księżnej zajęło mu tylko chwilę. Siedziała z głową wspartą na kolanach.

Burza czarnych włosów przykrywała jej nogi. Moira sprawiała wrażenie, jakby wtopiła się w tę wielką skałę, o którą się wspierała.

Przywiązawszy konia obok klaczy, Devon ruszył w kierunku księżnej. Moira spała i śniła.

Słyszając ciche, pełne bólu westchnienia, Devon wywnioskował, iż nie jest to miły sen.

Zaprzagnął wyciągnąć spinki z błyszczących włosów Moiry i pozwolić, aby rozsypały się na jej plecach, jak tamtego dnia, kiedy widział ją pędzącą konno przez tę samą plażę. Gdyby to była każda inna kobieta, poszedłby za głosem serca, ale teraz bał się, że jeśli nagle wytrąci Moirę z głębokiego snu, ta w mgnieniu oka zatopi nóż między jego żebrami.

- Kochana, obudź się - powiedział więc miękko. Moira powoli odwróciła głowę w kierunku Devona.

Oczy miała otwarte, ale nie całkiem przytomne.

- Devon? Czekałam na ciebie - powiedziała rzeczowo, zupełnie jakby wcześniej zaplanowali to spotkanie na plaży.

Roześmiał się.

- Tak jesteś mnie pewna, słodka marzycielko, że potrafisz przewidzieć, kiedy do ciebie przyjdę?

- Nie marzyłam. - Wyprostowała się i przeciągnęła jak ' czarny kocur o lśniącej sierści.

- A więc miałaś kolejną wizję, jak wówczas w Green Parku? - zapytał żartobliwie. - Jestem przekonany, że coś widziałaś oczyma swej duszy.

- Tak, to była wizja - przyznała, patrząc na Devona z dziwnym wyrazem twarzy. - Ale powiedz mi, co z wicehrabią.

- Odjechał. Nalegał na rozmowę, więc się zgodziłem, a następnie wsadziłem go do mego powozu. Został odwieziony do najbliższego zajazdu, gdzie zaczeka na londyński dyliżans.

- Nie spodoba mu się to. Podróżowanie dyliżansem uwłacza godności prawdziwego arystokraty. - Moira roześmiała się ponuro.

- To tylko jedno z wielu rozczarowań, jakie spotkały niedoszłego kuzynka dziś rano.

- A twoja matka?

- Zrozumiała swój błąd. Niestety, w tak przykry sposób. Byłem zmuszony narazić ją na duże upokorzenie. - Devon się wzdygnął. - Szczerze mówiąc, jestem z niej bardzo dumny. Ten łajdak długo nie zapomni odprawy, jaką mu dała.

Devon nie czuł potrzeby dodawać, że później musiał zapewnić matkę, jak wielką darzy ją miłością, co nigdy przedtem mu się nie zdarzyło. Po rozprawie z Quentinem żaliła się bowiem, że jest starą, śmieszna kobietą, która nikogo nie obchodzi.

- Moim zdaniem, w najbliższym czasie Quentin nie będzie stanowił zagrożenia ani dla ciebie, ani dla Charlesa - powiedział Devon z pewną dozą samozadowolenia.

Moira spojrzała na niego sceptycznie.

- A co? Zagroziłeś mi pojedynkiem na pistolety?

- Coś w tym rodzaju. Mam wrażenie, że bardzo się przeraził.

- Nie wątpię - odpowiedziała z twarzą ściągniętą zmartwieniem. - Jest przecież wielkim tchórzem. Teraz będzie musiał kogoś wynająć i najpierw pozbyć się ciebie, zanim dokona ponownego zamachu na księcia.

Devon skinął głową. Nieświadomie bawił się puklem czarnych włosów Moiry, który wyslizgnął się spod wstążki.

- Znasz go dobrze. Jednak tu, w Kornwalii, nie będzie mu łatwo zasadzić się na mnie.

Wielu dzierżawców to moi byli towarzysze broni z Półwyspu. Poza tym rozesłałem wieści i gdyby w okolicy pojawili się jacyś obcy, natychmiast zostanę o tym, powiadomiony.

- A może zaczeka, aż wrócisz do Londynu. Nietrudno znaleźć tam łotrów gotowych zamordować nawet własną matkę za kufel piwa. - Moira zawahała się. Nie była pewna, czy odważy się opowiedzieć Devonowi o przerażającym obrazie, jaki pojawił się w jej umyśle, kiedy tylko zamknęła oczy. Pewnie i tak jej nie uwierzy. Jakiż gaujo potraktuje poważnie przywidzenia Cyganki?

- Ale ja nie zamierzam wracać do Londynu - stwierdził Devon. - Wszystko, co jest mi bliskie, znajduje się w Kornwalii.

Czułym gestem odgarnął z jej policzka kosmyk włosów.

Serce Moiry załopotało w piersi, niczym przerażony ptaszek uwięziony w klatce.

- Twoje plany ulegną zmianie - powiedziała. Nawet jeśli Devon miałby ją uznać za niespełna rozumu, Moira musi znaleźć sposób, aby go ostrzec przed czyhającym nań niebezpieczeństwem. - W mojej, jak to ująłeś, wizji, zobaczyłam wzywającego cię mężczyznę. To był ktoś, czyjego żądania nie możesz zignorować.

W oczach Devona zabłyśły wesołe iskierki.

- Mężczyzna? Nigdy, pani. - Palce Devona ześlizgnęły się na kark Moiry i delikatnie zaczęły masować napięte mięśnie. - Zapominasz, że jestem niepoprawnym rozpustnikiem. Nikt nie byłby w stanie oderwać moich myśli od pięknej kobiety.

- Ale ten tak. - Z trudem przełknęła ślinę. Silne palce Devona wywoływały dziwne fale spływające od szyi aż po koniuszki palców u nóg. Zmusiła się do zignorowania tej słodkiej tortury na Jyle, aby powiedzieć Devonowi o swoich niepokojach. - Nie wiem, jak się nazywa, ale mogę go opisać - powiedziała. - Jest bardzo wysoki, ma ciemne włosy i orli nos, a spojrzenie tak przenikliwe, że może nim przeszyć każdą duszę na wskroś ...

Ręka Devona znieruchomiła.

- To Żelazny Książę. - Na jego przystojnej twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia. - Czy w swojej wizji poznałaś przyczyny, dla których Wellington mnie wzywa?

Potrząsnęła głową.

- Wiem tylko, że wydarzyło się coś ważnego i sytuacja jest niezwykle poważna.

Palce Devona ponownie zaczęły masować kark Moiry.

- Zbyt wielki ze mnie sceptyk, abym wierzył w przywidzenia. Muszę jednak przyznać, iż biorąc pod uwagę wieści, jakie ostatnio otrzymałem z Whitehall, zmusza mnie to do zastanowienia.

Devon potrząsnął głową, jakby próbował pozbyć się nieprzyjemnej myśli. W jego oczach

pojawił się podejrzany błysk - taki, który Moira zdołała już poznać.

- Wziąwszy to wszystko pod uwagę, pozostaje zatem tylko jedno. Trzeba przyspieszyć ślub. Porozmawiam z pastorem. Jestem pewny, że wie, gdzie znajduje się najbliższy sąd władny wydać odpowiednie pozwolenie.

- Czekaj! - Moira uniosła dłoń. - W mojej wizji nie było markiza. Jeśli zaproponujesz mu zmianę terminu ślubu, pomyśli, że zwariowałeś.

- Nie o jego ślubie myślałem, ale o swoim. Jeśli rzeczywiście muszę cię opuścić na jakiś czas, pragnąłbym, abyś była chroniona moim nazwiskiem.

- Kpisz sobie ze mnie - powiedziała Moira. - Elizabeth miała rację. Okropny z ciebie żartowniś. Ale uwierz mi Devonie, ja mówię zupełnie poważnie.

- Nie bardziej niż ja, maleńka. Nie mam tu na myśli twojej "wizji". Jestem święcie przekonany, że istnieje jakieś logiczne wyjaśnienie. Mogłaś na przykład zobaczyć karykaturę Wellingtona w londyńskim Timesie. Na Boga, niektóre z jego ostatnich podobizn były wystarczająco demoniczne, aby wywołać koszmary senne. - Devon obdarzył ją tak czarującym uśmiechem, że palce Moiry

J zdrząły. - Ale mówiąc, że pragnę, abyś jak najszybciej została moją żoną, byłem śmiertelnie poważny.

Serce Moiry zabiło mocniej. Przez moment wyobraziła sobie, że została poślubiona Devonowi, każdej nocy śpi w jego ramionach, rodzi i wychowuje jego dzieci i obserwuje, jak złote włosy hrabiego przyprósza siwizna. Poczwała wszechogarniającą i rozdzierającą bolesną tęsknotę. Boże, jak bardzo tego pragnęła! Jednak teraz rozsądek wziął górę.

- Nie mogę za ciebie wyjść, Devonie. Już ci to kiedyś powiedziałam. Powinieneś być mi uwierzyć.

- Może istnieć tylko jedna przyczyna, dla której nie chcesz mnie poślubić. Nie kochasz mnie. - Powiedziawszy to, Devon ruchem tak płynnym i szybkim, że całkowicie ją zaskoczył, chwycił Moirę za ramiona, położył na plecach i przycisnął własnym ciężarem. Patrzyła na niego zastanawiając się, czemu, choć tak bezradna w jego objęciach, czuje się całkowicie bezpieczna, podczas gdy na sam widok wicehrabiego w przyćmionym korytarzu ogarnęła ją przemożna panika.

Devon spojrzał na nią z góry.

- Powiedz mi - pocałował koniuszek jej nosa - że nie - pocałował powieki - kochasz mnie - zamknął jej usta głębokim, namiętym pocałunkiem - jeśli potrafisz.

Zmysły Moiry zawirowały - od cudownego ciężaru Devona na jej ciele, męskiego zapachu piżma w jej nozdrzach, od tego gorącego i słodkiego smaku jego wargi. Wiedziała jednak, że musi skłamać i powiedzieć, że nic do niego nie czuje. Ale nie mogła. Już raz rozdzieliło ich to wielkie kłamstwo.

- Ty łotrze, doskonale wiesz, że nie potrafię - wymruczała. Zwalczyła napływające do oczu łzy. - Jednak moje uczucia są bez znaczenia. Z pewnych powodów nigdy nie wyjdę ani za ciebie, ani za żadnego innego mężczyznę.

Zaszokowany, spojrzał na nią z niedowierzaniem. - Niech to diabli, ty mówisz poważnie.

- Oczywiście - oświadczyła. - A teraz zejdź ze mnie, ty potworze. Ta skała jest okropnie twarda.

Devon zsunął się z Moiry, zdusił jęk wywołany bólem w lędźwiach i odetchnął głęboko.

- Jakież są te powody, pani? Teraz, kiedy złożyłem ci honorową ofertę, zasługuję chyba na wyjaśnienia.

- Te powody stanowią moją tajemnicę, i tak już pozostanie na zawsze - powiedziała, obciągając spódnicę, podczas pocałunku bowiem ręce Devona zawędrowały dość wysoko.

Devon kącikiem oka zobaczył nóż przyczepiony do jej prawej łydki i mimo wielkiego rozczarowania, jakiego przed chwilą doznał, musiał się uśmiechnąć. Mogło być gorzej, pomyślał z typowym dla siebie optymizmem. Przynajmniej nie wbiła weń noża, tak jak to było z Quentinem.

Devon potraktował to więc jako dobry znak i miał nadzieję na szybki sukces w tej dziwnej walce o względy Moiry.

## Rozdział trzynasty

Powtórna, zaskakująca odmowa ze strony Moiry przepędziła z głowy Devona wszelkie inne myśli, nie wyłączając porannej konfrontacji z Quentinem. Stammen nie opuszczał Elizabeth, a matka zamknęła się w swoim pokoju, Devon miał więc mnóstwo czasu, aby rozważyć ten problem.

Samotnie zjadł obiad, zajął na moment do zaciemnionej komnaty, w której hrabina leżała z kompresem na czole, a potem poszedł do biblioteki. Kiedy nalewał sobie brandy, Partridge zaanonsował markiza. Kilka minut później Stammen towarzyszył już Devonowi przy drinku.

Przez jakiś czas obaj milczeli, każdy bowiem zatopiony był w swoich myślach. Devon rozważał, czy nie zwrócić się do przyjaciela o radę. Ponieważ sam jednak czuł niechęć do mężczyzn, którzy u niego szukali wsparcia w sercowych sprawach, zachował milczenie. Stammen pierwszy przerwał ciszę.

- Słyszałem od Partridge'a o wyjeździe wicehrabiego. Devon potwierdził i opisał Peterowi poranne wydarzenia.

Pominał milczeniem tylko sprawę ojcostwa Charlesa.

Nie mógł jednak przestać myśleć o Moirze. O cóż tu, na Boga, chodzi? Przecież za każdym razem, kiedy na niego patrzy, w jej oczach widać miłość, a pod jego dotykiem ciało księżnej drży namiętnie. Nawet w chwili, kiedy frustracja pchnęła go rano do nierozważnego postępu, Moira nie okazała strachu. Jeśli kobieta kocha, pożąda i ufa mężczyźnie, to dlaczego nie chce go poślubić?

- Jesteś dziś wyjątkowo zamyślony, przyjacielu - stwierdził Stammen. - Nie pokłóciłeś się chyba z księżną?

- Nie.

- A więc doszliście do porozumienia?

- W pewnym sensie.

- Ale nie tak, jak się tego spodziewałeś?

- To prawda - przyznał Devon i po chwili dodał skruszony: - Moira nie chce wyjść za mnie.

Nie pomogło nawet zapewnienie, że jej pochodzenie nie robi mi różnicy. Już nie. Jest najuczciwszą, najodważniejszą i najbardziej współczującą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem, a poza tym niezwykle inteligentną. Czuję do niej wielki szacunek. - Wychylił brandy do końca i ponownie napełnił kieliszek. - Niech to diabli. Kocham ją i wiem, że Moira mnie kocha. - A mimo to twierdzi, że nie może za mnie wyjść.

Stammen obrzucił przyjaciela zamyślonym wzrokiem.

- Nie może, czy nie chce?

Devon jeszcze raz przetrwał w myślach poranne oświadczenie Moiry.

- Nie może. Ani za mnie, ani też za kogokolwiek innego. - Devona nagle olśniło. - To przecież jasne! Już wiem, o co chodzi! W jej przeszłości musi być jakiś nie znany mi epizod - brakujący kawałek układanki, z powodu którego Moira uważa, iż nie ma prawa wyjść za mąż.

- I mnie się tak wydaje - przytaknął Stammen. - Ale zupełnie nie potrafię sobie wyobrazić, co by to mogło być. - Spojrzał na Devona ze współczuciem. - Nie przyszło ci do głowy, przyjacielu, że ta sprawa może nigdy nie powinna wyjść na jaw? Księżna nie należy przecież do trzpiotek, które podnoszą rwetes z byle powodu.

- Ale jeśli nie będę wiedział, o co chodzi, to jak mam sobie z tym poradzić?

Devon wstał z krzesła i zaczął przemierzać pokój wzdłuż regałów pełnych książek. Na moment zatrzymał się przy oknie i wyjrzał na niewielki, utrzymany w typowym stylu ogródek.

- Czarny Jack na pewno to wie - mruknął bardziej do siebie niż do Stammena. - Choćby to

miała być ostatnia rzecz, jakiej dokonam, wyciągnę prawdę z tego starego zbereźnika. Stammen machinalnie przebiegał palcami.

- Może i wie, lecz za bardzo bym na to nie liczył. Nie wydaje mi się, aby Moira na tyle mu ufała, żeby powierzać ojcu swoje tajemnice.

- To prawda - przyznał Devon. - Lecz mimo beztroskiego usposobienia, stary żywi wobec córki jakieś uczucia i zapewne chciałby dla niej szczęśliwego związku. Na miłość boską, to przecież jej ojciec.

- Ojcostwo nie zawsze idzie w parze z prawdziwym uczuciem - stwierdził rzeczowo Stammen. - W wieku dwunastu lat zapadłem na gorączkę płucną. Kiedy lekarz zapowiedział mój rychły zgon, matka posłała po ojca, a ten ją poinformował, iż obiecał spędzić dwa tygodnie na polowaniu w posiadłości lorda Wilmota w hrabstwie Suffolk, w związku z czym nie może przyjechać do domu.

- Tak czy inaczej, muszę od czegoś zacząć. Równie dobrze może to być Reardon - odparł Devon. Nie skomentował słów przyjaciela, nie chciał go bowiem krępować swoim współczuciem. Zwłaszcza że ojciec Devona jechałby dniem i nocą, aby jak najszybciej zobaczyć syna, gdyby dowiedział się o jego chorobie.

Devon stał przyoknie, patrząc na ogród, ale widział tylko Moirę - jej policzki rozpalone namiętnością, kiedy go całowała, jej piękne oczy pociemniałe z emocji, gdy opowiadała o swej wizji, i emanujący z nich strach, kiedy ostrzegała przed niebezpieczeństwem czyhającym nań w Londynie.

Nagle przysłała mu do głowy pewna myśl.

- Po tym incydencie w parku, kiedy Moira przeczuwała, że ktoś będzie chciał uprowadzić Charlesa, określiła ją jak9 niespełna rozumu. A jeśli Moira jest oczywiście obdarzona jakimś szczególnym darem jasnowidztwa? Czyż nie uważałaby wówczas, że jest "inna"?

Może to właśnie jest wytłumaczenie, dlaczego tak uparcie broni się przed małżeństwem?

- Nie, jeżeli to był odosobniony przypadek - powiedział Stammen. - Wszyscy od czasu do czasu mamy nie wyjaśnione przecucia. Pamiętam, jak dzięki twojej intuicji obaj wyszliśmy cało z opresji pod Salamanką.

- Myślę, że w przypadku księżnej to częste zjawisko. Zaledwie dziś rano widziała Wellingtona wzywającego mnie do Londynu, gdyż, jak to określiła: "wydarzyło się coś ważnego i sytuacja jest niezwykle poważna". Moira twierdzi poza tym, że kiedy tylko wyjadę do stolicy, Quentin zorganizuje zamach na moje życie. Wiem, że nie żartuje i święcie wierzy w to, co mówi.

Stammen zabębnił palcami w poręcz krzesła.

- Może i tak, choć brzmi to niewiarygodnie. Jeśli Moira rzeczywiście jest jasnowidzem, musi się chyba czuć, jakby była wybrykiem natury. - Skrzywił się. - Doskonale znam to uczucie. Pewnie dlatego doskonale się rozumiemy.

- Jutro rano zapytam ją o to - postanowił Devon. - Jeśli dzieli nas tylko jej zdolność przewidywania przyszłości - a moim zdaniem tak właśnie jest - przekonam ją, iż dla mnie nie stanowi to żadnej przeszkody. - Rozciągnął usta w słabym, wymuszonym uśmiechu. - Rozumiem jednak, że niejednego taka sytuacja wytrąciłaby z równowagi.

- Wszystko, co dotyczy księżnej, nie wyłączając jej niezwyklej urody, może pozbawić spokoju każdego mężczyznę - odparł z uśmiechem Stammen. - Któż inny, poza ekscentrycznym dziwakiem ze skłonnościami samobójczymi, odważyłby się pojąć za żonę kobietę, która jest równie bystra jak oksfordzki profesor, odważna niczym strzelec z Northumberland i tak zręczna we władaniu nożem jak hiszpańska markietanka ... pomijając już jej umiejętności przepowiadania przyszłości? Choć mówiłem to już wcześniej, pozwolę sobie powtórzyć jeszcze raz. Jestem głęboko przekonany, iż jesteście dla siebie stworzeni.

- Zgadza się z tobą najzupełniej - przytaknął Devon, a jego uśmiech nabrał śmiałości. - Dokładnie to samo powiem Moirze, zanim słońce ponownie zajdzie nad Kornwalią. Zbyt podniecony, aby usiedzieć w miejscu, zaczął wędrówkę po pokoju. W pewnej chwili



Partridge otworzył drzwi.

- Sierżant Evans chce się z panem widzieć, milordzie.

Powiedziałem, że jest pan zajęty, ale przywiózł pilną wiadomość z Whitehall i musi doręczyć ją panu osobiście.

- Wprowadź go - poprosił Devon z jakimś dziwnym przeczuciem. Spojrzał na Stamdena, w którego oczach dojrzał ten sam niepokój, jaki zagnieździł się w umyśle Devona.

Sierżant był chudym, żylastym mężczyzną o nieokreślonym wieku. Nad ogorzałą twarzą wyrastała strzecha wypalonych słońcem włosów. Widać było, że przebył długą i ciężką drogę - ledwie się trzymał na nogach.

- Kapitan Higgins polecił dostarczyć to panu jak najszybciej, milordzie - wykrztusił przez spierzchnięte i zakurzone usta, podając Devonowi niewielką paczuszkę zawiniętą w ceratę.

Devon nalał posłańcowi brandy, którą ten wychylił jednym haustem.

- Partridge, powierzam ci sierżanta - powiedział do oczekującego na polecenia lokaja. - Gorąca kąpiel, obfity posiłek i miękkie łóżko. W tej kolejności, jeśli łaska.

Otworzył list dopiero, kiedy został sam ze Stamdensem. - To od Higginsa - stwierdził. - Trzy krótkie akapity napisane w pośpiechu. - Zaczął czytać na głos: - "Wydarzyło się coś ważnego i sytuacja jest niezwykle poważna".

Serce zatrzepotało mu w piersi. Identyczne słowa padły z ust Moiry. Uniósłszy głowę, napotkał zaskoczone spojrzenie markiza.

- Niesamowite. Na miłość boską, czytaj dalej. Co jeszcze Higgins pisze?

- "Pierwszą marca korsykański potwór uciekł z Elby i z niewielkim oddziałem wylądował w zatoce Juana. Według naszych informatorów jego siły rosną z dnia na dzień". - Devon zaklął brzydko, a potem czytał dalej: - "Mówią, że z licznymi siłami dotrze do Paryża jeszcze przed pierwszym kwietnia. Nic go nie powstrzyma, aby odzyskać Francję".

Devon zwał się ciężko na krzesło. Nie mógł uwierzyć, że ten koszmarny sen się powtórzy. Z bólem w sercu przeczytał ostatni akapit:

- "Tuszę, iż przekażesz wieści pułkownikowi Stamdenu, gdyż, o ile wiem, jesteście ze sobą w kontakcie. Wellington potrzebuje wszystkich oficerów, którzy już raz dali odpór legionom Bonapartego".

Devon podał list markizowi i obserwował, jak wyraz niedowierzania pojawia się na przeoranej blizną twarzy przyjaciela.

- Szalenie. Woli być świadkiem śmierci wszystkich Francuzów niż porzucić ambicję, aby zostać cesarzem całej Europy - powiedział Stamdenu. - Trzeba z tym wreszcie skończyć.

- Tak, i rozprawić się nim ostatecznie - przytaknął Devon.

Stamdenu zmęczonym ruchem przetarł oczy.

- Jutro z samego rana pożegnam się z Elizabeth. Potem mogę jechać z tobą do Londynu.

- A ja porozmawiam z Moirą - zdecydował Devon. - Gdybym nie wrócił z tej misji, chcę, aby księżna wiedziała, że niezależnie od wszystkiego szczerze ją kochałem.

Następnego dnia tuż po siódmej rano Devon znalazł Moirę w warzywnym ogrodzie Białych Dębów. Na kłęczkach, tępym rydelkiem, wykopywała płytki rowek. Dziwne to było zachowanie jak na księżną, lecz do Moiry w jakiś sposób pasowało.

Początkowo jej nie rozpoznał. Miała gołe ręce, twarz ocienioną szerokim rondem zniszczonego, słomianego kapelusza, a czarną suknię tak pokrytą kurzem, iż w pierwszej chwili wziął ją za okoliczną wdowę pomagającą służbie w przygotowaniach do ślubu.

Pochłonięta pracą Moira dostrzegła Devona dopiero, kiedy stanął tuż przed nią.

Spojrzała do góry, a na jej twarzy odmalowało się zaskoczenie.

- Devon! Co tu robisz tak wcześnie? - Spłonęła rumieńcem. - Przyłapałeś mnie na gorącym uczynku. W głębi serca pozostałam wieśniaczką. Uwielbiam czuć pod palcami żywną, czarną ziemię.

- Już od pewnego czasu miałem w tym względzie pewne podejrzenia, pani - stwierdził,

przykucając obok niej. - Ale i tak mnie zaskoczyłaś. Widywałem już utytułowane damy zrywające kwiaty w ogrodzie, lecz muszę wyznać, iż nigdy nie widziałem, aby któraś sadziła warzywa. - Uśmiechnął się. - Jesteś pełna niespodzianek, moja kochana.

- Nie jestem twoją kochaną - ostro zaprotestowała.

- To zależy od punktu widzenia. Zamierzam wrócić do tego tematu po powrocie.

- Wyjeżdżasz? No tak, oczywiście. Masz na sobie strój podróżny. - Nagły niepokój zamglili jej oczy. - Wellington cię wezwał, prawda?

- Zgodnie z twoimi przewidywaniami. Stało się dokładnie tak, jak mówiłaś. To pismo, które otrzymałem właśnie z Londynu, dowodzi, że najwyższy czas, abym ja - zatwardziały sceptyk - zaczął wreszcie wierzyć w twoje wizje. - Devon podniósł się i pomógł wstać Moirze. - Bonaparte uciekł z Elby, zbiera żołnierzy i zamierza ponownie rozpętać wojnę.

- Och nie! - Przycisnęła palce do ust, chcąc zdusić rosnący w gardle krzyk. - Ale przecież lord Wellington nie oczekuje chyba, że znów pójdziesz w bój - tyle już przeszedłeś.

- Ani ja, ani Standen nie wiemy, czego od nas oczekuje.

Niezależnie jednak od tego, czego od nas zażąda; nie odmówimy. Losy Anglii, a dokładnie mówiąc losy całej Europy, są zagrożone. A Wellington to jedyny człowiek, który może uratować nas przed zakusami tego szaleńca Korsykanina.

Devon omiótł twarz Moiry poważnym wzrokiem.

- Chodźmy gdzieś, gdzie przez kilka minut będziemy sami - poprosił miękko. -

Pożegnałem się już z Charlesem. I z tobą chciałbym się pożegnać, ale na osobności. A tu ktoś nas obserwuje przez kuchenne okno.

Moira, mimo paraliżującego strachu, musiała się uśmiechnąć.

- Kucharka jest bardzo kochana, ale potwornie wścibska. Devon zaśmiał się.

- Ma więc wiele wspólnego z moim lokajem, Partridge'em. Dziwię się czasami, że zarys dziurki od klucza nie odcisnął się na stałe na jego uchu.

Podał Moirze rękę, a ona poprowadziła go przez otoczony murem ogród warzywny. Po chwili, skręciwszy za dom, znaleźli się w niewielkim ogródku u stóp tarasu.

- To miejsce wydaje mi się dziwnie znajome - powiedział kilka minut później. - Jeśli się nie mylę, za następną kępą drzew ujrzymy rybę pluącą wodą, tę samą, która była świadkiem jednego z mniej radosnych momentów w mojej karierze rozpustnika.

Moira, stanąwszy jak wryta, uśmiechnęła się mimowolnie.

- Och, przepraszam. Nie pomyślałam. To mój ulubiony ogród i tylko tu naprawdę możemy być sami. - Rumieniec wypelzł na jej policzki. - Na wypadek gdybyś chciał mnie pocałować na pożegnanie.

- Rzeczywiście, taki był mój zamiar, kochana. Dobrze o tym wiesz. A może potrafisz czytać w myślach?

- Nie, nie mam żadnych tajemnych mocy. Tylko ten jeden dar, który od pokoleń przechodzi z matki na córkę w mojej rodzinie - zdolność wyczuwania niebezpieczeństwa grożącego bliskiej nam osobie - powiedziała bez zastanowienia.

Oczy Devona szatańsko zabłyśły.

- Najdroższa, wreszcie się zdradziłaś - stwierdził triumfalnie. - A więc rzeczywiście jesteś jedną z tych irlandzkich prorokiń. Pewnie zaraz się dowiem, że masz do czynienia z wrózkami i krasnoludkami. - Spoważniał. - Przywodzi mi to na myśl coś, co chciałbym ci powiedzieć, zanim wyjadę. Nieważne czy jesteś jasnowidzem, wieszczką, a może nawet czarownicą, najdroższa. Kocham cię i chcę, abyś została moją żoną i matką moich dzieci. Moira miała wrażenie, iż w jej sercu powstała jakaś wielka wyrwa.

- Devonie, sam nie wiesz, co mówisz. W rzeczywistości wielu rzeczy jeszcze o mnie nie wiesz. - Westchnęła. - Kiedy wrócisz, powiem ci wszystko i już nie będzie między nami żadnych tajemnic.

- Żadnych więcej sekretów?

Devon wziął Moirę w ramiona, zakrywając jej usta pocałunkiem tak czułym i namiętym, że ich ciała niemal zlały się w jedno. Ze zduszonym jękiem opuścił dłonie na biodra Moiry i

przyciągnął jej kobiecą miękkość do swej twardej męskości. Ogarnęło ją pożądanie. Przez krótki, pełen ekstazy moment, poddała się tym cudownym emocjom, jakie rozbudziły się w niej pod wpływem smaku, dotyku i zapachu Devona.

- Kocham cię - wyszeptał, a wtedy Moira poczuła, jak pogłębia się rana w jej sercu.

- Kocham cię - odszepnęła. Nie mogła go odesłać, choć raz nie wypowiedziawszy tych słów, ale ta przeogromna czułość emanująca z przystojnej twarzy Devona uczyniła jej serce chorym z rozpaczony wywołanej beznadziejnością tej miłości.

Jeszcze długo po tym, jak w oddali ucichł odgłos podków jego wierzchowca, Moira stała bez ruchu tam, gdzie hrabia ją zostawił. Czuli się tak pusta i samotna, jakby Devon wyrwał jej serce z piersi i zabrał ze sobą w torbie przytroczonej do siodła.

Resztę dnia spędziła, pocieszając zrozpaczoną Elizabeth i przekonując Charlesa, iż jego opiekun naprawdę zamierzał dotrzymać słowa, kiedy mu obiecywał, że będzie żył jeszcze długie lata. Własny ból ukrywała pod maską zastygłego uśmiechu i radosnego głosu, który nawet w jej uszach brzmiał fałszywie.

Dopiero po północy, spędziwszy w łóżku długie bezsenne godziny, wymknęła się do warzywnego ogrodu. Tam, na kolanach, przy świetle świecy, pracowicie sadziła nasiona w żyznej, czarnej i życiodajnej ziemi ... i podlewając je łzami, których nie mogła już dłużej powstrzymać.

Choć w chwili przyjazdu Devona i Starndena w Whitehall wrzało niczym w ulu, przedarłszy się przez tłum oczekujących petentów, natychmiast znaleźli się w gabinecie ministra spraw zagranicznych. Lord Castlereagh ucieszył się na ich widok.

- Witajcie panowie. Szybko przybyliście. Musieliście chyba jechać dniem i nocą, bez odpoczynku.

Wskazał im krzesła i zgodnie ze swoim zwyczajem, od razu przystąpił do rzeczy.

- Wellington przebywa w Brukseli, gdzie werbuje żołnierzy. Poprosił mnie, abym zmobilizował panów w jego imieniu. Ale najpierw muszę was prosić, byście dali mi słowo, że nic z tego, co za chwilę powiem, nie wyjdzie poza ściany te~o pokoju.

Devon z oburzeniem uniósł brwi.

- Nie musiał pan o to prosić, milordzie.

- Wiem. Przepraszam. Trudne czasy nastały. Człowiek staje się ostrożny aż do przesady. - Castlereagh obdarzył swym słynnym, przeszywającym na wskroś spojrzeniem najpierw Devona, a potem Stamdena. - Chciałbym zacząć od wyraźnego stwierdzenia, iż w mojej opinii Wellington to najbardziej utalentowany oficer w służbie Jego Królewskiej Mości.

- W tej sprawie proszę nie spodziewać się po nas odmiennego zdania - wtrącił Starnden.

- Tak też myślałem. Spośród tych, którzy służyli pod jego rozkazami w Hiszpanii, tylko ci, co uchylali się od swoich obowiązków, nie aprobują taktyki Wellingtona. Nie ma on bowiem pobłażliwości dla ludzi tego pokroju, nie toleruje także tchórzostwa. W efekcie uczynił sobie wrogów z kilku znaczących, ale niebezpiecznych osób.

Zamilkł na chwilę, jakby zbierając myśli.

- Człowiek, który ma wrogów, nie może pozwolić sobie na błędy. A Wellington ostatnio popełnił poważną pomyłkę, jakich niewiele w jego wspaniałej karierze.

Devon, zanim zwrócił się do ministra, wymienił ze Stamdensem szybkie spojrzenie.

- Nie ma ludzi nieomylnych, milordzie - oświadczył sztywno. - Jednak księżę bliższy jest ideału niż ktokolwiek inny. Jeśli wezwał nas pan tutaj, aby go krytykować, wybrał pan niewłaściwych ludzi. Zawsze będziemy lojalni wobec naszego byłego dowódcy.

Castlereagh potrząsnął głową.

- Źle mnie panowie zrozumieli. Arthur Wellesley jest mi bliższy niż rodzony brat. Dzieląc się z wami moimi uwagami, miałem na względzie wyłącznie jego dobro. To przecież ja, w maju zeszłego roku, wystąpiłem o nominację dla księcia na stanowisko ambasadora Wielkiej Brytanii we Francji, a w lutym tego roku, tylko dzięki mojej interwencji wysłano go na Kongres Wiedeński w charakterze przedstawiciela Jego Królewskiej Mości. Obie te

funkcje wypełnił doskonale ... z jednym tylko istotnym wyjątkiem.

Otworzył górną szufladę z prawej strony biurka i wyjął jakiś dokument.

- Dowiedziawszy się o ucieczce Napoleona z Elby, przesłał to do naszego ministerstwa spraw zagranicznych.

Castlereagh podał kartkę Devonowi. Był to list, w którym jedno zdanie zostało podkreślone grubą czarną linią:

"Bonaparte działa na podstawie fałszywych - lub braku - informacji; wojska Ludwika XVIII zniszczą go bez trudu i to w krótkim czasie".

Przeczytawszy tajemnicze przesłanie, Devon z niepokojem w sercu podał je Stamdenu. Wraz ze swymi ludźmi schwytał kiedyś dQ niewoli pluton francuskiej piechoty. Zanim mógł przekazać jeńców brytyjskiemu dowództwu, spędził z nimi około tygodnia. W tym czasie wiele się dowiedział o mentalności Francuzów, nie wyłączając ich wielkiej nienawiści do Burbonów, której nie zdołały przytłumić ani okropieństwa rewolucji, ani despotyzm Napoleona.

- Niestety - odezwał się ponuro minister - w kilka godzin po otrzymaniu tego pisma dostaliśmy informację od naszego człowieka w Paryżu o ucieczce Ludwika do Gentu.

Generał Ney wraz ze swymi poplecznikami przeszedł na stronę Bonapartego. Ich połączone armie dotarły już na przedmieścia Paryża.

Wskazał na list od księcia.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, jak Wellington mógł do tego stopnia mylnie zrozumieć Francuzów. Nie rozumiem też powodów, dla których nie docenia tej zaskakującej potęgi Napoleona. W efekcie dał przeciwnikom podstawę do stwierdzenia, iż z powodu błędnej oceny sytuacji jest niezdolny do przewodzenia siłom brytyjskim w zbliżającej się bitwie przeciwko Korsykaninowi. Bóg jeden wie, kto miałby go zastąpić.

Minister pochylił się do przodu z napiętą twarzą, opierając ręce na blacie biurka.

- Ci sami ludzie atakują również i moją osobę. Wyciągają na światło dzienne stare przesady dotyczące niebezpieczeństwa związanego z przekazaniem wielkiej władzy w ręce Irlandczyków, czyli Wellingtona i mnie.

- Doszły nas różne słuchy - przyznał Devon. - Do Londynu przyjechaliśmy wczoraj późnym popołudniem i spędziliśmy wieczór u Whitesa z zamiarem poznania najnowszych plotek i wieści.

- Czego więc od nas żądasz, milordzie? Jesteśmy na twoje rozkazy - wtrącił się Stamdenu. Uśmiech wdzięczności wykwitł na zmęczonej twarzy Castlereagha. Przez krótki moment wyglądał znacznie młodziej niż na swoje czterdzieści sześć lat.

- Potrzebuję kogoś, kto poprowadziłby kampanię zmierzającą do utrzymania Wellingtona na stanowisku dowódcy sił brytyjskich. Książę zapewnił mnie, że panowie są wręcz stworzeni do tego zadania. Podzielał jego opinię. Obaj macie posłuch u księcia regenta, a także wśród najbardziej wpływowych członków parlamentu.

Devon wstał z krzesła.

- Milordzie, oświadczam nie tylko w swoim własnym, ale również w imieniu markiza Stamdenu, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby nie dopuścić do odebrania Wellingtonowi dowództwa - stwierdził z dziwną ulgą, że tym razem jest potrzebny jako dyplomata, a nie żołnierz.

Castlereagh uważnie przyjrzał się twarzy Devona i jakby czytając w jego myślach, powiedział:

- Doskonale. Choć .obaj jesteście najzdolniejszymi oficerami Wellingtona, nie mogę jednak dopuścić, abyście wrócili na pole bitwy, nie zostawiwszy dziedziców do tytułu. Teraz Stamdenu podniósł się z krzesła i stanął obok Devona, a w jego głęboko osadzonych oczach zabłyśnął podejrzany ognik.

- Milordzie, oświadczam nie tylko w swoim, ale również w imieniu hrabiego Langley, że zaraz po rozgromieniu Bonapartego zamierzamy skierować cały nasz wysiłek na rozwiązanie tego problemu.

## Rozdział czternasty

Szcście ostatnio nie dopisywało Philipowi Handleyowi, wicehrabiemu Quentinowi. Inaczej miały się sprawy z jego porażkami. Pod tym względem, szczerze mógł przyznać, los obficie go obdarował. Wzdrygnął się na wspomnienie niepowodzeń minionego miesiąca. Najpierw nie powiodły się dwie próby porwania księcia. Potem spędził trzy odrażające tygodnie, zalecając się do starej krowy, czyli hrabiny wdowy, a było to doświadczenie nie dość, że nieprzyjemne, to na dodatek bezowocne i nader kosztowne. Natępnie, w obawie, że hrabia Langley wcieli w życie swoją groźbę, nie odważył się już dokonać kolejnego zamachu na osobę księcia. Celne oko Devona i szybkość w strzelaniu z pistoletu są wręcz legendarne. Póki więc nie wymyśli sposobu, aby pozbyć się hrabiego, ta droga jest dla Quentina zamknięta.

Znowu się wzdrygnął. Tym razem na wspomnienie nienawiści wyzierającej z oczu hrabiego, gdy ten kazał mu się wynosić z Langley Hall, oraz na myśl o tej upokarzającej podróży z Kornwalii do Londynu w publicznym dyliżansie.

Ukoronowaniem wszystkiego był widok policjanta, który czekał przed domem Quentina, aby aresztować go za długi. Tu jednak dopisało mu szczęście, dostrzegł go bowiem w porę i zdążył się skryć za rogiem.

Wszystko to należy już do przeszłości. Jego karta się odwróciła w momencie, kiedy przypomniał sobie, iż księżna wraz z dworem opuściła londyńską siedzibę Sheffieldów. Rozpaczliwa sytuacja wymaga rozpaczliwych działań. Zapukał więc do drzwi i zażądał, aby przy- gotowano dlań pokój - jest przecież członkiem rodziny księcia. Za każdym razem, kiedy pomyślał o swej od- wadze, odczuwał ogromną dumę.

Tytuł Quentina wywarł zbyt wielkie wrażenie na Chawleighu, wiekowym lokaju, aby otwarcie zakwestionował prawo wicehrabiego do pobytu w oPłjszczonej rezydencji kuzyna.

- Nie spodoba się jej to. Wcale nie. - Stary zakwilił, a jego skrzywiona mina powiedziała Quentinowi, że nie pała do obecnej księżnej wielką miłością.

- A jakież to ma znaczenie? - zapytał Quentin wyniośle.

- Jest tak pospolita, jak ten kurz na drodze. Wszyscy, którzy coś znaczą w tym kraju, doskonale zdają sobie sprawę z tego, iż zyskała tytuł i bogactwo podstępem, nakłaniając mojego sklerotycznego wuja do małżeństwa.

- Pani wciąż to powtarza - zgodził się Chawleigh. Pełen zadowolenia uśmiech nadał mu wygląd dobrze odżywionej ropuchy. - Czy przyzwoici ludzie nie mogą czegoś zrobić w tej sprawie?

- Kazałem już prawnikom zająć się tą kwestią - odparł wymijająco Quentin i patrzył, jak stary głupiec idzie powiadomić "swoją panią", iż szanujący się członek rodziny zamierza obalić uzurpatorkę.

Te wydarzenia miały jednak miejsce przed trzema dniami i chociaż chwilowo spadł mu z głowy problem dachu nad głową i wyżywienia, nadal nie znalazł środków na to, aby prowadzić swój ulubiony styl życia. Wicehrabia rozejrzał się po eleganckim pokoju, w którym sypiał za dnia, w nocy bowiem próbował odzyskać majątek w jaskiniach hazardu na East Endzie. Aż do momentu owego cudownego odkrycia, jakiego wczoraj dokonał, miał niewielkie nadzieje na osiągnięcie zamierzonego celu.

Kiedy chodził po domu, szukając dzieł sztuki, które dałoby się wynieść pod płaszczem i sprzedać w lombardzie, przypadkiem natrafił na sejf starego księcia ukryty w ciemnym kącie biblioteki.

Zaparło mu dech w piersi. Czemu nie pomyślał o tym wcześniej? Nie raz i nie dwa widział przecież, jak wuj z tego właśnie sejfu wyciąga bezcenne szmaragdy, diamenty i rubiny Sheffieldów, aby przed przyjęciem ozdobić nimi szyję, uszy i ręce poprzedniej księżnej. Zgodnie z tym, co Quentin wiedział, obecna księżna nigdy nie założyła żadnego klejnotu z tej kolekcji. Jako przeciętna wieśniaczka na pewno nie ma pojęcia o ich wartości i o

prestżu, jaki dzięki nim zyskuje kobieta w oczach społeczeństwa. Kiedy, jeśli w ogóle, wróci do Londynu, prawdopodobnie nawet nie zajrzy do sejfu. Nie odkryje więc, że został splądrowany.

Zegar na kominku wybił drugą. Wicehrabia, trzymając buty w jednej ręce, a świecę w drugiej, przemknął się cichutko przez rozliczne korytarze oddzielające pokoje na piętrze, po czym zszedł po szerokich, spiralnych schodach i dotarł do biblioteki. Choć stary Chawlehrh wraz z resztą nielicznej służby spał w odległym skrzydle, Quentin nie chciał kusić losu.

Biblioteka, podobnie zresztą jak pozostałe pokoje, była pogrążona w ciemnościach, zimna i pełna upiornych pokrowców przykrywających meble. Ściągnawszy materiał z rogu biurka, postawił tam świecę i podszedł do drzwi balkonowych. Po chwili z cienia wynurzyła się jakaś postać i weszła przez otwarte drzwi.

Quentin przyjrzał się "mistrzowi włamywaczy" z wyraźnym obrzydzeniem. Znalazł go przez właścicielkę burdelu, który zaszczycił swą obecnością poprzedniej nocy. Słaby płomień świecy ukazał szeroką twarz o silnych szczękach i gęstych brwiach, stroszących się nad wyłupiastymi oczami i czerwonymi, cienkimi, jakby powstałymi przez cięcie nożem, ustami. Zbir sprawiał wybitnie nieprzyjemne wrażenie. Każdy pragnąłby uniknąć spotkania z takim typem. Co gorsza, nawet w kapeluszu sięgał zaledwie dopasa mężczyźnie o przeciętnym wzroście. Quentin zaklął pod nosem. Dał babie aż pięć szylingów, a ona przysłała takiego karła!

- Gdzie ten sejf, do - zapytał zbir głosem mieszkańca rysztołów.

- Tam, w kącie - wskazał Quentin.

Liliput, przyodziały w schludną opończę i eleganckie granatowe spodnie, ruszył w kierunku sejfu rozkołysanym krokiem, na nogach nie dłuższych niż nóżki dziecka, które zaczyna dopiero chodzić. Obrzucił sejf przelotnym spojrzeniem i pokiwał nieproporcjonalnie wielką głową.

- Bułka z masłem. - Odwrócił się do Quentina, wyciągając rękę. - Rozumiem, iż madam Rose podała panu cenę. Wezmę teraz, jeśli łaska. Zawsze biorę z góry.

- Nie bądź śmieszny - warknął Quentin. - Myślisz, że gdybym miał gotówkę, wynająłbym taką szumowinę jak ty? Dostaniesz zapłatę i to moim zdaniem zbyt wygórowaną, kiedy tylko sprzedam pierwszy klejnot z tego cholernego sejfu.

Karzeł, przyłożywszy na moment środkowy palec prawej ręki do czoła w obraźliwym geście, pomaszzerował w kierunku otwartych drzwi balkonowych.

- Czekaj! Dokąd idziesz? - zapytał rozkazująco Quentin. - Mamy tu interes do załatwienia.

- Ale nie na kredyt, milordzie. Dam panu pewną radę. Dzięki niej zaoszczędzi pan sporo czasu w przyszłości. W Londynie nie znajdzie się włamywacz gotów kiwnąć dla pana choćby palcem, dopóki nie zobaczy pieniędzy.

Zrozpaczony Quentin podskoczył do okna i zatarasował karłowi drogę.

- Masz, weź to - powiedział, wyciągając z kieszonki kamizelki zdobną tabakierkę. - Jest warta dziesięć razy więcej, niż wynosi twoja cena. - Z niechęcią rozstawał się z jedną z niewielu pamiątek po dostatnich czasach, zwłaszcza na rzecz takiej kreatury. Lecz gdy tylko zagarnie klejnoty Sheffieldów, będzie mógł sobie kupić choćby i tuzin podobnych świecidełek.

Karzeł uważnie obejrzał tabakierkę, a następnie bez słowa schował ją do kieszeni i podszedł do sejfu. Przyłożył ucho do drzwi, przekręcił tarczę zamka kilkakrotnie w prawo, potem w lewo, aż trybiki trafiły na właściwe miejsce, po czym przekręciwszy gałkę, otworzył drzwi.

Quentin rzucił się do przodu, odepchnął karła na bok, wsadził głowę do środka i... jęknął. Sejf był pusty.

- Mam wrażenie, że ktoś już wpadł na ten sam pomysł, milordzie, ale ociupinkę wcześniej - powiedział drwiąco karzeł, a jego nieprzyjemny śmiech podrażnił i tak już stargane nerwy Quentina.

Wicehrabia nie miał wątpliwości co do tego, kto go wyprzedził. To ta sarna kobieta, która od czterech lat stoi między nim a fortuną. Potworna, zimna wściekłość pochwyciła go w swe szpony. Ta dziwka starego księcia ponownie go okpiła.

- Co teraz? - jęknął do siebie. Nie zdoła przecież ukrywać się przed wierzycielami w nieskończoność.

- Zawsze pozostaje armia - podpowiedział karzeł, wychodząc z pokoju. - Korsykanin znów jest na wolności, a nasi najlepsi żołnierze wciąż przebywają w Ameryce. Wellington liczy więc na każdego, kto potrafi posługiwać się bronią. - Wykrzywił twarz w gorzkim szyderstwie. - Z pewnością wykręci młynka z radości na widok tak wielkiego chwata jak pan.

Nagły poryw wiatru zgasił świecę, ale Quentin niemal nie zdawał sobie sprawy, że stoi w ciemnościach. Karzeł ma absolutną rację. Zawsze pozostaje armia.

Wellington liczy na każdego, kto potrafi posługiwać się bronią. Ale kto pierwszy zostanie wezwany do Whitehall, jeśli nie jego zaufany adiutant, bohater spod Talavery ... Devon St. Gwyre, hrabia Langley? To jasne jak słońce.

Quentin wybuchnął głośnym śmiechem. A co najłatwiej kupić dziś w Londynie? I to za cenę zaledwie kufła piwa? Płatnego zabójcę! To jasne jak słońce.

Choć Devona nie było dopiero nieco ponad rreSląc, Moira miała wrażenie, iż minął co najmniej rok, albo nawet całe stulecie.

Nieliczne wieści z kontyrientu docierające do Kornwalii brzmiały mało optymistycznie. Bonaparte przeszedł przez Francję, siejąc zniszczenie niczym bóg Wisznu, po drodze jeszcze zwiększając swe siły. Moira nie mogła uwierzyć, że Francuzi, choć tyle już wycierpieli przez despotycznego cesarza, nadal się wokół niego gromadzą. A jednak tak było. Nawet kilku dawnych generałów imperatora spośród tych, którzy zdradzili go po upadku, znów ślepo za nim podążało.

Elizabeth dostała od markiza jeden krótki liścik zawiadamiający, że obaj z Devonem są w Londynie i wykorzystują swe wpływy, aby uzyskać jak największe poparcie dla Wellingtona. Zadanie powierzone im przez lorda Castle-reagha miało większe znaczenie dla sprawy niż wysłanie dwóch nowych żołnierzy na pole bitwy.

Elizabeth, co zrozumiałe, była tym bardzo podekscytowana. Jednak Moirę, pamiętającą o niebezpieczeństwie, jakie Devonowi groziło w mieście, ogarnęło straszliwe przeczucie.

Przez dwa dni była tak sparaliżowana strachem, iż nie mogła nic robić. Siedziała tylko na swojej ulubionej skale ze wzrokiem wbitym w ocean i modliła się zarówno do Boga chrześcijan, jak i do bożków z jej dzieciństwa, aby chronili ukochanego przed niegodziwymi zakusami wice-hrabiego.

Dopiero trzeciego dnia zdołała wziąć się w garść.

Zaganiała służbę do trwających od tygodnia wiosennych porządków, jakich owa księżęca "kupa kamieni" nigdy przedtem nie widziała. Kiedy wreszcie ogarnęło ją zmęczenie zapowiadające, że choć raz zdoła przespać całą noc, w ponad dwustuletnim domu nawet najbystrzejsze oko nie dostrzegłoby najmniejszej plamki.

Potężny sztorm, jeden z tych, jakie nawiedzają wybrzeża Kornwalii, rozpętał się na oceanie tego wieczoru, kiedy wielkie sprzątanie miało się ku końcowi. Kiedy Moira wczłogała się do łóżka na kilka minut przed północą, burza

jeszcze przybrała na sile. Ukołysał ją do snu odgłos bijącego o szyby deszczu i wiatru świszczącego w każdym zakamarku starego domu.

Ale po chwili przywiódł ją do pełnej świadomości jakiś dźwięk na tyle potężny, że zagłuszył huk żywiołów i niczym strzała z wielkiej kuszy przedarł się przez jej wyczerpany umysł.

Poderwała się natychmiast, usiłując zidentyfikować prze-nikliwy, rytmiczny odgłos, który, o dziwo, zdawał się mieć swe źródło gdzieś w jej głowie, a nie za oknem.

Kroki. Szybkie, mocne kroki. Teraz wyraźnie je słyszała. Nagle przed jej oczami ukazał się mokry bruk. Szary kapuśniaczek moczył dostojne, niemal przylepione do siebie domy.

Londyn. Tak, to musi być Londyn.

Złocisty błysk. Devon, bez kapelusza, z jasnymi włosami błyszczącymi w świetle gazowych lamp, które niedawno zainstalowano w Londynie. Idzie sam po opustoszałej ulicy.

Z cienia cicho i zręcznie wynurzył się jakiś mężczyzna.

Palce prawej dłoni ma zaciśnięte na sztylcie.

- Devonie, odwróć się - zawołała Moira. Jej serce waliło jak oszalałe. - Obejrzyj się. Jesteś w niebezpieczeństwie!

Wizja zniknęła tak szybko, jak się pojawiła. Moira, od stóp do głów zlaną zimnym potem, opadła na poduszkę.

Czy Devon ją usłyszał? Czy głos jej miłości jest na tyle silny, aby przekazać ukochanemu ostrzeżenie z odległości setek kilometrów?

Wbiła wzrok w otaczającą ją ciemność. Czy jej złoto-włosy rycerz jest bezpieczny? A może leży teraz samotny, dogorywając na opustoszałej londyńskiej ulicy? Ostatnią rzeczą, jaką ujrzała, zanim obraz zniknął, była kałuża szkarłatnej krwi rozszerzająca się na błotnistym bruku.

Moira wstała, włożyła szlafrok i nieprzytomna ze strachu patrzyła w okno tak długo, aż surowy kornwalijski krajobraz, niczym wdowa w drugim roku żałoby, przemienił nocną czerń w szarość świtu.

- Na Jowisza, dokonaliśmy tego. - Lord Castlereagh uśmiechnął się do Devona i Stamdena. Siedzieli we trójkę przy jednym ze stolików u Whitesa. Dochodziła północ. Lord gestem zamówił szampana. - Trzeba to oblać - oświadczył, nawiązując do faktu, że wraz z innymi zwolennikami Wellingtona zdołali namówić parlament do udzielenia Żelaznemu Księciu poparcia oraz przekazania mu funduszy na utworzenie armii, która wkrótce miała stawić czoło Napoleonowi.

\_ Myślałem, że Samuel Whitbread i jego poplecznicy wysuną kolejne argumenty przeciw Wellingtonowi - powiedział Stammen. - Ale gdy tylko przeczytał raport naszego paryskiego szpiega o tym, że każdy kowal we Francji został zobligowany do produkcji broni, natychmiast skapi-tulował.

Castlereagh wzruszył ramionami.

\_ Whitbread nie jest już takim zawadiaką, jak niegdyś. Dzięki Bogu, przedłużająca się dysputa na temat Drury Lane pozbawiła go silnej pozycji. - Uniósł kieliszek. - Za księcia. Niech Bóg ma go w swojej opiece. Choć już wiele dla niego zrobiliśmy, to jednak wszystko jeszcze przed nim. Dowodzi przecież głównie zielonymi oddziałami.

\_ Czy teraz, kiedy ta nieszczęsna awantura dobiegła końca, można się spodziewać rychłego powrotu weteranów z Ameryki? - zapytał Devon.

\_ Nie dość rychłego, aby zdążyli dołączyć do Wellingtona przed rozstrzygającą bitwą. - Castlereagh spojrzał Devonowi prosto w oczy. - Proszę jednak nawet nie myśleć, milordzie, o zaciągnięciu się na jeden z okrętów wypływających z wojskiem z Harwick. Jeśli będzie trzeba, wydam rozkaz wyraźnie tego zabraniający. Anglia potrzebuje mężów stanu nie mniej niż żołnierzy. Po zakończeniu wojny będą jej niezbędnymi ludźmi, którzy potrafią podejmować rozsądne decyzje i podsuwać rządowi mądre rady. Liczę, że pan i markiz znajdziecie się wśród nich. W obecnej chwili najlepiej przysłużycie się krajowi, zapewniając przyszłych dziedziców do waszych tytułów i członków Izby Lordów. Devon skinął głową, a kiedy w wyobraźni zobaczył szczupłe ciało Moiry noszące jego dziecko, uśmiechnął się do siebie. Jego dziecko!

- Składam hołd pańskiej mądrości, sir - powiedział. - Lecz mimo wszystko ogromnie żałuję, iż nie będzie mi dane zobaczyć ostatecznej porażki tego korsykańskiego szaleńca.

Pokładam w Bogu nadzieję, że tym razem jego los się dokona zgodnie z pańską radą.

Pamiętam pański silny sprzeciw wobec zesłania go na wyspę położoną tak blisko Korsyki.

- Uzyskam posłuch, milordzie. Gwarantuję to panu - stwierdził poważnym tonem minister.



Kilka minut później Devon życzył dobrej nocy towarzyszom i ruszył do domu. Ostatni miesiąc minął mu w głównej mierze na błaganiu, przypochebianiu się, a nawet kłótniach z wpływowymi parlamentarzystami, aby tylko przeciągnąć ich na stronę Wellingtona. W tej chwili najbardziej potrzebował spokoju, tak niezbędnego dla odzyskania równowagi ducha.

Kiedy wyszedł z restauracji na ciemną ulicę, niewielka bryza przemieniła się w porywisty wiatr, a ciepły, wiosenny deszcz obmywał mu twarz. Ruszył na poszukiwanie powozu, ale nie mógł go znaleźć. Gdzież się podział, do licha? Nigdy przedtem nie zdarzyło się, aby woźnica nie przybył na umówione miejsce w oznaczonym czasie.

Pomyślał o wynajęciu dorożki, ale żadnej nie było w pobliżu. W końcu, choć zmęczenie wywołało ból w nodze, postanowił wrócić do domu piechotą. Żwawo ruszył więc przed siebie, uważnie obserwując ulicę. Minał go tylko jeden powóz. Poza tym - choć w tych trudnych czasach nawet w porządnym mieście na ogół spotykało się przeróżnych opryszków - ulica była pusta.

Nagły poryw wiatru zerwał Devonowi z głowy jego ulubiony kapelusz, który upadł wprost pod kopyta koni ciągnących przejeżdżający powóz. Z przekleństwem na ustach obiecał sobie, że kiedy tylko zobaczy swojego woźnicę, da mu porządny wygawor, którego łajdak szybko nie zapomni. Dobrze opłacał swoją służbę, ale w zamian oczekiwał należytego wykonywania rozkazów.

Przypomniawszy sobie ostrzeżenie Moiry, przyspieszył kroku. Na szczęście gazowe latarnie rzucały sporo światła na ulicę. Stukot obcasów jego wysokich butów odbijał się głuchym echem od mokrego bruku. W pewnej chwili przeszedł go dziwny dreszcz. Devon odpiął opończę i zza paska od spodni wyciągnął pistolet.

Nagle, nie wiadomo skąd, usłyszał wołanie. Serce w nim zamarło. To Moira. Wszędzie rozpoznałby jej głos.

- Devonie, odwróć się! - zawołała. - Obejrzyj się. Jesteś w niebezpieczeństwie! Obrócił się na pięcie, akurat na czas, aby zmienić kierunek uderzenia sztyletu tkwiącego w ręce bandyty. Ubrany na czarno napastnik miał długie, przetłuszczone włosy i twarz łasicy. Devon poczuł, jak ostrze przecina materiał rękawa i zagłębia się w jego ramieniu. Instynktownie wyciągnął nogę, chcąc podciąć napastnika. Ten odskoczył na odległość dobrych dwóch metrów i ze zduszonym jękiem zwałił się na ziemię twarzą do bruku. Z odbezpieczonym pistoletem Devon podszedł do leżącego, czubkiem buta przewrócił go na plecy i spojrzał na swego niedoszłego mordercę. Ostrze, które przed kilkoma sekundami rozcięło rękaw Devona, teraz tkwiło po samą rękojeść w piersi właściciela, a kałuża krwi rozlała się na błotnistym bruku. Z ostatnim, słabym jękiem przypominającym bulgot, napastnik wyzionął ducha. Jego otwarte, bez życia, oczy wpatrywały się w Devona. Devon wsunął pistolet za pasek i zacisnął palcami krwawiącą ranę. Zostawiwszy bandytę na ulicy, pospieszył do domu. Nie miał najmniejszej ochoty wikłać się w długotrwałe i bezowocne śledztwo. Doskonale wiedział, kto wynajął napastnika, ale i tak w żaden sposób nie zdołałby tego udowodnić stosownym władzom.

Rozejrzał się po raz ostatni. Może zobaczy Moirę? Nie, oczywiście, że nie. Przecież księżna znajduje się o setki kilometrów stąd. Ale to jej głos ostrzegł hrabiego - był tego zupełnie pewny. Ponownie, ocaliła mu życie, i to w sposób jeszcze bardziej niesamowity niż poprzednio.

Ciarki przebiegły po ciele Devona. Do diabła, w takiej sytuacji każdy pewnie by się zastanawiał, czy przypadkiem nie stracił rozumu.

Ned jak zwykle czekał na powrót Devona. Natychmiast usadził hrabiego na krześle w bibliotece, obnażył do pasa i przyłożył do rany lekarstwo doktora Hamisha MacDonalda - kompres ze spleśniałego chleba. Kończył już bandażowanie, kiedy głośno zastukano do drzwi.

- Niech to diabli! Ktoś musiał widzieć całe zajście i wezwał strażę - powiedział Devon. -

Teraz będę musiał przebrnąć przez nie kończące się pytania.

Ned popędził do drzwi, w obawie, że hałas obudzi resztę służby. Po chwili wrócił, prowadząc Stamdena, bladego jak bandaż okrywający ramię Devona.

- Dzięki Bogu, wszystko z tobą w porządku - powiedział z ulgą Peter. - Wracalem do domu, kiedy przy Upper

Brook Street natknalem się na twój pusty powóz.

- Do diabła! A gdzie, jeśli wolno zapytać, był mój woźnica? Chciałbym z nim zamienić słówko jeszcze dziś w nocy. Gdyby przyjechał po mnie na czas, nic by się nie wydarzyło.

- Cóż, obawiam się przyjacielu, że musisz poczekać, aż sam przekroczysz bramy niebios - stwierdził Stamen. - Chłopak wyglądał, jakby spał, ale kiedy przyjrzałem się bliżej, stwierdziłem, iż podejrzyłem mu gardło od ucha do ucha. Mój woźnica zabrał jego ciało i teraz twój stajenni je oporzadzają.

- Och nie! - jęknął Devon. Opis Petera wywołał w nim uczucie nudności. - Był taki młody, dopiero co skończył dwadzieścia lat. - Zmęczonym ruchem przesunął dłonią po oczach. - Powinienem się już chyba przyzwyczaić do śmierci, ale morderstwo popełnione na niewinnym chłopcu wydaje się gorsze niż śmierć na polu bitwy. Widziałem twarz napastnika. Najwyraźniej czerpał ze swego zajęcia wielką przyjemność.

Stamen zacisnął pięść.

- Zapewne wynajął go wicehrabia Quentin.

- Tak też sądzę, ale jak mam to udowodnić? Zagroziłem Quentinowi śmiercią, jeśli choć zbliży się do Moiry albo do księcia. Kiedy powiedziałem o tym Moirze, stwierdziła, iż ten tchórz na pewno kogoś wynajmie. - Devon patrzył na przyjaciela, gdy nagle przerażająca myśl przemknęła mu przez głowę. Przypomniał sobie słowa Quentina, kiedy ten owładnięty wściekłością krzyczał, że zarówno tytuł, jak i majątek księcia Sheffielda powinny należeć wyłącznie do mego.

- My wszyscy, nie wyłączając Moiry, nie doceniliśmy monstrualnej chciwości tego potwora. Opieka nad księciem nigdy nie była jego ostatecznym celem, a zaledwie środkiem do uzyskania całkowitej władzy nad chłopcem. On chce wszystkiego. Nie spocznie, dopóki nie usunie ze swej drogi Charlesa jako prawowitego spadkobiercy.

Stamen przytaknął.

- W moim przekonaniu dobrze odgadłeś jego zamiary. A biorąc pod uwagę jego olbrzymie długi, musi się pospieszyć, jeśli nie chce trafić do więzienia. Teraz pewnie myśli, że dzięki wynajętemu zabójcy przestałeś mu już zagrażać i zapewne już wysłał do Kornwalii kolejnego bandytę z poleceniem zamordowania Charlesa.

- Niech to diabli, masz rację - wykrzyknął Devon. - I chyba już teraz gratuluje sobie sukcesu. Quentin

wysupłał swój ostatni grosz, aby opłacić mordercę. Nasłany na mnie zbir nie był nowicjuszem. Poruszał się cicho jak kot. Gdybym nie został ostrzeżony, leżałbym teraz nieżywy w kałuży własnej krwi.

Stamen zmrużył oczy.

- Ostrzeżony? Przez kogo?

- Później ci powiem. Ale wątpię, abyś mi uwierzył. Mnie samemu trudno jest dać temu wiarę - odpowiedział Devon, wstając z krzesła i biorąc od Neda czystą koszulę.

- Teraz muszę się przygotować do wyjazdu do Kornwalii. Wyruszę o świcie. Najważniejsze jest bezpieczeństwo Charlesa ... i Moiry. Quentin poprzysiągł jej zemstę. Mogę sobie wyobrazić, jaki to będzie odwet.

- Pojedziemy razem - oświadczył Stamen. - Tutaj nasza misja została zakończona. Jeśli o mnie chodzi, zamierzam skorzystać z rady Castlereagha i jak najszybciej ożenić się z Elizabeth. - Uważnym spojrzeniem obrzucił zabandażowane ramię przyjaciela. - Czy jesteś pewien, że starczy ci sił, aby udać się w podróż?

- Oczywiście. To tylko zadrapanie. - Devon podszedł do biurka i wziął pióro. - Przedtem jednak muszę wydać instrukcje dla zarządcy. Trzeba się zatroszczyć o młodą wdowę po

zamordowanym woźnicy. Za ledwie dziś rano oznajmił mi z dumą, że spodziewają się dziecka.

Zacisnął gniewnie pięści.

- Podczas wojny w Hiszpanii ubolewałem nad każdym zabitym przeze mnie Francuzem - powiedział drżącym z emocji głosem. - Ale kiedy umieszczę kulkę w sercu tego szubrawca, nie odczuję najmniej szych wyrzutów sumienia.

## Rozdział piętnasty

Przeżalenie, wywołane ostatnią wizją, powoli opuszczało Moirę. W końcu pozostał tylko nieprzyjemny niepokój. Rozsądek podpowiadał, że skoro potrafi wyczuć niebezpieczeństwo grożące Devonowi, z pewnością wiedziałaby też, gdyby już nie żył albo został ciężko ranny. Jednak mimo wszystko obecna sytuacja doprowadzała ją do szału. Wolałaby już raczej nie mieć świadomości tych zagrożeń albo posiadać potężniejszy dar, dzięki któremu znałaby teraz całą prawdę ... widziała przecież tę kałużę krwi na bruku. Dla spokoju sumienia wzmocniła ochronę Charlesa.

Rozkazała, aby księżę zawsze przebywał w towarzystwie dwojga dorosłych. Słusznie czy niesłusznie, ale jeśli Quentin jest przekonany, iż pozbył się Devona, może dokonać następnego ataku na księcia, który stoi mu na drodze do zaspokojenia jego chciwych ambicji.

W końcu, ponieważ już nic więcej nie mogła zrobić, z rezygnacją oczekiwała powrotu Devona. Tego momentu zaś całym sercem pragnęła i jednocześnie bardzo się obawiała. Podczas ich ostatniego spotkania, obiecała Devonowi wyjawić całą prawdę ...

Zapagnęła nagle zwierzyć się babce. Od miesiący nie miała odwagi, aby wymknąć się do obozu Cyganów, choć odczuwała gwałtowną potrzebę duchowego wsparcia, na jakie zawsze mogła liczyć ze strony swoich beztroskich krewniaków.

Moira wiedziała, że są teraz niedaleko. Obok fontanny w swoim ulubionym ogrodzie znalazła patrin - cygański znak, zawiadamiający o ich powrocie do Kornwalii na czas wiosny i lata. Żaden gaujo nie zwróciłby uwagi na niepozorną kupkę żółodzi i gałązek, ona jednak natychmiast rozpoznała ten symbol i przesłała wiadomość do ojca.

Z patrin dowiedziała się, że Cyganie rozbili obóz tam, gdzie zwykle - w zagajniku na opuszczonym półwyspie, za ledwie dzień drogi od Białych Dębów. Gdyby nie troska o Charlesa, ruszyłaby do obozu natychmiast, jak tylko znalazła wiadomość w ogrodzie. Po raz pierwszy od dziesięciu lat spędzała wiosnę poza cygańskim taborem.

Na szczęście, w chwili kiedy oczekiwanie i samotność doprowadziły ją do granic wytrzymałości, do Białych Dębów dotarła comiesięczna przesyłka z księgarni Hatcharda. Moira otrzymała między innymi Mansfield Park, najnowszą, wydaną za ledwie w poprzednim roku, powieść Jane Austen.

Z większą żarliwością niż zazwyczaj pograżyła się w humorze i ironii, z jaką panna Austen rysowała satyryczny obraz społeczeństwa, zapominając na chwilę o tragizmie otaczającego ją świata. Kiedy jednak pod koniec powieści, czarujący łajdak, niejaki Henry Crawford, zmienił się z obiecującego, pozytywnego bohatera w kanalię i niegodziwca, odczuła przykre rozczarowanie. Mimo to głębia jego uczuć i namiętność bardziej ją zafascynowały aniżeli nieco mdła postać Darcy'ego, bohatera Dumy i uprzedzenia, poprzedniej książki Jane Austen. Być może dlatego, że przypominał jej trochę Devona? Moira siedziała skulona w fotelu pod oknem w swoim prywatnym saloniku przylegającym do sypialni. Był wczesny kwietniowy wieczór. Przerzucając ostatnie strony powieści, pograżyła się w marzeniach o przystojnym, złotowłosym rycerzu. Nagle doznała niepokojącego przeczucia. Natychmiast odłożyła książkę.

- Gdzie jest Charles? - zapytała Elizabeth, która siedziała obok zajęta szyciem.

- Dziedzic i John Footman zabrali chłopców do stajni, aby obejrzeć nowego żrebaka Księżycowej Gwiazdy - odparła Elizabeth, zawiązując zgrabny supełek po lewej stronie robótki.

Moira zerwała się na równe nogi, przebiegła przez korytarze, potem w dół po schodach i przez małe boczne drzwi wypadła na podwórze. Nie było tam żywej duszy, tylko drobinki kurzu błyszcząły w jasnym słońcu, a miękki, suchy żwir przed drzwiami stajni nosił liczne ślady kół. Ktoś tu był i to całkiem niedawno.

U słyszała za sobą pospieszne kroki i zaniepokojony głos Elizabeth.

- Wasza wysokość, co się stało?

- Jeszcze nie wiem, ale się dowiem. - Moira uniosła spódnicę, wyjęła nóż, gestem przykazała Elizabeth, aby ta się odsunęła, i otworzyła stajenne drzwi.

Choć weszła do środka ostrożnie, w ciemnościach potknęła się o jakiś przedmiot tarasujący przejście. Zdołała

utrzymać równowagę i powoli odzyskała zdolność widzenia. Spojrzała w dół.

- O Boże! - jęknęła, opadając na kolana przy Johnie Footmanie. Leżał twarzą do ziemi, a z rany na jego głowie sączyła się krew.

Moirę ogarnęło przerażenie. Przeszukała wzrokiem ciemne zakamarki stajni.

- Charles! - zawołała najgłośniejszym, jak potrafiła. - Charles ... Alfie ... gdzie jesteście?

Konie znajdowały się w swoich boksach. W odpowiedzi usłyszała rżenie Księżycowej Gwiazdy, a ogiery walnęły potężnymi kopytami w pokrytą słomą podłogę. Mimo to stajnia sprawiała wrażenie nienaturalnie cichej i pustej. Ani śladu chłopców i Czarnego Jacka.

Z bijącym sercem obróciła Johna na plecy i położyła jego głowę na swoich kolanach.

Cicho jęknął, otworzył oczy i spojrzał na Moirę.

- Co się stało? Gdzie ja jestem? - Ponownie jęknął. - Och! Moja głowa!

- Jesteś w stajni ... sam. Z tyłu głowy masz guza wielkości gęsiego jaja - odpowiedziała, usiłując się opanować. - Pamiętasz, co się stało? Wiesz, dokąd mogli zabrać Charlesa?

Footman delikatnie przekręcił głowę z boku na bok.

- Ostatnie, co widziałem, to chłopców otwierających drzwi stajni i biegnących w kierunku boksu Księżycowej Gwiazdy. Tuż za nimi szedł Czarny Jack. - Z trudem podciągnął się do pozycji siedzącej, cicho jęknął i objął głowę rękami. - Pamiętam, jak pomyślałem, że stajenni musieli pójść na kolację do pomieszczeń dla służby, ale nie mogłem zrozumieć, czemu w tak ciepły wieczór zamknęli drzwi. A potem wszedłem do środka i...

Moira skinęła na Elizabeth.

- Zostań z Johnem. Ja rozejrzę się w boksie Księżycowej Gwiazdy.

- Ale przecież nie sama, wasza wysokość - błagalnie odezwała się Elizabeth. - Proszę pozwolić, abym zawołała kogoś ze służby.

Moira ją zignorowała. Skoczywszy na środek stajni, zajrzała przez wahadłowe drzwi do zagrody. Klacz spokojnie skubała świeże siano. Pod jej brzuchem kiwał się na niepewnych nogach młodziutki źrebnak próbując się posilić mlekiem matki. Na pierwszy rzut oka wszystko było w porządku. Lecz po chwili Moira dostrzegła kącikiem oka jakiś ruch w zacienionym rogu boksu. Otworzyła drzwi, obeszła konie i ujrzała związanego i zakneblowanego Alfiego, który próbował uwolnić się z krępujących więzów.

Przetykając głośno ślinę, szybko wyciągnęła knebel z ust, chłopca.

- Te szubieniczniki zabrali dzieciaczka, a ja nic nie mogłem zrobić! - zawołała Moira drżącymi palcami uwolniła z pęt jego ręce i nogi.

Alfie grzbietem dłoni przetarł brudną, zmoczoną łzami buzię i wymamrotał coś bardzo szybko i niewyraźnie.

- Mów wolniej, Alfie - poprosiła Moira, chwytając bliskiego histerii chłopca za ramiona. - Nic nie rozumiem. Wiesz, kto porwał Charlesa i gdzie go zabrali?

- Było ich dwóch. Jeden to wielki, wstrętny drab, który bardzo kulał. Drugi był 'dwa razy taki i równie ohydny. Wymachiwał pistoletem, jakby chciał strzelać do wszystkiego, co się rusza.

No tak, to bandyci wynajęci przez Quentina, pomyślała Moira. Choć ze strachu dzwoniła zębami, zmusiła się, aby mówić spokojnie.

- Opowiedz wszystko, co zapamiętałeś.

- Dotarliśmy już prawie do zagrody Księżycowej Gwiazdy, dzieciaczek i ja, kiedy usłyszałem głuchy odgłos. Kiedy się obejrzałem, John Lokaj już leżał na ziemi, a nad nim stał ten wielki bandzior. Ogłuszył Johna kolbą pistoletu. Tak zrobił. Potem, kuśtykając, podbiegł do nas, złapał dzieciaczka, a gdy ten zaczął krzyczeć, nieźle go potar mosi. "Zrób coś", zawołałem do Czarnego Jacka. "Nie stój jak wielka kupa kamieni. Pozwolisz, aby te zbiry porwały księcia?" Ale ten cholerny tchórz tylko się śmiał. "Żeby dostać kulka między oczy? Nie ma mowy", powiedział i chwycił mnie za rękę tak silnie, że omal nie połamał mi wszystkich kości. Jeszcze tyle wiem, że gadał z tymi dwoma tak, jakby od dawna się znali. W sercu Moiry zamigotał pierwszy promyczek nadziei. Czarnemu Jackowi można zarzucić wiele rzeczy, ale nie tchórzostwo. Gdyby zaszła taka potrzeba, broniłby Charlesa do ostatniej kropli krwi.

- Mów dalej. Opowiedz, co było dalej. I nie pomiń niczego; co wtedy powiedział Czarny Jack - zażądała. Najwidoczniej jej sprytnemu ojcu musiał przyjść do głowy jakiś pomysł.

- Pytał ich o plany wobec dzieciaczka i czy dostali już pieniądze od kogoś, kogo nazwał wicehrabią, bo jeśli nie dostali, to pewnie ich oszukał, jak wszystkich innych. - Alfie przetarł dłonią oczy. - Obaj musieli mieć razem tyle rozumu, że zmieściłby się w naparstku panny Elizabeth, bo słuchali starego jak Ewangelii. "Jeśli zabijecie chłopaka, pójdziecie wicehrabiemu na rękę i nigdy nie zobaczycie złamanego grosza za wasze kłopoty", mówił. "Trzeba go sprzedać. Wtedy na pewno dostaniecie pieniądze".

Moira wstrzymała oddech. Do czego zmierzał Czarny Jack?

Alfie zamilkł na chwilę. Chyba zbierał myśli.

- Popukali się w głowę, a potem jeden zapytał: "Sprzedać go, komu - handlarzowi żywym towarem?" "Może być", powiedział Czarny Jack z najokropniejszym uśmiechem, jaki w życiu widziałem. "Słyszałem, że jeden taki zarzucił kotwicę z milę od brzegu, ale na co mu takie chuchro? Poza tym, ci handlarze są cholernie skąpi i prędzej dostaniecie kulkę w głowę niż gwineę do kieszeni. Gdybym ja miał decy~ować, sprzedałbym bachora Cyganom. Oni dobrze płacą i nie zadają pytań. A tak się składa, że wiem, gdzie ich znaleźć. Rozbili obóz za ledwie o dzień drogi na południe stąd. Za kilka szylingów zaprowadzę was do nich".

Moirze napłynęły do oczu łzy ulgi. Po raz pierwszy, w życiu przepełniała ją wdzięczność, że za ojca ma tak przebiegłego łajdaka, który zręczniejszą, aniżeli pastor wygłasza kazanie. Któż inny potrafiłby wymyślić taki genialny plan uratowania Charlesa?

Alfie wytarł oczy, a potem rękawem nos.

- Wtedy ten dryblas ws~azał na mnie i spytał: "Może jego też sprzedamy?" Ale Czarny Jack tylko się zaśmiał. "Nawet Cyganie nie zechcą takiego kościstego skrzata", powiedział, pomagając im związać mnie jak indyka. "Powiedz mojej córce, Moirze, że czas, aby przyszła do domu", rzekł cicho; jakby to miało jakiś sens, a potem wrzucił mnie do boksu Księżycowej Gwiazdy. Odjechał razem z tymi huncwotami, zabierając dzieciaczka.

Po buzi Alfiego spływały rzęsiste łzy, które zostawiając brudne' ślady na policzkach, spadały na jego ciężko dyszącą pierś.

- Musimy ich zatrzymać, wasza wysokość, zanim znajdą Cyganów. Wiadomo, co oni robią z dziećmi, gdy tylko dostaną je w swoje łapy. - Zachłysnął się. - Zjadają je. Tak robią. To fakt.

- Cyganie nie są ludożercami, Alfie - powiedziała Moira, patrząc na chłopca z przerażeniem. - Skąd ci przyszedł do głowy równie niedorzeczny pomysł? - Przypomniała sobie, jak babka opowiadała straszne rzeczy, o których kilka lat wcześniej mówiło się wśród Romów. Na podstawie fałszywych oskarżeń w rumuńskich górach zostało wówczas zgładzonych setki niewinnych Cyganów. Nie mogła uwierzyć, aby tak odrażające myśli mogły powstać w głowach Anglików.

- Każdy to wie - stwierdził z uporem Alfie. - Właśnie tak robią Cyganie, tak samo jak koty jedzą myszy, a my baraninę. - Ponownie się rozszlochał. Potężne łkanie wstrząsało jego

chudym ciałkiem. - Musimy znaleźć dzieciaczka, wasza wysokość, i to szybko.'

Był zbyt roztrzęsiony, aby dotarły do niego rozsądne argumenty.

- Alfie, odnajdę księcia - powiedziała stanowczo.

- Obiecuję ci, że nie stanie mu się żadna krzywda i przywiozę go z powrotem. Nie tylko Czarny Jack wie, gdzie Cyganie rozbili obóz.

Już kilka minut po powrocie Johna Footmana do domu cała służba wiedziała o porwaniu księcia. Każdy parobek i lokaj zgłaszał się na ochotnika na wyprawę poszukiwawczą, a młodszy bracia Keough mieli im przewodzić.

Moira szalała. Nie dość, że martwiła się o Charlesa i Czarniego Jacka, znajdujących się teraz w rękach zwyrodniałych zabójców, to musiała jeszcze stawić czoło tym młodzieniaszkom o wściekłym spojrzeniu, którzy ładowali pistolety i szykowali się do masakry Cyganów.

- Stać! - zawołała, gdy zebrali się przed wejściem do stajni. - Jeśli wszyscy rzucicie się w pogoń, porywacze na pewno ich zabiją.

Nieoczekiwanie uzyskała poparcie ze strony Michaela Keougha.

- Jej wysokość ma rację - powiedział. - Odnoszę wrażenie, że sytuacja wygląda inaczej, niż to się na pierwszy rzut oka wydaje. Od wielu lat uważam Czarnego Jacka za swego przyjaciela. Może i jest łajdakiem wykorzystującym każdą okazję, ale gotów byłbym poświęcić się o własne życie, że nie pozwoli, aby chłopcu spaść włos z głowy.

- Oczywiście - powiedziała Moira. - Jednak tylko wówczas zdoła uratować Charlesa, jeśli przez całą drogę do cygańskiego obozu porywacze będą wierzyć, iż stoi po ich stronie.

- Lecz cóż dobrego z tego wyniknie? Dziedzic nie oczekuje chyba od Cyganów pomocy w ratowaniu księcia? - zapytała Elizabeth. - Wprawdzie nie bardzo wierzę w te dziwaczne opowieści Alfiego, ale to przecież dziwni i przebiegli ludzie. Kiedy byłam mała, jakaś grupa obozowała w lesie niedaleko plebanii. Ginęło nam wtedy wszystko, począwszy od kur wysiadujących jajka, a skończywszy na bieliźnie suszącej się na sznurze. - Wzdrygnęła się teatralnie. - To były najdziwniejsze istoty, jakie można sobie wyobrazić. Mieli ciemną skórę, czarne włosy, a ich ubrania wyglądały, jakby nigdy nie były prane. Nawet nie potrafili dobrze mówić po angielsku. Do czasu, aż tata ich nie przepędził, mama schowała wszystkie dzieci w piwnicy. Powiedz mi, wasza wysokość, czy można ufać takim ludziom?

Wszystkie oczy zwróciły się na Moirę, która usiłowała zebrać myśli, aby wydusić z siebie sensowną odpowiedź. Zanim jednak zdążyła otworzyć usta, odezwał się Michael Keough.

- W moim przekonaniu Czarny Jack ufa tej konkretnej bandzie, ponieważ jest z nimi blisko, można by powiedzieć niemal osobiście, związany. Czyż nie mam racji, wasza wysokość?

Moira dosłyszała ostrzeżenie zawarte w tonie jego głosu. Jeśli chce powstrzymać zapalonych młodzików, musi zrobić coś drastycznego. Michael najwyraźniej zna prawdę o jej pochodzeniu. To jedyny człowiek, którego ojciec nazywa swoim przyjacielem, więc pewnie od dawna wie o wszystkim. Teraz namawia ją do wyjawienia sekretu. Tylko to uratuje Cyganów przed masakrą.

Moira wzięła głęboki wdech i uniosła dłoń, prosząc o ciszę.

- Michael ma całkowitą rację - zaczęła. - Ojciec może zaufać Cyganom, ponieważ jego teść, a mój dziadek, jest ich królem. Wbrew krążącym plotkom, hiszpańscy Cyganie nigdy nie skrzywdzili żadnego. Dzieci są dla nas największym skarbem.

Po tym zaskakującym oświadczeniu Moiry na podwórzu zapadła zupełna cisza.

Zaszokowana Elizabeth poblądła i chociaż jej usta poruszały się spazmatycznie, nie zdołała wykrztusić słowa. Moira czekała, że ktoś się odezwie, jednak cała służba sprawiała wrażenie równie otępiałej jak Elizabeth. Wyjątek stanowił Alfie. Z rozszerzonymi z przerażenia oczyma wyjęczał krótkie zdanie, podsumowujące całe to wydarzenie.

- A niech mnie!

Następnego ranka, po męczącej bezsennej nocy, Moira wstała przed świtem. Wieczorem w kilku oschłych słowach rozkazała służbie powrócić do pracy, a potem już do nikogo się nie odezwała. Pokojówki, lokaje i parobcy starali się nie wchodzić jej w drogę i spuszczały oczy, aby nie napotkać spojrzenia księżnej. Nawet Michael Keough zwiesił nieśmiało głowę, przepaszając za to, że wywarł na nią presję i zmusił do wyjawienia tajemnicy. Błagał, aby zrozumiała jego motyw.

Początkowo Moira chciała porozmawiać z Elizabeth i z Alfiem, lecz później zmieniła zdanie. Teraz, gdy pierwsze blade światło dnia zaczęło rozjaśniać horyzont, stwierdziła, iż dobrze się stało. Zostawiła przyjaciółce tylko krótki liścik. Napisała, że jedzie po Charlesa, a do jej powrotu Elizabeth ma zarządzać domem.

Z ponurą miną włożyła wygodną czarną suknię i czepek, potem poszła do kuchni zabrać trochę chleba i sera na drogę, po czym pospieszyła do stajni. Wyznanie, które wymusił na niej Michael, przyniosło pewną konkretną korzyść. Teraz nie musi już sama wyjawiać prawdy Devonowi. Kiedy tylko hrabia, . pojawi się w Kornwalii, będzie to pierwsza rzecz, o jakiej usłyszy. Zastanawiała się, ile czasu upłynie, zanim Devon odbierze jej Charlesa. Niewiele, jeśli zareaguje na tę wiadomość w taki sam sposób, jak wszyscy. A kiedy wróci do domu, pewnie nic zastanie już nikogo ze swych "lojalnych" służących.

W stajni był tylko młody parobek. Leżał skulony pod ławką. Moira nie obudziła chłopca. Wybrała najsilniejszego konia pociagowego i zaprzęgała do powozika, którym zazwyczaj jeździła po terenie majątku, odwiedzając dzierżawców. Był lekki i łatwy do prowadzenia, dokładnie taki, jakiego potrzebowała, chcąc przemierzać boczne, wiejskie ścieżki między Białymi Dębami a obozem dziadka.

Kiedy wychodziła ze stajni, słońce świeciło jej prosto w oczy, nie zauważyła więc drobnej syiwetki na skraju podwórza.

- Chcę jechać z panią, wasza wysokość - poprosił Alfie, przysłaniając dłonią oczy. - Tak trzeba, bo toja zgubiłem księcia. Dlatego powinienem pomóc sprowadzić go z powrotem. Moira z bólem serca obserwowała wynędzniałą twarzyczkę chłopca.

- Jesteś pewny, Alfie? Biorąc pod uwagę twoje uczucia wobec Cyganów ...

- Tak, pani, to znaczy, jeśli po tym, co powiedziałem, zabierzesz mnie.

- Oczywiście, Alfie, i bardzo mnie ucieszy twoje towarzysztwo - odparła z uśmiechem.

Wdrapał się na siedzenie obok księżnej. Przez kilka minut jechali w milczeniu. W końcu przerwał je Alfie.

- Szczerze mówiąc, pani, nigdy w życiu nie spotkałem Cyganów. Powtarzałem tylko, com o nich 'słyszał. Powinienem połapać się, że takie niestworzone historie to czysta bzdura. - Patrzył prosto przed siebie, unikając wzroku Moiry. - Gdy tylko sobie wszystko przemyślałem, przyszło mi do głowy, że Cyganie są tacy sami, jak wszyscy ludzie - jedni dobrzy, inni źli, a niektórzy trochę tacy i trochę tacy.

Moira zdołała ukryć uśmiech.

- To bardzo wnikliwe rozumowanie, Alfie, i bliskie prawdy. Cyganie niczym się nie różnią od innych ludzi. Tylko że... oni głośniejsze się śmieją, żałośniej płaczą, głośniejsze krzyczą, kochają namiętniej i nienawidzą z większą pasją, a poza tym z najmniejszego powodu skorzy się do bójk. - Spojrzała na zadumanego chłopczyka siedzącego u jej boku. - A kiedy tylko usłyszą muzykę, porzucają wszystkie swoje zajęcia i tańczą tak zapamiętale, jakby od tego zależało ich życie. Czarny Jack nazywa ich "tańczącymi głupcami", ale tak naprawdę to chyba im zazdrości. Drażni go, że nawet małe dziecko umie tańczyć.

- Najwyraźniej Cyganie potrafią się bawić lepiej od nas - stwierdził uroczyście Alfie. -

Jednak powinniśmy jak

najszybciej odnaleźć dzieciaczka. Jest trochę nieśmiały. Cały ten śmiech, krzyk, i taniec pewno zbiją go z tropu.

- Wyjąłeś mi to z ust - zgodziła się Moira, z trudem zachowując powagę. - Szczerze mówiąc, obawiam się, że arystokratyczne dziecko wychowywane w luksusie może być równie przerażone hałasem, brudem i ogólnym zamieszaniem panującym w cygańskim

obozie, jak samym porwaniem.

- Dokładnie to samo sobie pomyślałem - przyznał Alfie, wspaniale naśladowując akcent Moiry, którego nabyła w Ciągu lat spędzonych pod opieką starego księcia. - Do brze, że jadę z panią. Dzieciaczek mi ufa, wie pani, i Ułogę się nim zaopiekować, gdy pani będzie ze swoim dziadkiem.

Do oczu Moiry napłynęły łzy wzruszenia, a pierś nabrzmiała uczuciem do tego małego ulicznika, który z powodu szacunku dla niej w ciągu jednej nocy wyleczył się z kulturowanych przez całe życie uprzedzeń wobec Cyganów. Zawołany komplement chłopca był właśnie tym, czego teraz najbardziej potrzebowała, aby wesprzeć swoją nadwyrężoną dumę. Zaczęła się zastanawiać, czy uczucie Devona Sto Gwyre wytrzyma tę próbę. A może na pierwszą wzmiankę o jej związkach z Romami hrabia podkuli ogon i ucieknie w popłochu?

Ciemności już zapadały, kiedy Moira dostrzegła odosobniony gaj, w którym obozowali jej cygańscy krewni. Po raz pierwszy od wyjazdu z Białych Dębów pozwoliła sobie na odprężenie. Prócz krótkiego postoju, na którym podzieliła się z Alfim chlebem i serem, od świtu jechała bez odpoczynku. Nawet silny koń był już na granicy wyczerpania, natomiast Alfie jakiś czas temu zapadł w drzemkę.

W niewielkiej odległości od zagajnika zwolniła powozik.

Znajome odgłosy dobiegające z obozu, przygotowującego się do kolacji, wypełniły jej uszy, a przenikliwy zapach ogniska i potrawy z zająca drażnił jej nozdrza. Poczwała w żołądku skurcz. Najlepszy szef kuchni z najbardziej szlachetnego angielskiego domu nie mógłby konkurować z jej babką, jeśli chodzi o przyprawianie potraw ziołami stworzonymi przez Wielkiego Ducha Wszelkiej Natury dla obdarzonych wyobraźnią kucharzy. Na myśl o talerzu pełnym guisado de conejo gwałtownie pogoniła konia.

Alfie obudził się w chwili, kiedy powozik definitywnie się zatrzymał. Chłopiec wlepił wytrzeszczone oczy w mężczyzn, którzy natychmiast otoczyli przybyszów. Każdy z nich był śniady, czarnowłosy, a do pasa miał przypięty nóż.

- Dobry Boże - jęknął, wpijając palce w ramię Moiry.

- Nie bój się. To moi krewni. - Uspokajająco poklepała go po ręce, gdy Juan, najstarszy z kuzynów, wystąpił do przodu.

- Moirita! Czekaliśmy na ciebie - wykrzyknął, a jego przystojną twarz rozjaśnił uśmiech. - Twój ojciec gaujo jednak dobrze cię zna. Powiedział, że dołączysz do nas jeszcze przed zachodem słońca. - Przenikliwe, czarne oczy Cygana badawczo spojrzały na Alfiego. - A cóż tu nam przywiozłaś? Kolejnego pollito, kwoczko?

- Ten kurczaczek to Alfie, mój dobry przyjaciel - powiedziała Moira, mierzwiąc włosy chłopca. - Zatem mogę zakładać, że Czarny Jack bezpiecznie dowiózł tu Charlesa? Czy chłopiec bardzo jest przestraszony?

- Carlito przestraszony? - Roześmiał się kuzyn. - Ten chłopaczek ma serce lwa. Wątpię, aby zdołał przerazić go sam diabeł, nawet gdyby znaleźli się twarzą w twarz. Już teraz zazdroszą mu wszystkie dzieci z obozu, bo najwyraźniej zawładną sercem Dedidas de Oro. Właśnie siedzi na kolanach starego i obaj czekają na kolację.

Moira wybuchnęła śmiechem.

- A ja się bałam, że mój groźny dziadek przerazi chłopca. Puściła wodze, aby jeden z młodszych kuzynów mógł się zatroszczyć o konia, i rozmasowała zeszywniałe palce.

- A porywacze? Co z nimi zrobiliście?

- Związaliśmy asesinos ich własnymi sznurami i wrzuciliśmy na wóz. Jeden z gitanos odwozi ich właśnie do Plymouth, gdzie wcielają przymusowo do wojska. Teraz, gdy królewskiej marynarce zabrakło śmiałości, aby napadać na amerykańskie okręty, potrzeba nowych żołnierzy. Kilka lat spędzonych na zmywaniu pokładów brytyjskich okrętów wojennych wyleczy bandziorów z ochoty do popełniania przestępstw. - Juan zachichotał. - Miejmy nadzieję, że ten gitano, a on potrafi nawet sprzedać gospodarzowi jego własne kurczaki za podwójną cenę, dostanie za tych łotrów tyle pieniędzy, że zdoła odnowić



nasze zapasy soli i mąki. Bardzo na to liczę, bo od dawna pragnie przeskoczyć przez miotłę z moją naj młodszą siostrą, a ja obiecałem dać zgodę, jeśli dobieje korzystnego targu. Ale dość już tego gadania, maleńka mestizo - zmienił temat. - Na pewno jesteś wyczerpana po długiej podróży, i potrzebujesz czasu, aby odpocząć i odzyskać siły. Czekaliśmy na ciebie, a babcia gotowała przez całe popołudnie. Dziś wieczorem będą tańce, śpiew i dużo muzyki. Zamierzamy uczcić twój powrót.

## Rozdział szesnasty

Kiedy wieczorem, ostatniego dnia szaleńczej podróży z Londynu, Devon i Stammen wjechali na podjazd, Białe Dęby były dziwnie ciche, jakby opuszczone. Z każdym kilometrem przybliżającym go do Kornwalii i Moiry, Devona rozpieła coraz większa radość. Zrobił już wszystko, co w jego mocy, aby pomóc Wellingtonowi w pokonaniu Korsykanina, a teraz nadeszła pora, aby zająć się własną przyszłością.

Moira obiecała wyznać powody, dla których nie może wyjść za mąż. Zamierzał uprzejmie wysłuchać, jednak powziął już decyzję - nic, co powie, nie wpłynie na jego plany. Znalazł kobietę, z którą pragnął spędzić resztę życia i którą kochał każdą częścią swojego ciała. Nie dopuści zatem, aby cokolwiek albo ktokolwiek przeszkodził mu w poślubieniu Moiry. Kiedy zbliżali się do głównego wejścia, gwałtownie otwarto drzwi i z dzikim wyrazem twarzy wypadła przez nie Elizabeth. Pędem zbiegła po schodach, rzucając się ku Stammenowi. Devon ze zdziwieniem obserwował przyjaciółkę z dzieciństwa. W niczym nie przypominała schludnej córki pastora. Policzki miała zaczerwienione, włosy potargane, a suknię pogniecioną.

- Och, milordowie, dzięki Bogu, że wróciliście - zawołała. - Nie miałam pojęcia, co robić. Byłam nieprzytomna ze zmartwienia.

Stammen rzucił wodze lokajowi i objął narzeczoną.

- Kochanie, uspokój się, z nami wszystko w porządku.

- Widzę, milordzie, i nie posiadam się Z radości. Ale pozostałe sprawy okropnie się zagmatwały. - Wybuchnęła płaczem. - To był szok. Nigdy nie podejrzewałam - Cyganka - i jeszcze porwali Charlesa. Tego już za wiele. W dodatku pozwoliłam jej odjechać, nie odezawszy się do niej ani słowem. Co ona sobie o mnie pomyślała?

Devon bezwiednie zacisnął dłoń na lejcach. Zamierzał właśnie zsiąść z konia, kiedy nagle poczuł w nogach wielką słabość. Gdyby teraz spróbował stanąć, ugięłyby się pod jego ciężarem.

- Cyganie porwali Charlesa? - wysapał.

- Nie! Nie! Porwali go ci sarni dwaj okropni ludzie, którzy usiłowali to zrobić w Londynie, ale teraz chłopiec jest ~ Cyganów - tak przynajmniej można przypuszczać, jeśli wierzyć opowieści Alfiego.

- Niech to diabli, kobieto, mówisz bez sensu. Skąd tu Cyganie? - zapytał Devon, schodząc wreszcie na ziemię. - I gdzie, na miłość boską, jest Moira? - Uniósłszy głowę, zobaczył grupę ludzi zebraną na podjeździe. Był tam John Footman, gospodyni i trzech bracia Keough - wszyscy, oprócz tej jednej, której wypatrywał.

- Pojechała do cygańskiego obozu poszukać Charlesa \_ wykrztusiła Elizabeth, wciąż łkając. - Sama. To nie było

rozsądne, nawet jeśli jej dziadek jest królem Cyganów. Alfie dowiedział się od dziedzica, że ich obóz znajduje się o dobry dzień drogi stąd. - Ukryła głowę na ramieniu Stammena i jeszcze mocniej zaszlochała. - Zostawiła wszystko Ina mojej głowie. A teraz zniknęła też Alfie i nie wiem co robić.

- Twierdzisz, że Moira jest... - Devon z trudem przełknął ślinę - ... Cyganką? Co to za bzdury? - Jednak, choć zaprzeczał słowom Elizabeth, w głębi duszy wiedział, że stanowią jedyne prawdopodobne wyjaśnienie nurtującej go kwestii. Jeśli ten ostatni kawałek układanki ma być sprawdzianem jego miłości, jest to próba nader okrutna. Przecież dopiero co zdołał się pogodzić z faktem, iż za teścia będzie miał irlandzkiego

przemytніка. Ale dziadek - Cygan! To już przechodzi wszelkie pojęcie!

Devon odwrócił się do Stamdena, na którego twarzy widniał ten sam wyraz zamroczenia, lecz zanim zdążył coś powiedzieć, Peter uciszył go znaczącym spojrzeniem.

- Powinniśmy wejść do domu i pozwolić, aby Elizabeth wzięła się w garść. Wtedy opowie nam wszystko, co się tu wydarzyło, spokojnie i po kolei. Dopiero potem zaczniemy wyciągać wnioski - oświadczył stanowczo, choć sciszonym głosem.'

Devon, mimo że serce mu waliło z wściekłości i rozpaczy, przytaknął. W milczeniu wszedł za przyjaciółmi po schodach, minął zgromadzonych w holu służących i dotarł do saloniku na piętrze. Na żądanie Stamdena Elizabeth usiadła, po czym splotła ręce na podołku i mniej więcej po kolei zaczęła opowiadać wydarzenia z ostatnich dwóch dni.

Kiedy doszła do oświadczenia Moiry o jej pokrewieństwie z hiszpańskimi Cyganami, wtrącił się Devon, zwracając się ponurym głosem do Stamdena:

- Nareszcie poznałem powody, dla których Moira nie może - jak sądzi - nigdy za mnie wyjść.

- To brzmi logicznie - przyznał Peter. - Możesz sobie wyobrazić ten skandal, który wybuchłby na wieść o ślubie hrabiego Langleya z Cygimką? Podziwiam księcia za to, że nie dopuścił do ujawnienia jej tajemnicy. - Wzruszył ramionami. - Pomyśl o kłopotach, jakich przysporzy nam Quentin, kiedy się dowie o pochodzeniu księżnej.

- Musiała żyć w ciągłej obawie, że jej sekret wyjdzie na jaw i przez to straci Charlesa. -

Devon przyłożył dłoń do czoła, na moment zakrywając oczy. - Moje biedne, odważne kochanie. Dlaczego mi nie zaufała? - Uniósłszy głowę, napotkał wzrok Stamdena. - Ten fakt nie ma przecież dla mnie znaczenia. Nie obchodzi mnie, kim jest Moira. Kocham ją!

- Oczywiście - przytaknął Stamdén.

- I muszę ją odnaleźć ... Charlesa również. I to natychmiast! Nie mogę polegać na tej bandzie Cyganów, że zdoła ich ochronić przed Quentinem.

- Zgadzam się - potwierdził Peter. - Pojadę z tobą. Serce Devona zadrżało na ten wyraz lojalności i uczucia, jakie odczytał w spokojnym spojrzeniu przyjaciela, ale pokręcił głową.

- Dziękuję ci, ale w tę podróż muszę się wybrać samotnie.

Odnalezienie obozu cygańskiego zajęło mu prawie trzy dni. Wyprawa trwałaby jeszcze dłużej, gdyby nie przejrzeni ze Stamdénem mapy okolicy i nie ograniczyli celu poszukiwań do trzech miejsc. Biorąc pod uwagę powszechną niechęć ludności wobec Cyganów uznali, że musieli oni rozbić obóz w miejscu odosobnionym i zalesionym, dającym schronienie przed wzrokiem wrogo nastawionych wieśniaków.

. Na południe od Białych Dębów znajdowały się tylko trzy takie miejsca. W dwóch pierwszych Devon nie znalazł najmniejszego śladu świadczącego o tym, że rozbito tam kiedyś cygański obóz. Teraz zbliżał się do ostatniego, bardziej odosobnionego niż dwa poprzednie. Było wczesne popołudnie trzeciego dnia jego podróży. Devon instynktownie wyczuwał, że zbliża się do celu.

Między drzewami wila się pobrużdżona koleinami dróżka, szeroka zaledwie na tyle, aby zdołał po niej przejechać jeden wóz. Doszedł go też ostry zapach ogniska. Zsiadł z konia i przywiązał zwierzę do młodego drzewka. Słyszał głosy mówiące w dziwnym języku, śmiech i hałas bawiących się dzieci.

Uznawszy, że postąpi rozsądnie, jeśli najpierw dyskretnie zbada teren, zaczął się cichutko przekradać wśród drzew. Dotarł właśnie do skraju polany, kiedy poczuł ukłucie między żebrami. Spojrzał w dół i zobaczył ciemną dłoń trzymającą lśniące ostrze. Choć Cygan był o głowę niższy i wiotki niczym trzcina, Devon nie chciał testować refleksu przeciwnika.

Miał już przyjemność poznać biegłość, z jaką Romowie władają nożem. Znalazł się dokładnie w takim położeniu, jakie musiał mieć na myśli tamten bard, kiedy powiedział, że rozważa jest nieodłącznym elementem męstwa.

- Szukasz czegoś, gaujo? - zapytał Cygan po angielsku z silnym akcentem, jeszcze mocniej przyciskając koniuszek noża do piersi Devona.

- Szukam mojej kobiety - odparł stanowczo Devon. - Na imię ma Moira. Powiedziano mi, że jej dziadek jest królem hiszpańskich Cyganów.

Cygan obrzucił go sceptycznym spojrzeniem swoich przenikliwych oczu.

- Mestiza to twoja kobieta? Wątpię. - Potrząsnął głową, a jego złote kolczyki zabłyśły w jasnych promieniach popołudniowego słońca. - Wielu sprytnych gitanos prosiło ją, aby przeskoczyła z nimi przez miotłę i wszystkim odmówiła. Czemu miałaby więc przyjąć jakiegoś głupiego gaujo, który usiłuje podkradać się do cygańskiego obozu i robi przy tym hałas, niczym dziesięć małp razem wziętych?

- Niech to diabli. Nie podkradałem się - powiedział zażenowany Devon. - Po prostu chciałem sprawdzić, czy trafiłem do właściwego obozu.

- Co wy na to, bracia? Mam wyjąć serce z piersi tego złotowłosego wielkoluda, który obraża się na piękną kuzynkę?

Spomiędzy drzew, otaczających Devona, bezszelestnie, niczym czarne cienie, wynurzyło się trzech kolejnych Cyganów. Każdy trzymał w dłoni nóż i wyglądał równie niebezpiecznie jak ten, który schwytał hrabiego.

- Zapytajmy najpierw Moirę - zaproponował najwyższy, a w jego oczach zabłyśły iskiarki rozbawienia. - Choć to niedorzeczne, aby ta niezdarna kreatura mówiła prawdę. Cyganka mieszkająca wśród gaujos mogła jednak nabrać dziwnych upodobań.

Machając nożem, wskazał, aby poszli na polanę. Devon nie miał innego wyjścia, musiał się podporządkować. Rzucił okiem na obóz, ale nigdzie nie zauważył Moiry. Tylko szczupła, białowłosa kobieta, łudząco do niej podobna, mieszała aromatyczną zawartość wielkiego żelaznego kociołka zwisającego z krzyżaka nad otwartym ogniskiem. Obok niej, na zwalonym pniu, siedziała dziewczyna z nie-mowlęciem ssącym pierś. Grupa śniadych mężczyzn i wynędzniały, żółty pies wylegiwali się pod drzewem, obserwując swawolące dzieci.

. Devon ponownie się rozejrzył. Pod innym drzewem spokojnie spał Czarny Jack, a z dala od wszystkich pozostałych, stał Alfie Duggan, wyraźnie w złym humorze.

Najmniejszy z obdartusów ruszył w kierunku Devona z rozpostartymi ramionami. Za nim podążyła reszta dzieciaków.

- Milordzie - zawołał obdartus - przyjechał pan po nas?

Musimy już wracać? Alfie nie jest szczęśliwy, ale mnie się tu ogromnie podoba.

- Charles? - Devon chwycił zaróżowionego chłopczyka o błyszczących oczach i uniósł wysoko w górę. - Nie muszę chyba pytać, czy odpowiada ci życie u Cyganów! - Carlito, więc znasz tego gaujo? - zapytał najwyższy z eskorty Devona, chowając nóż do pochwy. Charlie kiwnął główką.

- To hrabia Langley, mój opiekun i szczególny przyjaciel - a także przyjaciel mojej mamy - odpowiedział, kiedy

Devon postawił go na ziemi.

- W takim razie pozwolimy mu jeszcze trochę pożyć - oświadczył Cygan, ukazując ci szerokim uśmiechem silne, białe zęby.

Charles zachichotał.

- Tio Juan zawsze żartuje. Mama mówi, że choć wygląda tak groźnie, to nie zdeptałby nawet mrówki.

- A ty, maleńki, rozpowiadasz historie dostępne tylko dla uszu tych, co śpią w moim wozie - stwierdził Cygan.

- Teraz biegnij do mamy i powiedz, że szuka jej jakiś obcy, który podobno dobrze ją zna. Po chwili w otwartych drzwiach jednego z barwnych, ustawionych wokół polany wozów pojawiła się Moira. Jej widok zaparł Devonowi dech w piersiach. W czarne, sięgające do pasa włosy miała wpięty czerwony kwiat, a równie czerwona suknia o głębokim dekolcie ukazywała kremową szyję i ramiona.

Po raz pierwszy zobaczył ją w innym stroju niż we wdowich szatach. Tryskająca zdrowiem

uroda Moiry zrobiła na Devonie tak wielkie wrażenie, że wszystko w jego wnętrzu zaczęło się roztopiać i spływać do łądźwi. Musiał spuścić wzrok. A wówczas zobaczył parę zgrabnych kostek i gołe stopy wystające spod śnieżnobiałych halek. To dziwne uczucie natychmiast przybrało na sile.

Devon nie znosił publicznego okazywania uczuć, ale nie mógł się teraz powstrzymać. Jak w transie, nie zwracając uwagi na podskakujące wokół dzieci, ruszył w jej kierunku. - Moiro, moja miłości - wyszeptał ochryplym, nieswoim głosem.

Otoczywszy palcami jej chłodne, gładkie ramiona, przyciągnął księżnę i zamknął w uścisku.

Moira przytuliła się do niego z taką radością, z jaką pisklę powraca do gniazda. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. To naprawdę Devon. Świącie wierzyła, że kiedy pozna prawdę o jej pochodzeniu, odwróci się od niej z niechęcią. Devon natomiast odnalazł ją tutaj i nazwał swoją miłością. Na jedną krótką, pełną ekstazy chwilę Moirę ogarnęło uczucie wielkiego szczęścia, jakiego nigdy przedtem nie doznała. Ledwo mogła oddychać - tak cudowny był to moment. Ale wkrótce wróciło poczucie rzeczywistości.

Nikt nigdy nie wyglądał bardziej dziwnie niż ten elegancki, złotowłosy rycerz w otoczeniu barwnego cygańskiego obozu. Moira zaś zawstydzona się nagle z powodu brudu oraz zapachu czosnku i cebuli zmieszanego z odorem zwierząt spętanych wewnątrz rojnego obozowiska.

- Po co przyjechałeś? - zapytała, a jej głos przerwał nienaturalną ciszę.

- Mówi, że przyszedł po swoją kobietę, maleńka mestizo - odparł złośliwie kuzyn Juan. - I chyba ją znalazł.

Ponad ramionami Devona Moira ujrzała, jak jej babka, odłożywszy chochłę o długiej rączce, którą mieszała potrawę w kociołku, podchodzi bliżej z typowym dla siebie pełnym gracji dostojeństwem. Pozostali Cyganie natychmiast się cofnęli, pozostawiając tę trójkę samą pod wielkim cisem na skraju polany.

- A więc, wnuczko, to jest ów złotowłosy, o którym opowiadałaś tyle wspaniałych rzeczy? - zapytała dziwną mieszanką hiszpańskiego i języka Romów. Cyganie zwali to "starym językiem".

- Tak, to on. Czyż nie jest cudowny? - odparła Moira.

- Jeśli ktoś gustuje w ziębach; ja wolę kruki. - Oczy kobiety zabłyśły złośliwie. - Ale czuję się jak ten stary koń, który ciągnie wóz. Potrzebuję kłapek na oczy, bo te iskry w waszym wzroku gotowe jeszcze mnie oslepić.

Spojrzała na Devona.

- Witamy w naszym taborze, obcy. Jestem babką tej młodej kobiety, którą ośmielasz się obejmować na oczach jej krewnych. To bardzo zuchwały i nierozważny postępek - powiedziała poprawną, śpiewną angielszczyzną.

- A ja chcę prosić o jej rękę - odparł Devon, a kiedy

Moira spróbowała się uwolnić z jego uścisku, objął ją jeszcze mocniej.

- Nasze zwyczaje zakazują, aby kobieta, w żyłach której płynie cygańska krew, połączyła się z gaujo. Skoro jednak krew Moiry i tak jest już zmieszana, możemy rozważyć tę kwestię.

- Na wypadek gdyby pani zapomniała, Moira już raz wyszła za Anglika, no a poza tym, jeśli podobne związki są zakazane, to w jaki sposób do tego doszło?

Oczy starej zabłyśły oburzeniem. To niesłychane, aby obcy zwracał się do niej tak obcesowo. Królowa Cyganów uniosła głowę tak wyniosłym ruchem, jaki tylko nieliczne przedstawicielki angielskiej śmietanki towarzyskiej potrafiłyby naśladować.

- Nasz król oddał jej matkę, a moją córkę, mężczyźnie zwanemu Czarnym Jackiem za to, że przewiózł nas w bezpieczne miejsce, kiedy zostaliśmy zmuszeni do opuszczenia Hiszpanii.

W oczach Devona pojawił się błysk zrozumienia.

- Jesteś więc wnuczką Dedidas de Oro! - zawołał.

- I jestem z tego dumna - odparła Moira, unosząc głowę w taki sam sposób, jak uczyniła to przed chwilą jej babka. - Słusznie. - Devon uśmiechnął się czule. - Doskonale, jeśli trzeba, porozmawiam z twoim dziadkiem i poproszę o zgodę na nasz ślub.

- To niemożliwe. Dziadek może przemawiać wyłącznie za pośrednictwem gitary - powiedziała smutno Moira. - Stryczek nie pozbawił go życia, ale na zawsze odebrał mu głos.

Babka uniosła dłoń w takim geście, jaki zwykle czyni pastor Kincaid, kiedy błogosławi swoich wiernych.

- Ale gdyby mógł mówić, moje dziecko, to powiedziałby, żebyś nie broniła się przed szczęściem, jakie oferuje ci los, nawet jeśli miałoby ono trwać bardzo krótko.

- Abuela, co ty mówisz? - wyjąkała Moira.

- Przeskoczcie dziś wieczorem przez miotłę i przypieczętućcie waszą miłość tym świętym zwyczajem, bo Wielki Duch Wszelkiej Natury po to stworzył mężczyznę i kobietę, aby się kochali.

Devon zmarszczył czoło.

- Co to znaczy "przeskoczyć przez miotłę"?

- To cygański odpowiednik zawarcia małżeństwa.

- A więc zgadzam się na to - odparł Devon z uśmiechem pełnym zmysłowej obietnicy.

- Ale ja nie! - wykrzyknęła dobitnie Moira. Babka nagląco machnęła ręką.

- Zostaw nas, gaujo. Porozmawiam z wnuczką na osobności.

- Dziecko, czy szczerze kochasz tego mężczyznę? - zapytała w swoim języku, kiedy Devon zostawił je same.

- A może to tylko gorączka rozpała twoją krew?

- To znacznie więcej niż gorączka - odpowiedziała Moira. - Kocham go szczerze, i jak przypuszczam, on mnie także.

- Więc mu się oddaj, bo nigdy już nikogo nie pokochasz.

Przekleństwem kobiet w naszej rodzinie jest to, że kochamy tylko raz. Jeśli ktoś zawładnął twym sercem, to już na zawsze.

- Nic nie rozumiesz, babciu. Devon należy do największych panów Anglii. Jeśli ożeni się z Cyganką, wzgardzi nim całe jego środowisko. Nie mogę sprowadzić hańby na człowieka, którego kocham, nawet jeśli uważam sposób postępowania Anglików za nadzwyczaj głupi. Babka zerwała liść z pobliskiej paproci i głęboko pogrążona w myślach związała go między palcami.

ur:or- nrzeskocz z nim przez miotłę, wnuczko, i ciesz

się tą ulotną radością. Cygański kodeks nie przywiąże go do ciebie, tylko ty sama możesz się z nim połączyć. Czyż choćby jedna kropla miodu, która może osłodzić gorzkie życie, nie jest więcej warta niż jej brak?

Do Devona z trudem docierał fakt, że za chwilę pojmie Moirę za żonę. Hrabowie Langley tradycyjnie żenili się w kościele Świętego Grzegorza na Hanover Square. Ceremonię odprawiał sam arcybiskup, a członkowie królewskiej rodziny byli honorowymi gośćmi.

Nigdy, nawet w najśmielszych marzeniach, nie wyobrażał sobie, że będzie siedział przy obozowym ognisku w oczekiwaniu, aby na dany znak przeskoczyć przez miotłę wraz z ukochaną kobietą. Nigdy też nie przypuszczał, że za gości weselnych będzie miał irlandzkiego przemytnika, londyńskiego ulicznika i bandę Cyganów.

Skoro jednak godzi się na to, musi być albo niedoszłym pacjentem domu wariatów, albo człowiekiem szaleńczo zakochanym. Skłonny był jednak uwierzyć, że cierpi raczej na szaleństwo serca aniżeli głowy.

Devon był szczęśliwy, choć wydarzenia, jakie miały miejsce tego dnia, kazały mu się zastanowić, czy różnice między nim a kuzynami przyszłej żony nie są zbyt wielkie i czy nie powinien się wycofać.

Tymczasem Juan zaproponował, że pokaże mu miejsce, które służy Cyganom za

łazienkę. Devon z wdzięcznością przyjął ofertę. Chciał zmyć z siebie kurz po podróży i przebrać się w czyste ubranie.

Kiedy jednak rozebrał się do naga i zanurzył w wodzie, usłyszał głośny chichot.

Spojrząwszy na brzeg, ujrzał kilka ciemnookich dziewczynek, które podglądały go zza krzaków.

- Niech to diabli, co one tu robią? - zapytał Juana.

- Nie zwracaj na nie uwagi. Po prostu są ciekawe. Chcą zobaczyć, czy wielki gaujo wygląda tak samo, jak gitano - odparł beztrąsko Juan, żując żdźbło trawy, tak jakby obserwowanie obcego mężczyzny podczas kąpieli było zwykłym zajęciem młodych dziewcząt.

- Ale to przecież dzieci. Mają najwyżej po jedenaście, dwanaście lat - zaprotestował Devon, zanurzając się w wodzie po szyję. - Nie powinny patrzeć na nagie ciało mężczyzny. Czy nie macie żadnego poczucia przyzwoitości?

Choć Juan sprawiał wrażenie zaskoczonego, natychmiast rozkazał dziewczętom wrócić do obozu.

- Gaujo jest ogromnie wstydlivy - wyjaśnił, kiedy próbowały protestować.

Potem położył się na brzuchu, podparł głowę dłonią i obserwował nagie ciało Devona z zainteresowaniem godnym konesera sztuki oglądającego marmurowe posągi. - Cóż

takiego jest w męskim ciele, co wydaje ci się nieprzyzwoite, Złocistowłosy? Szczególnie w tak wspaniałym, jak twoje?

Wyrwawszy kolejną trawkę, zaczął ją żuć w zamyśleniu. - Za rok albo dwa niftas będą wystarczająco dorosłe, aby przeskoczyć przez miotłę z młodymi gitanos. Po cygańskiej dziewczynie oczekuje się, że zachowa dziewicę aż do dnia ślubu, ale to nie znaczy, że powinna być nieświadoma wyglądu męskiego ciała. Wówczas małżeństwo zakończyłoby się katastrofą. - Potrząsnął głową. - Wy, gaujos, macie dziwne poglądy. Nie mogę zrozumieć, co Moira w tobie widzi. - Jego czarne oczy zamigotały, kiedy nagle wybuchnął śmiechem. - Mimo wszystko cieszę się, że zabroniłem swojej młodej żonie zaspokoić ciekawość dotyczącą złocistowłosego gaujo.

- Cygańskie dziewczęta wychodzą za mąż w wieku dwunastu lat? - zdumiał się Devon, z trudem ukrywając zaskoczenie i niesmak. Wyszedł z rzeczki, strząsnął z siebie krople wody i włożył czyste spodnie.

- Oczywiście. Z jakiego innego powodu Wielki Duch Wszelkiej Natury dałby im strumień mówiący, że mogą już zostać matkami?

Przerażony Devon spojrzał na Juana. - Ale chyba nie Moira?

- Nie, ona nie. W dniu jej dwunastych urodzin pięciu gitanos poprosiło, aby przeskoczyła z nimi przez miotłę. Odmówiła wszystkim. Nigdy przedtem coś podobnego nie wydarzyło się w naszym obozie. Abuela, choć kochała ją gorąco, kazała jej albo wybrać jednego z nich, albo opuścić obóz. Cygańska krew jest gorąca, a taka ślicznotka jak Moira stanowiłaby zbyt wielką pokusę, skoro nie miała męża.

Juan wzruszył ramionami, odrzucił trawkę i stanął obok Devona.

- Ale jak zwykle mestiza była uparta niczym te wyschnięte liście, które trzymają się drzewa jeszcze długo po tym, jak inne już opadły. Postanowiła odejść od tych, których kochała, i piechotą ruszyła w długą podróż do wioski Penryn, gdzie mieszkał jej ojciec gaujo.

Jeszcze kilka godzin po tym, jak usłyszał tę opowieść, Devona przejmowała grozą myśl o odwadze i determinacji, jakich wymagała od dwunastoletniej dziewczynki decyzja, żeby zostawić wszystko, co było jej bliskie, i udać się w nieznaną. Z tej dziewczynki wyrosła kobieta, która właśnie jego, Devona, wybrała na męża. Hrabia poczuł się bardzo niepewnie.

Spojrzał na drugą stronę ogniska, gdzie na czas wieczornego posiłku zgromadziły się kobiety i dzieci. Tym razem

kwiat we włosach Moiry był biały, a ciemnogrnatowa suknia uwydatniała głębię jej pięknych oczu. W migotliwym, świetle ogniska dostrzegł zmysłową krzywiznę jej

cudownych ust - uśmiechała się właśnie w odpowiedzi na to, co mówiła do niej babka.

- Twoja kobieta niesie ci kolację, Złocistowłosa - powiedział Juan, kiedy Moira, z gracją kołysząc biodrami, ruszyła w kierunku Devona. W rękach niosła talerz z jedzeniem.

- Dla ciebie, mój panie - powiedziała, klękając przed nim. W jej egzotycznych oczach migotały radosne iskierki. - Aby uczcić okazję, babcia przyrządziła specjalną potrawę

- duszonego jeża. - Nachyliła się bliżej. - Nie patrz

z takim przerażeniem, mój panie. Przekonasz się, że nie jest gorszy od tradycyjnych angielskich potraw - befsztyku czy nerek.

- Ma rację, chłopcze - wtrącił się Czarny Jack, siadając obok Juana. - Wystarczy tylko raz zdobyć się na odwagę i spróbować tego dania, aby przekonać się, że to prawdziwy przysmak, jak zresztą prawie wszystko, co nasza czarodziejka warzy w tym starym, czarnym kotle.

Czując, że wszystkie oczy skierowane są teraz na niego, Devon wziął głęboki wdech, chwycił drewnianą łyżkę i spróbował tego specjału. Danie było rzeczywiście doskonałe. Godzinę później hrabia zobaczył, jak babka Moiry, wytarłszy kociołek kawałkiem chleba, który potem rzuciła psu, napełnia go wodą. Rozejrzał się dokoła. Wokół ogniska siedzieli hałaśliwi Cyganie. Nagle poczuł się zmęczony wrzawą, dymem i oczekiwaniem na koniec przeciągającego się wieczoru, czyli na chwilę, kiedy ucieknie wraz z Moirą do sekretnej groty w lesie. Wcześniej Devon zaniósł tam ślubną kołdrę abueli, która posłuży im za ślubne łóżce. Teraz, gdy moment, w którym nazwie wreszcie Moirę swoją żoną, był już tak blisko, gorączka oczekiwania stała się niemal nie do zniesienia.

Ku zaskoczeniu Devona dwie młode kobiety przytargały kocioł z wodą i postawiły u jego stóp. Mężczyźni zaczęli gwizdać, a kobiety klaskać, niektóre z nich ocierały nawet łzy rąbkami spódnicy.

- Pocałuj kociołek. W ten sposób wyrazisz swoją wdzięczność! - szepnął Juan. - Za to, że dostąpiłeś wielkiego zaszczytu. Dzisiaj twój koń zostanie napojony jako pierwszy.

- Z tego samego kotła? - zdrygnał się Devon. Juan wzruszył ramionami.

- Głupie pytanie, gaujo. Czy widzisz tu jakiś inny?

- Cyganie są bardzo praktycznymi ludźmi. Kiedy poślubisz moją córkę, wkrótce się o tym przekonasz - zaśmiał się Czarny Jack. - Po co wozić ze sobą dwa kotły, skoro jeden wystarczy? - Jego oczy zabłyśły. - Ach, więc Dedidas de Oro w końcu postanowił do nas dołączyć, i niesie gitarę. Masz okazję posłuchać czegoś wyjątkowego, czego już nie usłyszysz za życia.

W skazał hrabiemu miejsce, które do tej pory pozostawało puste. Teraz zajął je wysoki, niezwykle chudy, niemal wyniszczony mężczyzna. Jego włosy były białe niczym pierwszy śnieg, a dzikie czarne oczy badawczo wpatrywały się w Devona. Hrabia miał wrażenie, iż zaglądają do samego jądra jego duszy.

Szerokie nogawki czarnych, aksamitnych spodni starca powiewały wokół kostek, a złote zdobienia sięgającej mu do pasa aksamitnej kurtki pasowały do ciężkich kolczyków zwisających z jego uszu. Na kolanach położył poobijaną gitarę. Wyglądała, jakby miała za sobą tyle samo lat, co jej właściciel.

Juan wychylił się zza siedzącego między nimi Czarnego Jacka i wyszeptał do Devona:

- Teraz przeskoczysz przez miotłę ze swoją kobietą, gaujo. Potem Dedidas de Oro zagra na gitarze, a twoja kobieta zatańczy dla ciebie. Następnie musisz udowodnić, że masz prawo ją posiadać. W tym celu porwiesz ją od krewnych.

- Po co mam ją porwać, skoro już zgodziła się zostać moją żoną?

- Taki mamy zwyczaj, gaujo - westchnął Juan. - Nigdy nie znałem kogoś, kto zadawałby tyle pytań. Kobiety będą zawodzić, a mężczyźni ruszą za wami w pogoń i będą was straszyć, ale nie martw się. To tylko zabawa. Nigdy żaden pan młody nie został złapany. - Uśmiechnął się. - Jednak dodaje to cygańskiemu weselu dreszczyku podniecenia.

- Faktycznie - wtrącił się Czarny Jack, ocierając łzę.

- Pamiętam moją noc weselną, jakby to było wczoraj.

Devon był święcie przekonany, iż on także nigdy nie zapomni tego dnia. Ślub kościelny, który wezmą po powrocie do Londynu - a uzyskał już specjalne pozwolenie i miał je w torbie przytroczonej do siodła - wypadnie bardzo blado, w porównaniu z tym cygańskim obrzędem.

Babka Moiry przyniosła miotłę zrobioną ze świeżego sitowia, położyła ją na ziemi koło ogniska, wypowiedziała kilka słów, zapewne jakichś zaklęć, po czym gestem przywołała Moirę i Devona. Uczucia Moiry widoczne były w jej oczach, a serce hrabiego przepełniła duma, gdy przy akompaniamencie krzyków i klaskania jednocześnie prześkoczyli przez miotłę.

Potem, wzięwszy Devona za rękę, Moira zaprowadziła go do dziadka, króla Cyganów. Starzec w milczeniu pobłogosławił młodą parę. Wówczas usiedli u jego stóp i słuchali muzyki. Magiczne palce gitarzysty przemówiły w melodii tak przejmującej i przeszywającej duszę, iż teraz Devon zrozumiał, dlaczego nazywano tę muzykę głosem Boga.

Subtelnie i niemal niepostrzeżenie rytm zaczął się zmieniać. Niczym letnie błyskawice przecinające bezchmurne niebo palce Dedidas de Oro coraz szybciej szarpały struny gitary, a migocące języki ognia podsycaly tę dziwną słodycz lirycznego refrenu.

Moira podniosła się, podzwaniając kastanietami w takt zmieniającego się tempa melodii. Płynnym, wirującym ruchem, przypominającym wiatr świszczący na polu dojrzewającego zboża, przeszła tanecznym krokiem na środek kręgu.

Szybciej, coraz szybciej silne, śniade palce grajka przebiegały po strunach gitary.

Szybciej, coraz szybciej wirowała ta piękna kobieta, a jej gibkie ciało stanowiło zmysłowe dopełnienie uderzającego do głowy, pulsującego rytmu kastanietów.

Muzyka była teraz dziksza i bardziej namiętna. Gdzieś po drugiej stronie kobiecego głosu zaintonował płaczliwy lament. Mroczny i pierwotny, nabrzmiały tęsknotą, wyrażał uczucie odwiecznej, ponadczasowej samotności, która może zostać pokonana tylko w tym krótkim, wyjątkowym momencie, kiedy dwa ciała i dwie dusze łączą się w doskonałym akcie miłości.

Moira tańczyła teraz tuż koło Devona. Rąbkami sukni musnęła jego wyciągnięte nogi, a dojrzałe piersi dziewczyny pod obcisłym niebieskim staniczkiem rozpały zmysły. Pochyliła się nad nim, a jej plecy wygięły się w łuk, jakby na znak całkowitego oddania, zaś jej błyszczące hebanowe, pachnące włosy musnęły jego twarz.

W Devonie zawrzała krew. Czuł, że stanowi jedność z tą dziką namiętnością muzyki, jedność z tą czarującą, zmysłową istotą, której prowokacyjny taniec wzbudził w nim pożądanie i przywiódł na granicę szaleństwa. Z ochryplym, gardłowym okrzykiem zrodzonym z głębi jestestwa, podeńrwał się na nogi, chwycił dziką Cygankę w ramiona i uciekł z nią w ciemność lasu. Za nimi podążyły sarkas-tyczne groźby i zawodzenia ścigających.

## Rozdział siedemnasty

Devon, mając na karku zgraję wyjących Cyganów, w jakiś sposób zdołał odnaleźć przytulne gniazdko, które wynalazł wcześniej przy pomocy Juana. Ostrożnie ułożył piękną Cygankę - pannę młodą na kolorowej ślubnej kołdrze, przywierając do Moiry rozpalonym ciałem.

Przejęty grozą z powodu głębi własnych uczuć dla tej nie zwykłej kobiety, która wreszcie należała do niego, obserwował, jak złociste światło księżycy kładzie koronkowe cienie na jej ślicznej twarzy i odbija się w fio-letowych źrenicach. Jakże naturalne wydawało mu się teraz, że trzyma w ramionach szczupłe, uległe ciało Moiry. Nigdy przedtem nic nie rozbudzało zmysłów Devona bardziej niż ostry zapach jej jedwabistych włosów i to wilgotne ciepło jej warg, kiedy przywarł do nich ustami.

Niczym wędrowiec w pogoni za swoim marzeniem, docierał teraz do krainy szczęśliwości, która tak długo była mu niedostępna. Odnalazł w końcu prawdziwą miłość.



Zrozumiał, że wszystkie inne kobiety, jakie znał, były tylko epizodem, po którym w jego życiu nie pozostał żaden ślad.

Moira uniosła głowę i czule objęła twarz Devona.

- Czy to naprawdę ty, mój złotowłosy rycerzu? - zapytała, z podobnym uczuciem niedowierzania, jakie ogarniało hrabiego. - Często marzyłam o tej chwili, a teraz trudno mi uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

- Więc ty także tego chciałaś, kochana - odpowiedział i ucałował zagłębienie jej dłoni. -

Muszę ci coś wyznać. Pragnąłem cię od chwili naszego pierwszego spotkania, ale obwiniałem siebie za to, że pożądam kobiet, która, jak wierzyłem, należy do mojego brata.

- Nigdy nie należałam do Blaine'a ani do żadnego innego mężczyzny - powiedziała wiedząc, że Devon wkrótce sam się przekona o prawdziwości jej słów.

- Ani ja do żadnej kobiety, najdroższa - odrzekł Devon. - Nic, co przydarzyło się nam w przeszłości, nie było realne, bo rzeczywistość dopiero teraz się zaczyna. Bóg mi

świadczy, że ja też marzyłem o naszym połączeniu przez ostatnie cztery lata tak często, że nie mogę uwierzyć, iż moje pragnienia w końcu się spełniły. - Pocałował Moirę w koniuszek nosa. Kiedy leżałem w namiocie na pirenejskiej przełęczy, z drżeniem myślałem

o cieple twego rozkosznego ciała, które tuli się do nytie. Marzyłem o tym, aby kochać się z tobą, będąc w Portugalii, nad brzegiem morza, na skwarnych równinach Hiszpanii.

Devon całował jej policzki, szyję, aż zadrzała z rozkoszy. - Budziłem się w nocy i wyobrażałem sobie, jak się kochamy w Langley Hall albo w moim domu w Londynie.

Devon zsunął z niej bluzkę i całował nabrzmiałe piersi.

Ciepło jego warg emanowało aż po same koniuszki stóp Moiry.

- Marzyłem o tym bezustannie, nawet wówczas, kiedy byłem w Carlton House.

- W Carlton House? - Moira roześmiała się gardłowo.

- Wariat z ciebie.

- Przysięgam, że to prawda. Siedziałem w szkarłatnym pokoju, wspierając wysiłki Castlereagha na rzecz uzyskania poparcia dla Wellingtona, ale przez cały czas myślałem tylko o tym, jak cudownie byłoby kochać się z tobą na tamtej kanapie.

Chwycił zębami płatek jej ucha i delikatnie ugryzł.

- Szczerze mówiąc, kobieto, twoje nieustanne odmowy, aby wyjść za mnie, były tak frustrujące, że odkryłem w sobie skłonność do erotycznych marzeń, o jaką nigdy się nie podejrzewałem. - Ponownie uszczypnął ją w ucho. - Chociaż muszę przyznać, że nawet w najśmielszych marzeniach nie przewidziałem, że będę musiał cię porwać z rąk Cyganów i wprowadzić do tej kryjówki w odludnym kornwalijskim lesie. Nie przypuszczałem także, że będę upajał się tą cygańską serenadą, której echo nadal krąży w moich żyłach niczym trawiąca gorączka.

- To dlatego, mój panie, że wy, Anglicy, jesteście okropnie prozaiczni. Coś tak romantycznego jak cygańskie wesele przekracza możliwości waszej wyobraźni - oświadczyła Moira, kiedy odległy dźwięk gitary dziadka przedarł się przez otaczające ich drzewa. Towarzyszył mu teraz drugi gitarzysta, prawdopodobnie Juan. Oba instrumenty połączyły wysiłki w narastającym rytmie tej namiętnej harmonii.

Moira przesuwiała opuszkami palców po wyrazistej twarzy Devona w takt tej dzikiej, zmysłowej melodii. Kiedy dotykała ogorzalej od wiatru skóry Devona, czuła, jak całe jej ciało ogarnia pożądanie. Zadrzała z rozkoszy. - Zmarzałaś, najdroższa? Pozwól, abym cię ogrzał - powiedział hrabia, kładąc się na niej.

Moira poczuła, że miękkie włosy porastające jego pierś muskają jej nagie piersi, lecz nie mogła sobie przypomnieć, aby Devon zdejmował z siebie koszulę, a z niej staniczek.

Uśmiechnęła się. Uprawianie miłości z takim rozpustnikiem daje niewątpliwe korzyści.

Przypomniała sobie teraz mało romantyczne, nieśmiałe zabiegi Blaine'a, kiedy próbował się do niej zbliżyć.

- To nie z zimna - zamruczała, wyginając się prowokacyjnie.

- Ależ swawolną istotę wziąłem sobie za żonę - powiedział Devon z udawaną surowością.

Powoli przesuwając dłoń wzdłuż uda księżnej. Dotknął Moiry tak delikatnie i tak pełnym miłości gestem, że pozbawił ją zdolności do logicznego myślenia. Poczuli, że narasta w niej ból, stając się potworną i jednocześnie cudowną torturą, którą zdoła ugasić tylko całkowite połączenie.

Usłyszała jęk. Wiedziała, że wydobył się z jej ust. W odpowiedzi do jej uszu dotarł dziki, gardłowy dźwięk, który dochodził z wnętrza Devona. Po dłuższej chwili poczuła, jak rozsuwa jej uda.

Kiedy w nią wszedł, Moirę przeszył ostry ból, a z jej gardła wydarł się urywany krzyk. Devon natychmiast znieruchomiał. Dziewictwo Moiry stanowiło dlań wielkie zaskoczenie. Szok przeszył go na wskroś, niczym pocisk wystrzelony z bliskiej odległości. Desperacko usiłował odzyskać kontrolę nad swym rozdygotanym ciałem.

- Niech to diabli, Moiro, czemu mi nie powiedziałaś? - Z trudem łapał powietrze. - Byłbym bardziej ... - jęknął - ostrożny.

- Mówiłam ci, ale nie słuchałeś - wymruczała i chwyciwszy Devona za włosy przyciągnęła mocno do siebie.

Połączyli się w głębokim, namiętym pocałunku. Hrabia miał wrażenie, jakby dotyk ust Moiry coś w nim uwolnił. Zaczął się w niej poruszać, najpierw powoli, aż jej ciałem wstrząsnęły fale rozkoszy. Potem szybciej, głębiej, aż namiętność stała się nie do wytrzymania. Moirę oszłomiła ta nagła eksplozja doznań, krzyknęła ochryple i wygięła się pod nim. Jak z oddali usłyszała chrapliwy, triumfalny okrzyk Devona. Dołączył do niej i wzniesli się na sam szczyt, aby po chwili, znów razem, zejść w spokojną dolinę.

Kiedy Devon się obudził, księżyc skrył się za horyzontem, a świt zaczął malować niebo w kolorach złota, pomarańczy i cynobru. Moira, wtulona w Devona, spała z głową na jego ramieniu. Z zachwytem obserwował uśpioną twarz ukochanej. Na myśl o darze miłości, jaki od niej otrzymał, poczuł się bardzo skruszony, a własna głupota napełniała go niesmakiem. Jak mógł przypuszczać, że ta najbardziej honorowa i odważna z kobiet mogła oddawać się innym mężczyznom?

Moira otworzyła oczy, obdarzając Devona wieloznacznym, nieco przebiegłym uśmiechem. Natychmiast ogarnął go dreszcz pożądania. Raz spróbował tego daru niebios, zapragnął więcej. Była w niej ta cudowna, szczerą radość, głębia namiętności, którą, jak podejrzewał, dopiero zaczął odkrywać.

Co więcej, Moira nie miała żadnych, tak częstych u dziewczyc, hamulców. W ciemnościach nocy budził ją dwukrotnie i za każdym razem zmysłowość Moiry była jeszcze słodsza. Dokądkolwiek zapragnął ją zaprowadzić, ona podążała za nim z największą radością.

- Dzień dobry - powiedziała, przeciągając się niczym zaspokojona kotka.

Devon wsparł się na łokciu i uśmiechnął do ukochanej.

Okryta płaszczem wspaniałych włosów, z egzotycznymi oczyma nadal zamglonymi snem, wyglądała jeszcze piękniej niż zazwyczaj.

- Dzień dobry, pani żono. Mam nadzieję, że dobrze spałaś.

- Cóż, dość dobrze, biorąc pod uwagę, jak często byłam budzona.

Delikatnie pociągnął ją za nos.

- Przypadła nam w udziale wyjątkowa noc poślubna, prawda, kochanie? - Leniwie owinął pukiel hebanowych włosów wokół palca. - Sam ślub też był wyjątkowy. Obawiam się, że w porównaniu z nim chrześcijańska ceremonia przyniesie wielkie rozczarowanie.

W oczach Moiry pojawiło się zaniepokojenie.

- Chrześcijańska ceremonia?

- W wiejskim kościele, a pastor Kincaid odprawi tę uroczystość. I, moim zdaniem, im szybciej, tym lepiej. - Devon pochylił się, aby ją pocałować. ~ Obawiam się, że przeskok przez miotłę nie zalegalizuje statusu naszych dzieci - a jedno z nich już mogło zostać poczęte.

- Nie! - Moira niespodziewanie odepchnęła Devona i wygrzebała się spod kołdry. - Czemu

gadaniem o kościele i pastorach musiałeś zepsuć ten i tak krótki moment, jaki mamy dla siebie? Przecież jeszcze przed twoim wyjazdem do Londynu powiedziałam ci wyraźnie, że nie mogę za ciebie wyjść. I nic się nie zmieniło. Zwinnymi ruchami naciągnęła przez głowę bluzkę, wokół bioder okręciła spódnicę, zapinając ją w pasie.

Devon, zupełnie zaskoczony, spojrział na Moirę z niedowierzaniem.

\_ Nic się nie zmieniło? Co masz na myśli? Przecież nasz ślub, nie wspominając już o nocy poślubnej, zdarzył się naprawdę. Chyba nie chcesz mi wmówić, że to tylko halucynacja?

\_ Oczywiście, to się zdarzyło naprawdę. Ale cygański ślub wiąże nas tylko do czasu, dopóki zostaniemy w obozie dziadka i jak słusznie zauważyłeś, nie jest uznawany przez angielskie sądy.

Devon wstał z ponurą miną i sięgnął po spodnie.

\_ Innymi słowy, nigdy nie zamierzałaś za mnie wyjść. Chciałaś się tylko zabawić, korzystając z faktu, że oboje znaleźliśmy się w tych dzikich lasach Kornwalii. A po powrocie do cywilizacji każde z nas pójdzie swoją drogą.

\_ Nieco inaczej bym to ujęła. - Poderwała się. Nigdy przedtem nie widziała Devona tak bardzo zirytowanego.

Natychmiast, niczym błyskawica, zagroził jej drogę.

\_ Więc jak? Postaraj się, aby wyjaśnienie było wiarygodne. Przecież w ferworze namiętności wyznawałaś mi miłość. Tego sobie nie wyśniłem. - Miał minę głęboko skrzywdzonego człowieka, bardziej odpowiednią dla oszukanej dziewczyny, niż dla mężczyzny cieszącego się reputacją największego rozpustnika w Londynie. Okrutnie mnie rozczarowałaś, pani - stwierdził tonem wyrażającym coś, co należałoby określić jako urażoną godność. - Zgodziłem się na ten dziwaczny ślub w dobrej wierze. A teraz słyszę, że ty tylko chciałaś zabawić się moimi uczuciami.

- Nie jestem lekkoduchem, milordzie - powiedziała z oburzeniem Moira. - Nie zarzucaj mi tego, co tobie przyniosło wątpliwą sławę. Dobrze wiesz, że cię kocham. Gdyby było inaczej, nigdy nie dopuściłabym do takiego zbliżenia między nami. - Zdławiła łzy. Właśnie z powodu mojej miłości do ciebie odmawiam poślubienia cię według angielskiego prawa. Teraz już nie zdołam ukryć przed światem swojego cygańskiego pochodzenia. Nie wstydzę się tego, kim jestem, zawsze bałam się jednak twojej reakcji.

- Niech to diabli, pani. Mówisz zagadkami. Nic nie pojmuję.

Moira wzięła głęboki, uspokajający wdech.

- Czy potrafisz sobie wyobrazić, jakim problemom będziesz musiał stawić czoło, jeśli weźmiesz Cygankę za żonę?

Devon uniósł wyraziste brwi.

- Chyba potrafisz. Już i tak zdołałaś sprawić mi więcej kłopotów niż wszystkie inne kobiety razem wzięte, nie wyłączając mojej postrzelonej matki.

Moira puściła drwiącą wypowiedź Devona mimo uszu. - Po pierwsze, twoi przyjaciele i inni członkowie Izby Lordów zaczną od ciebie stronić.

- Każdy, kto nie zechce się ze mną zadawać, nie zasługuje na miano mego przyjaciela. Więc to żadna strata. A co do Izby Lordów, to Stamdena twoje pochodzenie nic nie obchodzi. Wellington i Castlereagh tak wiele mi zawdzięczają, że nie ośmielią się mnie krytykować, natomiast książę regent zaakceptuje nawet samego Lucyfera, zwłaszcza jeśli ten przybierze postać pięknej kobiety. Zrwanie pozostałych w ogóle się dla mnie nie liczy.

- Ale zaczniesz cię to obchodzić, kiedy ostracyzm społeczeństwa obroci się przeciw twoim dzieciom.

\_ Bzdura. Nasze dzieci będą zbyt silne psychicznie, aby zaszkodził im taki drobiazg jak przesady - powiedział Devon, biorąc ją w ramiona. - Dzięki odziedziczonym po nas umysłach zdołają pewnie zmienić co najmniej połowę torysów w zaciekłych wigów i reformatorów.

Moira zaczęła walić w niego pięściami, ale nie zdołała mu się wyrwać! Devon trzymał ją mocno.

\_ Devonie Sto Gwyre, czy zawsze wszystko musisz obracać w żart? Wątpię, aby wicehrabia Quentin był tak wesołego usposobienia i równie tolerancyjny. Zdziwiłabym się bardzo, gdyby na wieść o twoim związku z Cyganką nie zwrócił się do sądu o pozbawienie cię opieki nad Charlesem. Z pewnością zyskałby szerokie poparcie. Przecież - dodała gorzko - każdy par królestwa uznałby, że człowiek na tyle szalony, aby ożenić się z Cyganką, będzie miał zgubny wpływ na młodego księcia.

Devon natychmiast puścił Moirę i cofnął się z ponurym wyrazem twarzy.

\_ Na Jowisza, pani, masz rację. Chylę czoło przed twoją mądrością. Że też sam na to nie wpadłem. Musiałaś mnie chyba zauroczyć i w efekcie straciłem zdolność logicznego myślenia.

\_ Zauroczyłam? Nie mnie obwiniaj za niedoskonałości swego umysłu, milordzie - odparła Moira, zaszokowana i rozdrażniona bezmyślnymi słowami Devona. - Wbrew powszechnemu mniemaniu Cyganie nie zajmują się magią, ani czarną, ani białą. Gdyby tak było, już dawno rzuciłabym na Quentina klątwę.

\_ Faktycznie. Ale to dziwne. Dokładnie pamiętam, jak twoja babka, dając mi koldrę, na której doznaliśmy przelotnych rozkoszy małżeńskich, zagroziła, że ześle na mnie wszystkie zarazy, jeśli kiedykolwiek złamię ci serce. - Uniósł brwi. - Jednak po namyśle dochodzę do wniosku, że rzuciła klątwę na niewłaściwą osobę.

- Pogrożki bez pokrycia - stwierdziła Moira. - Cyganie mają skłonność do przechwalania się swoimi zdolnościami, szczególnie wobec gaujos. - Z niepokojem spojrzała na jego surowe oblicze. - Co miałaś na myśli, mówiąc o "przelotnych rozkoszach małżeńskich"? Nie myślisz chyba, że kiedy aranżowałam nasz ślub według cygańskiego prawa, planowałam spędzić z tobą tylko jedną noc? Tak długo, jak zostaniemy w obozie dziadka, możemy być ze sobą,

- Zaaranżowałaś? W tym tkwi cały problem, pani. - Obdarzył ją spojrzeniem tak zimnym, jak styczniowy poranek. - Nikt nie będzie mi organizować życia. Nie zamierzam też być zabawką w rękach kobiety - zabawką, którą można wyrzucić, kiedy tylko się znudzi. Dopóki nie zostaniemy sobie poślubieni wedle angielskiego prawa, nie oczekuj, że będę cię darzył względami.

Jakby nagle uświadomiwszy sobie swą nagość, Devon pospiesznie włożył koszulę i wetknął jej poły w spodnie.

- Żegnam panią. Gdyby musiała się pani ze mną skontaktować w sprawach dotyczących Charlesa, proszę zostawić wiadomość Partridge'owi, mojemu lokajowi z Langley Hall. On będzie wiedział, gdzie mnie szukać. - Powiedziawszy to, włożył buty i ruszył przez las w kierunku obozu. Moira stała w miejscu jak wryta, z otwartymi ze zdumienia ustami.

Kilka minut później, z babciną koldrą pod pachą, Moira także wróciła do obozu. Wszyscy w bezruchu obserwowali przygotowania Devona do odjazdu. Czerwieniąc się, Moira oddała koldrę Juanowi i pospiesznie podbiegła do hrabiego.

- Nie możesz tak po prostu odjechać i zostawić mnie - wyszczała. - Moi ludzie pomyślą, że cię rozczarowałam. A rozczarować męża podczas nocy poślubnej to dla Cyganki największa hańba. Jeśli moje uczucia nic dla ciebie nie znaczą, zatroszcz się przynajmniej o honor mych dziadków, bo dla nich to także wielka ujma.

Devon najpierw sprawdził popręg u siodła, a dopiero potem zwrócił uwagę na żonę. Włosy miała rozczochrane, jeden policzek ubrudzony, a w jej oczach błyszczały łzy. Nigdy nie była bardziej pociągająca. Poczul wielką ochotę, aby wziąć Moirę w ramiona i rozproszyć wszystkie obawy. Jednak upomniał sam siebie - najpierw musi dać jej odpowiednią nauczkę. Ostatnią rzeczą, jakiej by chciał, było to, żeby kobieta decydowała za niego.

- Zamierzam natychmiast odjechać - oświadczył - ale choć twoje postępowanie zraniło mnie do głębi, nie jestem aż tak małostkowy, aby wciągać twoich dziadków w naszą kłótnię. Przebierz się więc i skoro musisz, możesz mi towarzyszyć.

Spojrzał na beztroskich Cyganów, którzy już powrócili do swych porannych zajęć'.

- Jednak do czasu, aż podejmę decyzję co do przyszłości Charlesa, chłopiec zostanie w obozie. Jest tu zarówno szczęśliwy, jak i bezpieczny.

- Innymi słowy, jeśli odmówię poślubienia ciebie, odbierzesz mi chłopca. To okrutna i bezsensowna pogróżka i nie przynosi ci zaszczytu. - Oczy Moiry zabłyśły wściekłością, ale nic więcej nie powiedziała. Obróciła się na pięcie i poszła w kierunku wozu babki.

Devon obserwował ją z mieszanymi uczuciami - zaskoczeniem, że poddała się tak łatwo, i ciekawością, jaki będzie jej następny krok. Nie był głupcem i wiedział, iż postawione przez niego ultimatum nie kończy całej sprawy. Kiedy Moira wbije sobie coś do głowy, jest zaborcza jak ów przyśłowiaowy buldog, który nie da sobie wydrzeć z pyska kości.

Podejrzenia Devona 'potwierdziły się już kilka minut później. Moira wróciła ubrana nie we wdowie szaty - jak należało przypuszczać - lecz we frywolną, szkarłatną cygańską suknię. Włosy miała rozpuszczone, a nogi bose.

Co więcej, prowadziła nie osiodłanego kucyka o dzikim spojrzeniu i w nieokreślonym kolorze, którego dosiadła po męsku, nieprzyzwoicie przy tym odsłaniając nogi. Devon od razu odgadł, co Moira knuje. Demonstracyjnym przemarszem na cygańską modłę zamierza mu pokazać, z czym będzie miał do czynienia, jeśli pojmie ją legalnie za żonę. Była sprytna i Devon musiał jej to przyznać. I zaciekle usiłowała chronić go przed sobą samą. Jęknął. Dlaczego zakochał się właśnie w tak dumnej Cygance?

- Pilne sprawy wzywają mnie do powrotu - wyjaśnił Juanowi. - Pragnę oczywiście, aby towarzyszyła mi żona. - Oczywiście - odparł Juan, a na jego przystojnej twarzy odmalowało się rozbawienie.

- Zostawiam Charlesa i Alfiego pod twoją opieką - i babki Moiry. Wrócę po nich, kiedy tylko to będzie możliwe.

- Nie! - Alfie przepchnął się przez tłum Cyganów. - Chcę jechać z panem, milordzie. W obozie nie jestem

dzieciakowi potrzebny. Mając towarzystwo tylu Cygańniętek, ledwie mnie zauważa. Dobrze mu tutaj jak robakowi w łajnie.

Devon przyjrzał się nieszczęśliwej buzi chłopca.

- A ty nie pasujesz do tego miejsca, co Alfie? Nie mam nic przeciw dzieleniu z tobą siodła, ale wprawdzie musisz poprosić

o zgodę jej wysokość. To ona jest twoją pracodawczynią.

Moira zgodziła się, choć niezbyt chętnie. Devon dosiadł konia, po czym wyciągnął rękę, aby pomóc wsiąść Alfiemu. Wtedy wtrącił się Czarny Jack.

- Jadę z wami - powiedział. - Chwilowo mam dosyć sypiania pod gołym niebem. Marzy mi się puchowe łóżko. No i ktoś musi odprowadzić śliczny powozik Moiry do Białych Dębów, zanim nasi kochani cygańscy kuzyni sprzedadzą go wraz z koniem - dodał na tyle cicho, aby ostatnie słowa usłyszał tylko Devon. - Alfie może jechać ze mną, w ten sposób wam obu będzie wygodniej.

Pożegnawszy się z Charlesem, który sprawiał wrażenie, jakby ich wyjazd wcale go nie obchodził, wyruszyli w drogę powrotną. Na przedzie, na swym pełnej krwi ogierze, jechał Devon. Za nim, na cygańskim kucyku, podążała Moira - z głową wysoko uniesioną, gołymi nogami i włosami powiewającymi z tyłu niczym transparent ogłaszający całemu światu, z kim ma do czynienia. Na końcu w powoziku jechali Czarny Jack i Alfie. Cyganie przystroili pojazd jaskrawymi wstążkami i kwiatami.

Ledwie opuścili las, w którym obozowali Cyganie, napotkali wóz druciarza pełen podzwaniających garnków, a ciągnięty przez ryczącego osła. Devon obejrzał się za siebie i jęknął. Jeśli właśnie w ten sposób Moira usiłuje ukazać mu złe strony małżeństwa z Cyganką, to wybrała odpowiedni sposób. Zastanawiał się, czy porządni mieszkańcy Kornwalii mieli kiedyś okazję oglądać bardziej niestworzoną procesję niż ta, która owego pogodnego wiosennego dnia ciągnęła się za nim przez wiejskie drogi. Brakuje jeszcze tylko, aby zobaczyli to jego sąsiedzi.

Nie miało to jednak wielkiego znaczenia w porównaniu z oczekującymi go problemami. Najpierw musi znaleźć sposób, aby pozbyć się Quentina, nie narażając się przy tym na ryzyko galer. Potem należy przekonać Moirę, iż los przeznaczył mu ją na żonę. Pozbycie się tego tchórza Quentina zdawało się tak łatwe, jak zdeptanie obcasem uciążliwego insekta.

Ale Moira! Ta piękna, namiętna i zdecydowana Moira!

To był poważny problem, który nawet najbardziej rozsądnego człowieka mógł przyprawić o utratę zmysłów.

To była koszmarna podróż. Pod koniec dnia Moirę ogarnęło wrażenie, że ta jazda nigdy się nie skończy.

W każdej, mijanej wiosce, ludzie wylegali na ulice, chcąc popatrzeć na utytułowanego arystokratę i jego cygański orszak. Rolnicy przerywali pracę, a pastorzy wychodzili z kościołów i przestrzegali Devona przed zadawaniem się z poganami. Nawet wiejskie psy im nie popuściły. Szczekały za nimi i szarpały wstążki zwisające z powozika. Wydawało się, że sprawy nie mogą już przybrać gorszego obrotu. A jednak przybrały. W odległości około dziesięciu kilometrów od Langley Hall natknęli się na cztelech miejscowych szlachciców wracających z polowania zorganizowanego przez lorda Dinsdale'a. Devon nie stracił zimnej krwi i tylko poblądłe usta oraz lekko zaczerwienione policzki świadczyły o jego ogromnym zażenowaniu. Do czasu, kiedy żegnał się z Moirą u bram Białych Dębów, rumieniec już zniknął, lecz ponura mina hrabiego uświadomiła Moirze, iż osiągnęła swój cel. Udało jej się wzbudzić w nim niechęć do siebie i Devon z pewnością porzuci teraz wszelką myśl o poślubieniu księżnej wedle angielskiego prawa. W Białych Dębach zaskoczył ją widok wszystkich służących. Brakowało tylko Elizabeth, która zostawiła liścik wyjaśniający, iż wróciła do domu ojca, aby przygotować się do ślubu. Cygański strój Moiry wprowadził wszystkich w prawdziwe zakłopotanie. Nie mogąc znieść tego widoku pospuszczali oczy. Nawet Alfie z ogromnym wysiłkiem powstrzymywał się, aby nie uciec spojrzeniem w bok.

Moira nie spodziewała się lepszego przyjęcia. Natomiast prawdziwą niespodziankę sprawił jej ojciec.

— Czyżbyś postanowiła zrazić do siebie swego mężusia? — zapytał, kiedy stali w wielkim holu Białych Dębów. — Jeśli taki był twój cel, córko, muszę stwierdzić, iż osiągnęłaś sukces. Ale zastanawiam się, dlaczego dziewczyna, która przez dwadzieścia dwa lata strzegła swego dziewictwa niczym rodzinnych klejnotów, nagle oddaje się mężczyźnie na jedną noc, aby zaraz potem go odrzucić? I chyba już wiem, jaka jest odpowiedź. Pozbyłaś się hrabiego, zanim wpadł na pomysł, żeby związać się z tobą legalnie i bardziej zobowiązująco.

Czarny Jack pochylił się i delikatnie pocałował córkę w czoło, a nie robił tego od czasu, kiedy skończyła pięć lat. — Twoim zdaniem, angielski hrabia nie powinien się żenić z Cyganką — dodał.

— To by była prawdziwa katastrofa. — Moira przycisnęła dłonie do skroni. — I to podwójna katastrofa, gdyby wicehrabia Quentin dowiedział się o tym. Wtedy zarówno Devon, jak i Charles sporo by wycierpieli z powodu związków ze mną.

— Znowu ten Quentin! A więc nadal się go obawiasz!

— Westchnął. — Jak widzę, wszystko sobie już przemyślałaś i nic, co ci powiem, nie wpłynie na zmianę twojej decyzji. — Absolutnie nic.

Czarny Jack spojrzał na córkę ze współczuciem.

— A czy ten piękny angielski hrabia wie, jak bardzo go kochasz, maleńka?

— Wątpię — odparła Moira, ocierając parzące łzy, których już dłużej nie mogła wstrzymać.

— Ale przynajmniej zdołałam go uchronić przed popełnieniem głupstwa. Nie pozwolę, "aby Quentin wykorzystał mnie do tego, by pozbawić Devona opieki nad księciem.

Czarny Jack pokiwał głową.

- Tak, dziewczyno, !robisz to. Przypuszczam jednak, że w tej chwili serce masz rozdarte jak diabli.
- Masz rację, Czarny Jacku - powiedziała, a kiedy ukryła twarz w dłoniach, poczuła, że ojciec bierze ją w objęcia. - Skąd - zaszlochała - ta rozpacz? Przecież mam to, co chciałam. Devon odszedł.

## Rozdział osiemnasty

Wicehrabia Quentin zniknął, zupełnie jakby się zapadł pod ziemię. Niczym lis, który przechytrzył goniącą go sforę, unikał wierzycieli i zaszył się w jakiejś kryjówce, gdzie nawet policjanci z Bow Street nie byli w stanie go wywęszyć. Krążyły plotki, iż w obawie przed aresztowaniem za długi, uciekł na kontynent albo do Ameryki.

Devon jednak nie wierzył w te pogłoski. Był święcie przekonany, że tak długo, jak ten chciwy łajdak pozostaje pretendentem do tytułu, nigdy się nie podda. Przyczajony poczeka na odpowiedni moment, aby dokonać ponownej próby zamachu na Charlesa. Z wytrwałością obcą swej naturze Devon spędził dwa tygodnie, przeczesując wszystkie jaskinie gry, domy publiczne i inne speluny na East Endzie, ale bez rezultatu.

Ależ tak, niektórzy dobrze pamiętali wicehrabiego. Na przykład właściciel sklepu z alkoholem, który musiał wstawić nową szybę, bo poprzednią Quentin stłukł w ataku wściekłości. Albo ta młoda prostytutka, której twarz wciąż nosiła ślady ostatniego spotkania z "Okropnym Elegancikiem" - takie bowiem przezwisko mieszkańcy slumsów nadali wicehrabiemu. Ale od ponad miesiąca nikt go już nie widział.

Devon znalazł się w kropce. Postanowił wrócić do Kornwalii i ponownie poprosić Moirę o rękę, ale dopiero po usunięciu zagrożenia w postaci Quentina. Wyglądało jednak na to, że wyeliminowanie tego potwora zajmie mu znacznie więcej czasu, niż planował. Z coraz większym trudem znosił ten rozdzierający ból, pojawiający się za każdym razem, kiedy wyobrażał sobie, że trzyma Moirę w ramionach.

Co więcej, perspektywa zamordowania człowieka - nawet takiego potwora jak Quentin - zaczynała wyprowadzać hrabiego z równowagi. Nie był urodzonym mordercą. ~ Zabijał tylko w ogniu walki. Bezimiennych, nie znanych sobie Francuzów, którzy robili też wszystko, aby zabić jego. Ale nawet wówczas nie było to przyjemne uczucie. Teraz czuł się jeszcze gorzej, Nie1awdził myśli o morderstwie z zimną krwią, nawet jeśli było to jedyne wyjście z sytuacji.

Ktoś jednak musiał wykonać to zadanie. Tym „kims” był właśnie on. Devon spojrzał na zdobny zegar stojący na kominku w bibliotece. Była dziewiąta. Niebawem znów pograży się w nocnym życiu Londynu. Z westchnieniem rezygnacji nalał sobie czystej brandy. Potrzebował sił przed czekającą go kolejną ciętką próbą.

W chwili kiedy unosił szklaneczkę do .ust, usłyszał delikatne pukanie do drzwi.

- Dwóch mężczyzn, nie wyglądających bynajmniej na dżentelmenów, żąda widzenia z panem, milordzie. Przedstawili . się jako dziedzic Reardon i Michael Keough - poinformował lokaj.

- Reardon jest w Londynie? - jęknął Devon. Nie miał najmniejszej ochoty na spotkanie z tym gadułą, ale na dobrą sprawę, nie mógł mu zakazać wstępu. Przecież gdy tylko namówi Moirę na zalegalizowanie ich małżeństwa, Irlandczyk zostanie jego teściem. Wprowadź ich - rozkazał zmęczonym głosem.

Oczekiwał eleganckiego dziedzica i przystojnego, rudowłosego lokaja. Taki bowiem obraz utkwił mu w głowie po

owej pamiętnej kolacji w Białych Dębach. Przewidywania Devona nie sprawdziły się jednak. Obaj mężczyźni, ubrani w płócienne spodnie, swetry i dwurzędowe kurtki, przypominali raczej wyjadacY z londyńskich doków.

- Co was sprowadza do Londynu, Czarny Jacku? - zapytał Devon.

- Rozglądaliśmy się w dzielnicy portowej za typem, który zagraża Moirze i Charlesowi -

wyjaśnił Reardon. - Pomyśleliśmy sobie, że tutejsi mieszkańcy chętniej będą z nami rozmawiać, jeśli się do nich upodobnimy.

- Jesteśmy dłużnikami księżnej - wtrącił Michael Keough.

Czarny Jack kiwnął głową.

- Tak. Wszędzie jednak mówiono nam, że pewien szlachcic był tu już przed nami i zadawał te same pytania. "To na pewno Langley, założę się o 500 funciaków", rzekłem do Michaela. "Najwyraźniej wpadł na ten sam pomysł, co my". - Mrugnął porozumiewawczo do Devona.

- Masz rację. Jednak niczego się nie dowiedziałem. - Devon wskazał gościom krzesła i poczęstował ich brandy.

- Quentin zniknął z powierzchni ziemi.

- Cóż, nam dopisało trochę więcej szczęścia - powiedział Czarny Jack. - W jednym z domów publicznych, jakie odwiedziliśmy, spotkałem starą przyjaciółkę. Poznaliśmy się z dziesięć lat temu. Pracowała wówczas na ulicach Penryn. Ostatnio los był dla niej łaskawszy i teraz prowadzi własny zakład.

Devon spojrział na Czarnego Jacka z nagłym zainteresowaniem.

- Jak rozumiem, Quentin do niej zawitał?

- Zaledwie d\}je noce temu. Pojawił się w nieco dziwnych okolicznościach. Podobno dobijał się w środku nocy do drzwi i zażądał tej samej dziewczyny, która go obsługiwała miesiąc temu.

- Po tamtej wizycie dziewczyna nie mogła pracować dobre dwa tygodnie. Tak ją pobił - dodał z niechęcią Michael.

- Molly kazała mu się wynosić gdzie pieprz rośnie - kontynuował Czarny Jack. - Kiedy któraś z dziewcząt nie może pracować, przynosi to stratę w interesach.

- Quentin wściekł się potwornie, gdy Molly nie chciała go wpuścić - powiedział MicQilel. Dopił brandy i wbił oczy w karafkę. - Zanim dwóch osiłków posłało go w diabły, zdążył podbić jej oczy i wybić ząb.

Devon uzupełnił szklaneczki gości.

- Wcale mnie to nie dziwi - Nie jest pierwszą kobietą, którą tak potraktował.

- Nas to też nie zdziwiło - odparł Czarny Jack, obracając szklaneczkę w ręce. - To opis Molly dał nam do myślenia. Ktoś, kto w slumsach ukrywa się przed wierzycielami, na ogół nie zgrywa elegancika. A jeśli wierzyć słowom Molly, Quentina spowijały atłasy i aksamity, jakby był przynajmniej księciem.

- Skąd by to wszystko wziął, jeśli nie od jakiegoś bogacza z Myfair? - zapytał Michael. - I właśnie dlatego przyszliśmy do pana, milordzie. - Dla pana popytać eleganckich przyjaciół o gościa odpowiadającego opisowi Quentina będzie jak złowienie ryby w Tamizie.

Jakby był przynajmniej księciem. Przez głowę Devona przeleciał obraz opustoszałych pokoi i zakrytych pokrowcami mebli.

- Jasna sprawa! - zawołał triumfalnie. - Gdzieżby indziej, jak nie we własnym domu księcia, którego właściciel już nigdy nie włoży swoich ubrań.

- Siedziba Sheffieldów! Na wszystkie świętości, chyba masz rację - krzyknął Czarny Jack.

- Ale jak zdołał się tam wprowadzić? Moira z pewnością zostawiła dom pod czyjąś opieką.

- Widziałem tego opiekuna - powiedział Devon. - To głupiec. Quentin z pewnością bez trudu przekonał starego, iż jako utytułowany krewny ma prawo tam zamieszkać.

- A więc teraz już będzie nam z górki. Trzeba tylko poczekać, aż wszyscy domownicy zasną, potem wślizgnąć się do środka i mamy go! Najłatwiej będzie dostać się do domu, żaden zamek bowiem nie stanowi dla Michaela przeszkody.

Devon zerwał się na równe nogi.

- Tylko się przebiorę i ruszamy w drogę.

- Poczekaj! - Czarny Jack uniósł dłoń. - Najpierw

chciałbym poznać twoje plany względem wicehrabiego Devon jęknął.



- To szumowina najgorszego rodzaju. Pragnąłbym ujrzeć go martwym, bo ciągle mam przed oczami mojego woźnicę, którego zabił wynajęty zbir Quentina, zanim porwał się na moje życie - powiedział ponuro. - Nic innego mnie nie usatysfakcjonuje.

- A nie mówiłem? - Czarny Jack zwrócił się do Michaela.

- Tak, i przykro mi to słyszeć - odparł Keough. - Ten kobiecy sposób myślenia któregoś dnia przywiedzie imperium brytyjskie do upadku.

Oszołomiony Devon przenosił wzrok z jednego mężczyzny na drugiego.

- Szybkie uśmiercenie jest dobrą karą dla biedaka, który rabuje powóz na King's Highway albo, niech Bóg uchroni, kradnie tak dobrą brandy jak ta - oświadczył Czarny Jack. - Zabić to zbyt łagodna kara dla człowieka, który opłaca zbirów, aby dla niego mordowali, szczególnie jeśli płaci za zabicie kobiet i dzieci. Myśleliśmy \_ raczej o posłaniu wicehrabiego w długą podróż.

- Nic z tego - ostrzegł Devon. - Jeśli wyślecie tego potwora do Ameryki albo Botany Bay, będzie miał szansę wrócić do Anglii przed upływem dziesięciu lat.

Czarny Jack potrząsnął głową.

- Nie Amerykę mieliśmy na myśli.

- Ani też Australię - dodał Michael. - Chociaż słyszeliśmy pogłoski, iż Botany Bay to prawdziwe wrota do piekieł.

Oczy Czarnego Jacka zamigotały okrucieństwem.

- Myśleliśmy o tym, aby podarować go pewnemu piratowi, którego poznaliśmy prowadząc interesy w Mryce. Taki elegancik jak Quentin sprawi staremu niezłą uciechę. A do czasu, aż Omar i jego ludzie znudzą się nim, Quentin będzie wypatrywał śmierci niczym błogosławieństwa.

Devona przeszedł dreszcz.

- Cóż za godny przyjaciela pomysł - i jakże na miejscu. Jak zamierzacie dostarczyć Omarowi ten "podarunek"?

- Tak się składa, że niedaleko od Plymouth zakotwiczył w tajemnicy jeden z handlarzy żywym towarem. Znamy go obaj z Michaeliem. To najwredniejsza kreatura pod słońcem. Za pięćdziesiąt funtów dostarczyłby własną matkę do piekła.

\_ I tu właśnie nasza prośba do pana, milordzie. - Michael niespokojnie wiercił się na krześle. - Czarny Jack i ja pragnęlibyśmy przystąpić do tego interesu, ale niestety obecnie brakuje nam gotówki.

\_ Mój sejf jest do waszej dyspozycji, panowie - oświadczył Devon, nalewając następną kolejkę swoim współnikom. - Pozwólcie mi tylko się przebrać i przygotować pieniądze. A potem ruszamy. To będzie najlepsza nocna robota, jaką kiedykolwiek przyjdzie nam wykonać.

Dzień ślubu Elizabeth zapowiadał się tak pięknie, jak tylko panna młoda może sobie wymarzyć. Moira cieszyła się szczęściem przyjaciółki, lecz do jej ponurego nastroju pasowałyby raczej niebo z ciężkimi deszczowymi chmurami.

Nie widziała Devona od tygodni. Każdy dzień wydawał się dłuższy i bardziej samotny niż poprzedni, niczym zapowiedź nadchodzących długich, samotnych lat. Nie mogła nawet szukać pociechy u Charlesa, książę nadal bowiem przebywał w obozie Cyganów. Jeśli zaś chodzi o Alfiego, to chłopiec czuł się tak opuszczony i przybity, iż jego towarzystwo było dla Moiry jeszcze gorsze niż żadne. Na dodatek, właśnie w chwili, kiedy najbardziej potrzebowała ojca, ten w tajemniczy sposób zniknął, zabierając ze sobą Michaela Keougha.

To prawda, że Elizabeth odwiedzała Moirę niemal codziennie, ale mówiła wyłącznie o zbliżającym się ślubie \_ a ten temat przypominał boleśnie o tych zaledwie kilku godzinach, jakie Moira spędziła z Devonem.

Na szczęście Elizabeth przyjęła ze spokojem wiadomość, że Moira postanowiła się

wycofać z wydania weselnego

przyjęcia w Białych Dębach. Szczerze mówiąc, przyszła markiza przyjęła decyzję przyjaciółki z ulgą. Jej reakcja była zrozumiała, bo nawet córka pastora nie mogła być aż tak naiwna, aby wierzyć, że okoliczna szlachta pojawi się na przyjęciu wydawanym przez Cyganke.

Ale w jednej sprawie pozostała nieugięta. Żadne argumenty tu nie pomogły, aby miała zwolnić Moirę z obietnicy pójścia r,ła ślub.

Siedząc teraz obok Alfiego w książęcej karocy powożonej przez Jamiego Keougha, Moira gorzko żałowała, iż uległa błaganiom Elizabeth. Z każdym kilometrem narastał strach księżnej przed czekającym ją spotkaniem z ludźmi. Przecież ta sama kornwalijska szlachta odcięła się od niej przed czterema laty tylko dlatego, że Moira nie należała do ich sfery. Doskonale potrafiła sobie wyobrazić przyjęcie, jakie zgotują Cygance.

Pół godziny później uzyskała dowód. Dotarłszy do wiejskiego kościołka na kilka minut przed rozpoczęciem ceremonii, z wysoko uniesioną głową i wyprostowanymi plecami ruszyła w kierunku książęcej ławki. Za nią dreptał porządnie wyszorowany Aitie. Na miejsce dotarli przy akompaniamencie ogólnego jęku, który najpierw dochodził z sąsiedniej ławki, zajmowml: j przez hrabinę wdowę Langley, a potem objął wszystkich zebranych.

Wokół nawy, niczym szelest suchych liści wirujących na silnym wietrze, wzmagał się szept. Moira poczuła, że palce Alfiego otaczają jej dłoń.

- Nie zwracaj uwagi na te gdczące kwoki, wasza wysokość - powiedział. - Po prostu śwędzi ich własne łajno. , Moira uśmiechnęła się pod nosem. Alfie zawsze potrafił ukazać rzeczy we właściwej perspektywie. Po chwili jej uwagę przykuło poruszenie przy wejściu. Kiedy skierowała tam wzrok, dostrzegła markiza Stamdena odzianego w ele-gancki, zgniłozielony strój, a za nim - serce Moiry zabiło boleśnie - szedł hrabia Langley, w surducie i spodniach w kolorze przydymionego złota.

Przekroczywszy próg kościoła, Devon bez zwłoki poszukał oczami Moiry. Jego uśmiech przyćmił światło licznych świec ozdabiających ołtarz. Puls Moiry przyspieszył. Na długi, zapierający dech w piersiach moment, ich spojrzenia się spotkały, a potem Devon przeniósł wzrok na pastora. Moira wypuściła powietrze z płuc - nawet nie wiedząc, że je wstrzymywała.

Resztę ceremonii oglądała jak przez mgłę. Niczym we śnie patrzyła na Elizabeth idącą między ławkami w różowej, atlasowej sukni, okrytej również różową, lecz w nieco innym odcieniu, pelerynką, a jej włosy przyozdabiały pasujące do sukni róże. Ledwie słyszała głos pastora przepełniony wzruszeniem oraz zdecydowane, głośne odpowiedzi Elizabeth i markiza. Potem, gdy szczęśliwa para po raz pierwszy spojrziała na swych gości już jako małżeństwo, Moira mocniej ścisnęła rączkę Alfiego i razem wymknęli się przez boczne drzwi.

Alfie pobiegł pierwszy. Siedział już w karocy, kiedy Moira usłyszała znajome wołanie. Obróciwszy się zobaczyła, że Devon zmierza zdecydowanym krokiem w jej kierunku.

- Dokąd idziesz? - zapytał. - Przyjęcie odbędzie się na plebanii, a twoja nieobecność rozczaruje Elizabeth.

- Obiecałam przyjść do kościoła, ale nic więcej. Devon omiół jej twarz poważnym spojrzeniem.

- Doskonale. Może tak będzie lepiej, Charles z pewnością nie może się doczekać spotkania z tobą. Czarny Jack i Michael Keough przywieźli go do doniu.

- Charles jest w Białych Dębach? - Serce zabiło jej mocniej. - Ale czy to rozsądne, milordzie? Sam przecież powiedziałaś, że cygański obóz jest bardziej dla chłopca bezpieczny. .

- Teraz już nigdzie nic mu nie grozi ze strony Quentina - odparł Devon z tajemniczym uśmiechem. - Żmija nie

będzie więcej kąsać. To wszystko, co mogę powiedzieć. Jeśli dobrze znam Czarnego

Jacka, to jestem przekonany, że twój ojciec wkrótce opowie ci swoją wersję wydarzeń.

Moira nie mogła otrząsnąć się ze zdumienia.

- Pozbyłeś się Quentina raz na zawsze?

- Mniej więcej - ale nie dokonałem tego sam. Czarny Jack i Michael Keough walnie się do tego przyczynili. Chciałbym, aby ci pomysłowi dżentelmeni mogli pomóc Wellingtonowi w rozgromieniu Napoleona. - Uśmiechnął się. - Ale już dość na ten temat. Mamy ważniejsze sprawy do omówienia. Zrobimy to, kiedy po południu przyjadę do Białych Dębów.

- Zamierzasz przyjechać do Białych Dębów? Roześmiał się.

- Oczywiście, kochana. Teraz kiedy Stammen i Elizabeth w końcu się pobrali, czas zaplanować nasz ślub.

Patrzyła na niego z zaskoczeniem.

- Oszalałeś? Czyż nie doszliśmy do porozumienia już miesiąc temu? Ile razy mam ci powtarzać, że nie mogę za ciebie wyjść?

- Ale teraz sprawy wyglądają inaczej - powiedział cierpliwie głosem, jakim wyjaśnia się coś niezbyt lotnemu dziecku. - Quentin stanowił jedyną istotną przeszkodę, reszta jest bez znaczenia.

Nagle powiał silniejszy wiatr i Moira zacisnęła wstążki czepeczka.

- A zatem nie ma dla ciebie znaczenia fakt, że zaledwie przed kilkoma minutami, kiedy weszłam do kościoła, wszyscy zaczęli brzęczeć niczym rój rozwścieczonych os? A gdybym jednak poszła na to przyjęcie, wywołałabym niezłe zamieszanie przy stole Elizabeth, bo każdy by chciał, aby od znieawidzonej Cyganki oddzielał go co najmniej metr pustej przestrzeni! - Zacerpnęła tchu. - Znajdujemy się przecież w samym sercu, jak sam to określiłeś, "dzikiej Kornwalii". Bądź rozsądny, mój panie. Pomyśl o skutkach wywołanych moją próbą wejścia do londyńskiej śmietanki. A sprawa mego pochodzenia jest już powszechnie znana. Wszystkie drzwi zamknęłyby się także przed tobą. Wątpię, aby nawet twoi przyjaciele, Wellington i Castlereagh, stanęli po twojej stronie.

Devon sprawiał wrażenie szczerze zaskoczonego.

- Nie miałem pojęcia, najdroższa, jaka z ciebie wyznawczyni rozsądku. Ani też, że pragniesz wejść do londyńskiej socjety. Biorąc pod uwagę poziom inteligencji reprezentowany przez większość stołecznej elity, obie sprawy stoją w jawnej ze sobą sprzeczności. Jeśli jednak właśnie tego pragniesz, rozwiązanie jest bardzo proste.

Londyńska śmietanka przypomina stado bezmyślnych owiec, które za baranem pójdą wszędzie. Trzeba tylko szepnąć w odpowiednie ucho o twoich powiązaniach z królem Hiszpanii, a za miesiąc będziesz najbardziej wielbioną osobliwością.

- Nie mam żadnych powiązań z królem Hiszpanii - stwierdziła z oburzeniem - i niczego takiego nie zamierzam sugerować. Okropnie już mi dojadło udawanie kogoś, kim nie jestem. Dlaczego nie możesz zaakceptować faktu, że nasz związek jest niemożliwy?

- Doskonale. Trzeba więc będzie wymyślić inny sposób na wprowadzenie cię do wyższych sfer - oświadczył, puszczając jej ostatnie zdanie mimo uszu. - Rozsądny sposób. Na przykład, w zamian za wydanie balu na twoją cześć, podaruję regentowi mego ogiera. Ten tłusty łajdak ma na Huragana wielką chrapkę. - Devon westchnął dramatycznie. - Szkoda. Osobiście skłaniałbym się raczej ku czarującej bajeczce o królu Hiszpanii.

- Niech cię diabli, Devonie St. Gwyre! - Moira spojrzała na swego przystojnego prześladowcę z bezsilną frustracją. - Czy ty musisz wszystko obracać w żart?

- Obawiam się, że tak, ukochana. Po dwóch tygodniach spędzonych w towarzystwie Czarnego Jacka i Michaela wątpię, abym w stosunku do czegokolwiek mógł być poważny.

- Moją odmowę lepiej potraktuj poważnie, milordzie, bo ja zdania nie zmienię. Powtarzam po raz ostatni - nie mogę za efebie wyjść. - Splotła palce za plecami. - Co więcej, nie chcę za ciebie wyjść, ponieważ zupełnie do siebie nie pasujemy.

- Nie chcesz? W porządku. - Devon wyraźnie zbladł pod opalenizną. - Wybacz mi arogancję. Działalem pod wrażeniem, że mnie kochasz. Jak widzę, myliłem się. Gdyby tak było, miałabyś odwagę walczyć i wierzyłabyś, że miłość pokona wszelkie przeszkody,

jakie świat jej zgotuje. Bo, szczerze mówiąc, te twoje rozsądne powody, te których nie powinnaś za mnie wychodzić, dla mnie nie mają najmniejszego znaczenia. Zwłaszcza w porównaniu ze szczęściem, jakie przyniosłoby nam małżeństwo. - Skłonił się lekko. - Adieu, tchórzliwa istoto. Już więcej nie będę cię niepokoił.

- Powiedziawszy te słowa, gwałtownie się odwrócił i poszedł wąską ścieżką w kierunku plebanii, gdzie odbywało się weselne przyjęcie jego dwojga przyjaciół.

W drodze powrotnej do Białych Dębów Moira jakimś cudem zdołała powstrzymać łzy. Dała im upust dopiero wówczas, kiedy znalazła się w sypialni i zamknęła za sobą drzwi na klucz.

Nie po raz pierwszy rozstała się z Devonem. Zawsze było to bolesne przeżycie, ale nie aż do tego stopnia. Podczas tego ostatniego rozstania pojawiło się coś, co wydawało się ostateczne.

Devon nazwał ją tchórzem.

Czyż nie widział, że podejmując tę trudną decyzję, miała na względzie tylko jego dobro, a nie swoje? Pragnęła uchronić hrabiego przed popełnieniem wielkiego głupstwa. Nie, oczywiście, nie potrafił tego zrozumieć. Tylko ktoś, kto nigdy nie był społecznym wyrzutkiem, mógł traktować sprawę akceptacji przez środowisko jako "bez znaczenia". Wszystko skończone. Teraz musi się nauczyć żyć w samotności, przepelniona pustką i przeświadczeniem, że słońce już nigdy dla niej nie zaświeci.

Ale nie tak od razu. Ból i żal są wciąż zbyt świeże.

Po raz pierwszy w życiu Moira pozwoliła sobie na luksus uzalania się nad sobą.

Rzuciwszy się na łóżko, płakała tak rozpaczliwie, jakby ktoś złamał jej serce. I rzeczywiście, Moira miała złamane serce.

Przez cały dzień nie wyjrzała z pokoju.

W południe kucharka przyniosła zimny posiłek, ale Moira odesłała kobiecinę z nietkniętą tacą. Przykazała tylko dopilnować, aby Charles i Alfie zostali porządnie nakarmieni.

O drugiej po południu do drzwi Moiry delikatnie zastukał John Footman. Choć wiedział, że kąpała się rano, zaproponował, że przyśle lokaja z balią pełną gorącej wody. Może jej wysokość weźmie kojącą kąpiel?

O czwartej pod drzwi przywędrował Czarny Jack.

- Serce mi się kraje, kiedy tak rozpaczasz, maleńka.

Nigdy przecież nie byłaś skłonna do płaczu. Jeśli to ten łajdak Devon Sto Gwyre doprowadził cię do takiego stanu, powiedz tylko słowo, a poczęstuję go kulką między oczy, chociaż bardzo chłopaka lubię.

- Odejdź! Zostaw mnie w spokoju - wyszlochała Moira. - I ani się waż strzelać do Devona. Nic złego nie zrobił.

Poprosił tylko, abym wyszła za niego zgodnie z angielskim prawem.

- A ty odmówiłaś? - zakrzyknął zdumiony. Nigdy przedtem nie okazywał najmniejszego zdziwienia w tym względzie. - Nie oczekuj po mnie współczucia, ty głupia kobieto.

Doigrałaś się! Szkoda tylko, że taki porządny, lojalny chłopak jak Devon musi cierpieć przez twój idiotyczny upór.

Moira płakała jeszcze rozpaczliwiej, ale po raz pierwszy do jej świadomości zaczęła się wkradać wątpliwość. Czy rzeczywiście postąpiła słusznie?

Kiedy niewielki zegar z pozłocanego brązu stojący na kominku wybił siódmą, wzięła się w garść, ochlapała opuchnięte oczy wodą i poszła do sypialni chłopców. Osobiste cierpienie nie zwalnia jej przecież od wykonywania obowiązków.

- Przepraszam, że sama Cię nie przywitałam - powiedziała, mierzwiąc czarne loki Charlesa, a następnie pocałowała chłopca w ogorzałą czołeczkę - tak inną od tej delikatnej, dziecięcej sprzed kilku miesięcy.

- Wszystko w porządku, mamó. Przecież płakałaś - odparł, zamykając oczy. - To dlatego, że jesteś dziewczyną. A według tío Juana dziewczynki często się boją.

Słowa chłopca niczym sztylet przeszły serce Moiry.

A więc teraz również jej ulubiony cygański kuzyn i ukochany pasierb uważają księżną za tchórza.

Kiedy podeszła do łóżka Alfiego, ten jeszcze nie spał.

\_ Dzieciaczek wyrósł - stwierdził ze smutkiem. - Pełwnie niedługo pójdzie do jednej z tych szkół dla arystokracików.

- Chyba masz rację. Młodzi książęta zazwyczaj tak postępują.

- Czy to oznacza, że ja znów będę kominiarczykiem? Jeśli tak, to od razu przestanę jeść. Robię się za gruby i nie wleżę do komina.

\_ Och Alfie! - Moira pocałowała chłopca w czoło. \_ Głupstwa gadasz. Należysz przecież do rodziny. Oboje z Charlesem gorąco cię kochamy i nie pozwolimy ci odejść, - chyba że do szkoły. Jak myślisz, dasz sobie radę?

\_ Szkoła? To Kaszka z mlekiem. - W półmroku oczy Alfiego zabłyśły niczym dwa klejnoty. - Teraz, kiedy już wiem, że ktoś mnie kocha, ze wszystkim sobie poradzę.

Czy właśnie to Devon usiłował jej wytłumaczyć? Że miłość i wsparcie ze strony ukochanej kobiety nadadzą znaczenie jego życiu? A w konsekwencji akceptacja tych płytkich ludzi nie ma najmniejszego znaczenia? Jakże była głupia, odrzucając jego cenny dar miłości.

Z bolącym sercem wróciła do swojej sypialni. Na kominku wesoło pryskał ogień, a na stoliku przy łóżku paliła się świeca. Zawsze czujny John Footman wykorzystał jej nieobecność.

Przybita i wyczerpana, wyciągnęła się na łóżku, ale sen nie nadchodził. Czy jeszcze kiedyś zobaczy Devona? Czy teraz, kiedy już wszystko zrozumiała, da jej jeszcze jedną szansę? Przycisnęła dłonie do skroni. Dlaczego miałby to zrobić? Przecież raz po raz w okrutny sposób odrzucała jego błagania. Tak, Czarny Jack miał rację, zasłużyła na cierpienie.

Ogień zaczynał przygasać, a świeca się wypalała. Nieświadoma upływających godzin patrzyła suchymi, błędnymi oczyma na baldachim rozpostarty nad łóżkiem. Nagle usłyszała jakiś szelest.

Po chwili w oknie pojawiła się postać mężczyzny.

Instyktownie przekręciła się na bok i chwyciła przymocowany do łydki nóż. Czyżby Devon się pomylił? Czy Quentin i jego wynajęte zbiry nadal stanowią zagrożenie?

Bezszelestnie zsunęli się z łóżka, przekradła przez pogrążony w ciemnościach pokój i z uniesionym nożem rzuciła się na intruza. Nie zdążyła jednak trafić napastnika. Silne palce tak mocno złapały ją za rękę, że zwolniła uścisk i oddała nóż bez sprzeciwu.

- Do diaska, Moiro, uważaj, co robisz. Gdybym spadł z drabiny, skręciłbym sobie kark.

- Devon?- Moira bezmyślnie patrzyła, jak mężczyzna w zgrzebnym przyodziewku farmera przerzuca nogę przez parapet. - Dlaczego wchodzisz przez okno?

- A co innego miałem zrobić? Czarny Jack powiedział, że zamknęłaś się na klucz i nikogo nie wpuszczasz. I podobno od powrotu z kościoła wyplakujesz sobie oczy. - Spojrzał w jej twarz z bliska. - Jak widzę, mówił prawdę. Wyglądasz jakbyś napchała pod powieki gęsiego puchu.

- Jeśli zadałeś sobie tyle trudu, aby mnie obrażać, mogłeś to robić, stojąc za drzwiami - oświadczyła. Musiała spleść dłonie, żeby nie rzucić mu się na szyję. Wrócił, nieważne z jakiej przyczyny. Osłabła z ulgi ... i nadziei.

Devon przerzucił drugą nogę przez parapet.

- Nie przyszedłem, aby cię pocieszać, pani. Zamierzam cię porwać - a w tej dziedzinie nabrałem ostatnio wielkiej wprawy.

- Porwać? Oszalałeś?

- Chyba tak. Postępuję bez sensu. Wiem. Mnóstwo kobiet wyszłoby za mnie, gdybym tylko o to poprosił. Tymczasem ty sprawiasz więcej kłopotu niż jeże twojej babci. Cóż, choć to wielce nielogiczne, chcę ciebie i tylko ciebie. A ty wreszcie przestań walczyć z przeznaczeniem. Zamierzam cię bowiem zdobyć, i to nieważne, w jaki sposób. -

Wyciągnął z kieszeni złożoną kartkę. - Wybór należy do ciebie. Albo skorzystamy ze specjalnego pozwolenia wydanego przez pastora Kincaida - od powrotu z Londynu zawsze mam je przy sobie - albo bierzemy ślub jako zbiegła para.

- Jesteś szalony - oświadczyła Moira, choć w cichości ducha jej serce śpiewało radośnie.

Pociągnęła nosem. - Nie tylko szalony. Zajeżdża od ciebie niczym od przemytniczej barki.

- Nieprawda. No dobrze, może ociupinkę. A to dzięki twemu tatusiowi i Michaelowi. Wsparli mnie w potrzebie. Porządne z nich chłopiska. - Devon patrzył na nią pożądliwie nieco rozbieranymi oczyma. - Szczerze mówiąc i biorąc pod uwagę okoliczności, to dziwne, że jeszcze nie postradałem rozumu. Bo wiesz, jestem do szaleństwa zakochany w pewnej kobiecie, która kocha mnie równie szaleńczo, ale nie chce za mnie wyjść z zupełnie niepojętych dla mnie przyczyn. Żaden mężczyzna by tego nie wytrzymał.

Podszedł do drzwi, wyjął klucz z zamka i wrzucił sobie za koszulę.

- Nie wyjdziemy stąd, dopóki nie zgodzisz się zostać moją żoną. Cyganie mogą sobie porywać panny młode po

ślubie. My Anglicy postępujemy rozsądniej. Porywamy je przed ślubem.

Moira patrzyła na niego błyszczącymi oczami.

- Gdybyś miał choć odrobinę tego rozsądku, którym się tak chlubisz - powiedziała z żartobliwą powagą - wiedziałbyś, że ślub para królestwa z Cyganką nie ma nic wspólnego z rozsądkiem.

Zrobiła to - zaprotestowała po raz ostatni. Doprawdy, bogowie już niczego więcej nie mogą od niej wymagać.

- A więc niech diabli wezmą rozsądek - odpowiedział - a także socjetę, okoliczną szlachtę i każdego, kto ma cokolwiek przeciw naszemu związkowi. Bo rozsądek nie idzie w parze z miłością, moja kochana.

Wziął Moirę w ramiona i mocno pocałował. Ogarnęło ją dziwne uczucie, jakby języki ognia lizały ją od wewnątrz. - A miłość jest silniejsza niż wszelka logika Platona czy Arystotelesa i ma dla mnie znacznie więcej sensu aniżeli twoje niemądre argumenty.

Ponownie ją pocałował - głęboko i namiętnie. Jego usta były słodkie - od brandy ... a może to miód?

"Kropla miodu, która osładza gorzkie życie" - to babcia w ten sposób określiła ich miłość. Jakże wiele czasu potrzebowała, aby zrozumieć prawdę.

Wszystkie jej argumenty, przemawiające przeciw małżeństwu z Devonem, są niczym w porównaniu z tą jedną kroplą czystego, złocistego miodu, którą jedynie usta Devona potrafią Moirę napić.

- Doskonale, mój panie - powiedziała. - Poddaję się. Choć przysięgłam sobie nigdy za ciebie nie wychodzić według angielskiego prawa, unieważnię to przyrzeczenie. Ale pod jednym warunkiem. Ty też musisz unieważnić swoje.

- O czym ty mówisz? Jakie? - Devon ze zdziwieniem uniósł brwi.

- Powiedziałeś kiedyś, że póki nie zostaniemy sobie poślubieni wedle angielskiego prawa, nie obdarzysz mnie swymi względami. - Westchnęła. - A obawiam się, że ze ślubem musimy poczekać aż do rana, bo pastor Kincaid pewnie już dawno poszedł spać.

Na ustach Devona wykwitł figlarny uśmieszek, a pod Moirą ugięły się nogi. Na szczęście złapał ją w ramiona i zaniósł do szerokiego łóża z baldachimem, stojącego w odległym kącie pokoju.

- I to właśnie - powiedział, kładąc ją delikatnie na kołdrze i wyciągając się przy niej - nazywam rozsądnym sposobem myślenia.

